

**Karol May**

# **Wyścig z czasem**

**Das Waldröschen oder die Verfolgung rund um die Erde XII**

## NIESPODZIEWANY RATUNEK

Hilario powrócił ze swej wycieczki dość zadowolony. Naturalnie był przekonany, że zamach uda się i nie przeczuwał nawet, że ktoś go goni. Zsiadł z konia i udał się wprost do siebie.

Tam czekał już na niego jego bratanek z widocznym na twarzy niepokojem.

— Nareszcie! — zawołał na widok wchodzącego stryja. — Powiedz mi, dlaczego trwało to tak długo?

— Ha, nie wiedziałem, że przez trzy noce będę musiał błąkać się dokoła hacjendy, zanim uda mi się wykonać me plany.

— No i co? Udało się?

— Naturalnie.

— Opowiedz mi wszystko — Manfredo jakkolwiek przyzwyczajony do wszelkich zbrodni, na myśl o takim czynie wzdrygnął się. — Brr! To jednak straszne!

— Co takiego? — zapytał Hilario obojętnym tonem.

— No, morderstwo takiej liczby ludzi.

— Ha, przecież każdy człowiek musi kiedyś umrzeć.

— Ale nie w taki sposób.

— Umrą bardzo spokojnie, bez żadnych męczarni, niczego nawet nie przeczuwając.

— I nikt się nie uratuje.

— Z tej rodziny, nikt!

— Ale przecież innych mamy na dole.

— Jeszcze nie wszystkich, ale i ci wkrótce wpadną w nasze ręce.

— W jaki sposób?

— Już w stolicy znajdzie się jakiś sposób.

— A kiedy tam wyjeżdżasz?

— Zaraz, jak tylko coś zjem.

Bratanek przybrał bardzo zdziwioną minę.

— Zaraz? Nie jesteś zmęczony?

— Zmęczony jestem i to bardzo, ale straciłem już trzy dni, więc muszę natychmiast ruszać.

— Chyba nie konno?

— O nie, spadłbym z konia, jestem zbyt śpiący.

— Czyli, że mam zaraz zaprzęgać powóz?

— Bądź tak dobry, tylko przy tylnej bramie. Nie chciałbym aby ktoś widział, że wyjeżdżam.

Posilił się i przebrał, po czym dał swemu bratankowi wskazówki co do dalszego postępowania i cichaczem wyjechał.

Manfredo powrócił do pokoju stryja, chciał bowiem podać więźniom posiłek. Zabrał ze sobą klucze i poszedł do tylnej bramy.

W twej chwili na korytarzu pojawił się mały, gruby zakonnik i spytał o Hilario. Bez ceregieli wciągnął Manfreda z powrotem do pokoju, gdyż musiał pilnie o czymś porozmawiać.

\* \* \*

Tymczasem Gerard przybył do miasteczka i wyszukawszy najlepszą gospodą zakwaterował się w niej wraz z dwoma *vaqueros*.

Zjadł cokolwiek i tylną bramą wyszedł na zewnątrz, chcąc zbadać drogę do klasztoru. Szybko otwarte drzwi trafiły w nos przechodzącego tamtędy właśnie jakiegoś jegomościa.

— Do stu diabłów! — zawołał uderzony.  
— Przecież ja nie jestem temu winien. Dlaczego się senior nie odsunął?  
— Co? Ja mam ustępować takiemu gamoniowi? Masz nauczkę! — i wymierzył Gerardowi tak silny policzek, że temu pociemniało w oczach.  
— O Boże! Człowieku, na co ty się odważasz? Chwycił nieznajomego lewą ręką, prawą zaś wymierzył mu równie silny policzek.  
— Co? Ty mnie bijesz po gębie? No to masz!  
Zaczęli się tarmosić i policzkować bez zastanowienia, fizycznie sobie dorównywali. Dopiero na ten łomot jakiś młody mężczyzna w meksykańskim stroju wyszedł z *venty* z latarką w ręku.  
— Co tu się dzieje? — zapytał.  
— Nic — odparł jeden z walczących. — Chciałbym tylko temu gałganowi jeszcze dziesiąty raz dać w gębę.  
— A ja temu gamoniowi dwunasty.  
Młody człowiek oświetlił walczących latarką. Gerard natychmiast wypuścił swego przeciwnika z okrzykiem najwyższego zdumienia:  
— Sępi Dziób? Co? Czy to możliwe?  
— A niech to wszystkie diabli! To chyba jakiś cud! To ja ciebie tak tłukę?  
— A ja ciebie?  
— Dostałem jedenaście razy.  
— A ja dziewięć.  
— Teraz pojduję, dlaczego nie mogłem sobie poradzić. Skąd się tu wzięłeś?  
— Z del Erina.  
— Ach! Stamtąd!  
— Tak, a ty?  
— Ja ze stolicy.  
Teraz dopiero młody człowiek wmieszał się do rozmowy.  
— Przepraszam! — zawołał zdumiony. — Panowie, jak wnoszę, znają się?  
— Doskonale! — odparł Sępi Dziób.  
— I mimo tego się biją?  
— Do stu diabłów! Wychodząc z bramy palnął mnie drzwiami w nos, a że ja nie jestem leniwy, to od razu palnąłem go w gębę i tak dalej od policzka do policzka rozpoczęliśmy bijatykę, a to wszystko z powodu tych egipskich ciemności. Dobrze Robercie, że w końcu nas oświetliłeś.  
— Ale kto to taki? Czy przyjaciel? — spytał Robert.  
— Naturalnie. Chodź do środka, to cię przedstawię. Wepchnął Roberta i Gerarda do środka.  
— Panie kapitanie, — powiedział wskazując na solidną postać myśliwego — nie domyśla się pan przypadkiem, kto to taki?  
Robert przyjrzał się Gerardowi i odpowiedział:  
— Pan chorował?  
— Tak.  
— I w czasie choroby leżałeś w forcie Guadeloupe?  
— Oczywiście.  
— Czyli, że pan jest owym sławnym Czarnym Gerardem!  
— Wspaniale! — zawołał Sępi Dziób klaszcząc w dłonie. — Zgadłeś Robercie! A teraz ty Gerardzie zgadnij, kim jest ten młody człowiek?  
— Tego niestety nie potrafię. Czy powinienem znać chociaż jego nazwisko?  
— Naturalnie! Widziałeś go kiedyś w Kreuznach, był wtedy małym chłopcem.  
— Czy pan jest Helmer?  
— Tak — skinął głową młody mężczyzna. — Robert Helmer.

- O Boże! Co za przypadek?
- Przypadek? Mnie wydaje się, że nie.
- A co pan tu robi?
- Szukamy naszych zaginionych.
- Ja także.

— Czyli, że to nie przypadek, że się tu spotkaliśmy. Znalazł pan jakieś ślady? Proszę, niech pan opowiada, ale prędko!

Gerard usiadł i opowiedział wszystkie szczegóły jakie odkrył, od chwili opuszczenia hacjendy. W zamian Robert i Sępi Dziób zdali mu sprawozdanie ze swych poczynań.

- A gdzie jest Grandeprise i ów majątek? — spytał w końcu Gerard.
- Mieszkają na dole.
- Znają panowie klasztor?
- My nie, ale zna go Grandeprise.
- Właśnie chciałem zbadać jego położenie.
- Ja także — dodał Sępi Dziób. — Dlatego skradałem się koło tylnej furtki, gdy palnąłeś mnie drzwiami.

W tej chwili do środka wszedł Grandeprise. Naturalnie niezmiernie się zdziwił widząc Czarnego Gerarda. Kiedy mu wszystko opowiedzieli, rzekł:

— To nadzwyczaj szczęśliwy przypadek. Taki dzielny myśliwy więcej jest wart niż dziesięciu innych. Jak teraz ich nie złapiemy, mam na myśli Landolę i Korteja, to chyba szatan im sprzyja.

— Byliście już kiedyś w pokoju tego zakonnika? — spytał go Gerard.

— Byłem i to kilka razy.

— Jak tam w środku jest?

— Sofa, parę krzesel, stół i półki z książkami. Na ścianie wisi parę obrazów i mnóstwo jakiś starych kluczy.

— Do czego są te klucze?

— Tego nie wiem.

— Hm, takie klasztory mają zwykle podziemne cele i więzienia. Jakiego kształtu są klucze?

— Wielkie, zardzewiałe i wyglądają na starą robotę.

— Ha, mógłbym przysiąc, że wszyscy nasi zaginięci siedzą w tym klasztorze, w podziemnych celach.

— Jeżeli jeszcze żyją. Korteja i Landolę też tam z pewnością znajdziemy.

— Mój Boże, żeby to tylko była prawda. Teraz jednak nie możemy tracić ani minuty. Kto z nas tam pójdzie. Ja nie bardzo chcę, bo ten łotr w hacjendzie mógł mnie jednak widzieć — powiedział Gerard.

— Ja także nie, bo mnie bardzo dobrze znają — powiedział Grandeprise.

— Mnie znowu może zdradzić mój wielki nos! — dodał Sępi Dziób.

— To niech Peters tam pójdzie — zdecydował Grandeprise.

— Dlaczego Peters? — zapytał Robert. — Tak ważnej sprawy nie można powierzać jemu. Mnie ten łotr Hilario nie zna, więc ja się tam udam.

— O nie! — zawołał Sępi Dziób. — Na takie niebezpieczeństwo nie może się senior narażać.

— Uważacie mnie za tchórza?

— Nie, to tylko obawa.

— A czy teraz nie drżymy może o życie naszych przyjaciół? Tak ważnego zadania nie mogę powierzyć w ręce obcego.

Czarny Gerard popatrzył na młodzieńca z zadowoleniem; podając mu dłoń, rzekł:

— Pan ma rację. Z pana słów jasno wnioskuję, że nie brakuje panu ani odwagi, ani roztropności. Zresztą my tu na pana będziemy czekać, więc nic się panu nie może złego stać. Grandeprise, niech pan dokładnie opisz położenie mieszkania zakonnika.

— Znajduje się zaraz koło bramy, parę schodków do góry, drzwi oznaczone są numerem 25.

— Gdzie wychodzą okna?

— Dwa na boczny dziedziniec, dwa na zewnątrz, gdzie możemy czatować.

— Nic więc złego nie może się panu Helmerowi przytrafić. Tylko proszę nie pytać o ojca Hilario, lepiej podejść go z nienacka. Jeżeli będzie pan potrzebował naszej pomocy, proszę tylko zawołać.

— Dobrze, dobrze, już ja sobie dam radę. Kiedy wyruszamy? — spytał Robert.

— Natychmiast — odpowiedział Czarny Gerard. — Wprawdzie mam tutaj dwóch *vaqueros*, ale ci mogliby tylko nam zaszkodzić, nas czterech całkowicie wystarczy.

Zabrali broń i opuściwszy *ventę* udali się na klasztorną górę. Po jakimś czasie usłyszeli turkot powozu, więc szybko skryli się w krzakach i poczekali, aż się oddalił. Nie przeczuwali, że w środku siedział właśnie ten, którego szukali — zakonnik Hilario.

Grandeprise wskazał ręką na okna pokoju zakonnika, po czym Robert przez otwartą bramę wszedł do środka. Jedno okno było oświetlone. Nie spuszczać z niego wzroku przyczaili się na dole, gotowi na dany znak wtargnąć do wewnątrz. Nagle tuż za sobą usłyszeli jakiś szelest. Zręcznie jak Indianie ukryli się za murem. Mała męska postać przemknęła chyłkiem tuż obok nich i zniknęła w bramie.

Był to nie kto inny, jak ów gruby spiskowiec, który poszedł prosto do bratanka zakonnika Hilario.

Chwilę wcześniej na podwórzec wszedł Robert i przez nikogo nie zauważony poszedł po schodach do drzwi oznaczonych numerem 25. Nie pukając złapał za klamkę i otworzył drzwi. W pokoju paliło się światło, ale w środku nie było nikogo.

Drugie drzwi prowadziły do sypialni zakonnika. Robert sądził, że może tam kogoś zastanie, więc wszedł dalej. Ponieważ tam również było pusto właśnie miał zamiar cofnąć się do pierwszego pomieszczenia, kiedy na korytarzu rozległy się jakieś kroki. W pierwszym odruchu cofnął się przysmykając za sobą drzwi. Sądził, że to nadchodzi zakonnik z kimś jeszcze, chciał więc podsłuchać o czym będą mówili.

Przez szparę w drzwiach ujrzał jakiegoś małego grubasa i młodego mężczyznę, o wyglądzie służącego. Po opisie jakie udzielił mu Grandeprise stwierdził, że żaden z tych mężczyzn nie może być ojcem Hilario.

Grubas usiadł wygodnie w fotelu i spytał:

— Czyli, że twój stryj dopiero co wyjechał?

— Tak, właśnie — odparł Manfredo.

— A nie wiesz, co go tak długo tutaj zatrzymywało?

— Niestety, nie wiem.

Mały spojrział na młodzieńca przenikliwie.

— Ty jesteś jego jedynym krewnym?

— Tak.

— Czyli, że mogę się spodziewać, że nie ma przed tobą żadnych tajemnic.

— Oczywiście, że nie ma.

— A dlaczego nie powiedział ci, czemu tak późno zastosował się do mojego rozkazu?

— Bo się go o to nie pytałem?

— Tak, wiesz kiedy byłem tu ostatnio?

— Wiem.

— Byli tu także dwaj obcy mężczyźni, podobno ze stolicy? Czego chcieli?

— Szukali was, chcieli was aresztować.

— Tak. Prawdziwe szczęście, że zdołałem im uciec. Głupcy, powrócili tutaj?

— Nie.

— To ich szczęście. Przyjąłbym ich jak należy. Właśnie w tej sprawie chciałem z tobą mówić. Jesteśmy sami?

— Jak widzicie.

— Nikt nas nie może podsłuchać?

— Nikt.

— To dobrze. Powiedz mi, czy wiesz może po co twój stryj wyjechał do stolicy?

— Wiem.

— Powiedział ci? Do diabła, to dowód, że ci mówi o wszystkim, to i ja muszę z tobą pomówić otwarcie. Dlaczego więc wyjechał?

— Ma przeszkodzić w wyjeździe z kraju cesarzowi Maksymilianowi.

— Dlaczego?

— Aby zmusić przez to Juareza do pojmania go i stracenia.

— Wspaniale. Wówczas Juarez stanie się mordercą i straci na znaczeniu. W ten sposób za jednym zamachem pozbedziemy się cesarza, prezydenta i przejmemy władzę. Twój stryj dostał bliższe instrukcje. Spotka Maksymiliana w Queretaro. Jednak łatwo coś nam może przeszkodzić w nakłonieniu cesarza do odwrotu. Mogliby mu udowodnić, że nie ma popleczników ani stronników, że został sam jeden, dlatego należy utwierdzić go w przekonaniu, że całe rzesze Meksykanów stoją po jego stronie.

— To się da łatwo zrobić.

— Hm, łatwo nie łatwo. Wymyśliłem doskonały plan. Trzeba wyrównać szansę wojskowe Juareza i cesarza. Jeżeli Maksymilian dowie się o tym, nie będzie chciał się cofnąć, dlatego jutro urządzi się kilka takich szopek, ta najważniejsza ma się odbyć tutaj, w Santa Jaga.

— Tutaj? — spytał zdziwiony Manfredo. — Przecież tutaj są sami zwolennicy Juareza.

— Ależ to nic nie szkodzi. Zostaw to już mnie — odparł grubas dumnie. — Najeliśmy dwustu dzielnych ludzi, którzy jeszcze tej nocy przyjdą tutaj, by rozwinąć cesarski sztandar.

— Mieszkańcy ich wygonią.

— To się im nie uda. Ten klasztor stanowi znakomitą fortecę. Tutaj się obwarują, więc mieszkańcy nie wiele im zrobią.

— Jeśli tak, to co innego — odrzekł Manfredo po chwili namysłu.

— Wszystko musi się doskonale udać.

— A mój stryj wie o tym.

— Nie.

— Dlaczego nie wie?

— Bo przedtem sam tego nie wiedziałem. Zresztą dowie się o tym w Queretaro.

— Kiedy nadejdą ci żołnierze?

— Dzisiaj, o czwartej w nocy. Musisz ich zaprowadzić do klasztoru, ale tak, aby ich nikt nie widział. Rano cesarski sztandar załopocze z klasztornej wieży. Tutaj masz papiery, zawierające instrukcje dla przywódcy.

— A jak on mnie rozpozna?

— Powiesz mu tylko jedno słowo: *Miramar*. Zrozumiałeś wszystko?

— Zrozumiałem.

— Dobrze, a teraz odprowadź mnie do bramy, bo już zapewne zamknięta.

Gdy tylko wyszli, Robert udał się do głównego pomieszczenia i uchylając nieco okno zawołał do swoich towarzyszy.

— Dotychczas wszystko idzie dobrze. Ojca Hilario nie ma tutaj. Czekać na mnie dalej, ale teraz ukryjcie się, bo zaraz ktoś wyjdzie z klasztoru.

Zamknął okno i powrócił do sypialni. Po kilku minutach zjawił się Manfredo, zaczął spacerować po pokoju i mrużyć sam do siebie:

— Hm! Cesarscy żołnierze w Santa Jaga, zapewne jakieś opryszki, ale zrobią co się im każe. Teraz przede wszystkim muszę zejść do moich więźniów. Ach! Co mnie to wszystko obchodzi, niech się biorą za łby i robią co chcą; najważniejsze żebym został hrabią Rodriganda. Reszta niech się nawet pozabija.

Robert zdumiał się ogromnie usłyszawszy ten monolog. Już chciał wybiec z pokoju i złapać opryszka za gardło, ale ujrawszy, że zabiera klucze ze ściany zmienił zamiar.

Manfredo zapalił latarkę i wyszedł na korytarz nie zamykając za sobą drzwi. Robert natychmiast wyszedł z sypialni, zabrał świecę i wyciągnął nóż. Ostrożnie otworzył drzwi na korytarz.

Manfredo schodził właśnie po schodach na dół. Robert ujrzał to jeszcze, więc przymknawszy drzwi podążył za nim. Dla bezpieczeństwa zdjął buty, aby te nie zdradziły go i bezszelestnie posuwał się tuż za Manfredo.

Zszedł aż na sam dół, gdzie ujrzał cały rząd drzwi. Przed jednym Manfredo zatrzymał się, odsunął dwa żelazne rygle i przy pomocy przyniesionego klucza otworzył je.

Robert usłyszał jakąś rozmowę. Podkraść się tuż pod drzwi i zajrzał do środka. Przy słabym świetle latarki nie był w stanie rozpoznać twarzy uwięzionych, ale właśnie ich strażnik stanął przed jednym z nich i powiedział:

— Macie tylko jedną drogę ratunku.

— Jaką? — spytał głos z głębi.

— Jeszcze tego nie odgadliście?

— Nie.

— No to wam powiem. Wiecie przecież, że Mariano jest waszym prawdziwym bratankiem.

— Wiem.

— A to, że obecny hrabia Alfonso, jest synem Gasparino Kortejo?

— Też.

— Postawię dwa warunki, jeżeli je wypełnicie to odzyskacie wolność.

— Co to za warunki?

— Najpierw ogłosicie, że Alfonso jest oszustem, każecie więc jego i jego krewnych ukarać.

— Zrobię to z całą pewnością.

— A po drugie, Mariano musi się zrzec swych praw i mnie na jego miejsce ogłosicie waszym prawowitym bratankiem, czyli hrabią Rodriganda.

Zapanowało milczenie.

— Jaka jest twoja odpowiedź?

— Rozumiem — zawołał hrabia Ferdynand. — Wy chcecie zostać hrabią.

— Naturalnie — odparł bez żenady Meksykanin. — To jest mój drugi warunek.

— Na który ja nigdy się nie zgodzę.

— No to zginiecie w tym więzieniu.

— Bóg nas uratuje.

— Ha, ha, ha, ja bym na waszym miejscu nie liczył na to. Daję wam pół godziny czasu do namysłu. Jeżeli się nie zgodzicie, nie dostaniecie ani wody ani nic do jedzenia.

— Bóg nas pomści!

— Don Ferdynandzie, proszę nie wdawać się w rozmowę z tym łotrem — z prawej strony zabrzmiał jakiś głęboki głos.

Robert mimo woli podskoczył jak zelektryzowany. Ten głos był mu tak znany, że poznałby go na końcu świata. Przysięgłby, że to głos jego nauczyciela i dobroczyńcy, Sternaua.

— Co? Nazywasz mnie łotrem? — zawołał rozłoszczony Manfredo. — Masz za to!

Podszedł do skutego i zamierzył się, ale w tej chwili ktoś z tyłu złapał go silnie za rękę. Obrócił się wystraszony i ujrzał parę błyszczących oczu, a także rewolwer wymierzony wprost w jego pierś. Zbladł jak ściana.

— Co? Kto tu? Czego chcesz? — wyjąkał przerażony.

— Zaraz się dowiesz łotrze! — odparł Robert. — Na kolana!  
— Co... co... jak... — powtarzał nieprzytomnie.  
— Na kolana! — huknął powtórnie Robert i złapawszy go silnie za ramię rzucił na ziemię.  
— Czekaj kochasiu, zaraz cię zwiążemy.

Odpiął od pasa lasso i spętał nim Manfreda. Ten nie miał przy sobie broni, ale nawet, gdyby ją miał, nie byłby siew stanie bronić. Strach odebrał mu władzę w rękach. Robert skrępował go silnie i kopnął tak, że potoczył się do samego kąta.

Dłużej jednak nie umiał nad sobą zapanować. Odetchnął głęboko i z radości wrzasnął tak głośno, że całe sklepienie zahuczało:

— Dzięki Bogu! Wreszcie się udało! Jesteście wolni!

— Wolni? — spytało parę głosów na raz. — Czy to prawda?

— Naturalnie! Chwała Bogu!

— Senior, kim pan jest? — spytał hrabia Ferdynand, ciągle nie mogąc uwierzyć w takie szczęście.

— Zaraz się dowiecie, ale najpierw wyjdźmy z tej śmierdzącej nory, bo za chwilę się uduszę. Czy dacie radę iść o własnych siłach?

— Damy — powiedział Sternau.

Robert chciał się rzucić w ramiona swego nauczyciela, ale pohamował swe uczucia i spytał tylko:

— Jak można otworzyć kłódki przy waszych łańcuchach?

— Ten człowiek, którego skrępowaliście ma w kieszeni mały klucz, pasujący do nich.

Przeszukał kieszenie Manfreda i gdy znalazł klucz pospieszenie zaczął otwierać kajdany każdego z uwięzionych. Po dwóch minutach uporał się z zadaniem. Uwolnieni chcieli się mu rzucić na szyję, ale mimo tego, że sam płakał ze szczęścia, jak dziecko, powstrzymał ich mówiąc:

— Nie teraz! Najpierw obowiązki! Jesteście wszyscy, czy może są jeszcze jacyś uwięzieni tutaj?

— My jesteśmy wszyscy — odparł Sternau, który jako jedyny potrafił zachować zimną krew.

— To znaczy, że musimy odszukać jeszcze Korteja i Landolę, bo muszą gdzieś tu być — powiedział Robert.

— Są.

— Uwięzieni?

— Tak, obaj bracia Kortejowie, a także Józefa i Landola.

— Bogu dzięki! Jest to wprawdzie dla mnie zagadka, ale wyjaśni się później. Chodźcie za mną.

Zabrał Manfreda wszystkie klucze, latarkę i wyszedł na korytarz a więźniowie za nim. Zarygłował drzwi a na dodatek zamknął je na klucz. Pomału prowadził ich po schodach, gdyż wielu było bardzo osłabionych. Za każdym krokiem powietrze stawało się świeższe. W górnej piwnicy stanął i zapalił świecę, po chwili zrobiło się jasno.

— Senior — odezwał się Sternau chwytając go za rękę — proszę powiedz nam, kim jesteś.

— Dobrze — odparł Robert. — Tutaj możemy odpocząć i tutaj dowiecie się, kim jestem, ale najpierw tylko jeden z was.

Przy świetle latarki oglądał jedną za drugą, zarośnięte twarze, wreszcie trafił na sternika i spytał go z wielkim trudem:

— Masz senior dość siły, aby usłyszeć radosną nowinę?

— Mam — odparł Helmer.

— Powiem wam w sekrecie, ale nie możecie o tym mówić pozostałym, chciałbym aby odgadli.



Objął go ramieniem i nachylając się nad nim powiedział mu do ucha — mój ojciec — nie potrafił jednak zapanować nad sobą. Przyciskając do siebie wysuszoną postać starca zawołał:

— Ojciec! Mój drogi, kochany ojciec!

Począł go obejmować i całować. Sternik nie odpowiadał, nagła radość pozbawiła go sił. Inni także milczeli z wielkiej radości, pierwszy opamiętał się Sternau i zawołał:

— Robercie? Czy to możliwe? Ty naprawdę jesteś Robertem Helmerem?

— Tak, tak panie doktorze, to ja.

Ostrożnie oparł ojca o ścianę i podszedł do Sternaua.

— Mój Boże, co za szczęście, co za łaska — zawołał doktor. — Nie chcę cię teraz pytać jak ci się udało nas odszukać, ale powiedz mi, co słychać w Kreuznach?

— Dobrze, dobrze. Wszyscy żyją i są zdrowi, wszyscy.

— Moja żona?

— Oczywiście.

— Moje dziecko, moja córeczka?

— Także.

— A matka, siostra?

— Żyją wszyscy, wszyscy.

Ów silny, potężny mężczyzna, jak dziecko zsunął się na kolana i składając ręce zawołał:

— Boże! Po raz drugi zostałem uratowany. Gdybym kiedyś zapomniał o tym, Ty zapomnij o mnie, gdy moja umierająca ręką zapuka do Twoich podwoi.

Ktoś następny podszedł do Roberta.

— Ach, to ty stryju! Piorunowy Grot?

— Tak, Robercie.

Teraz po kolei i inni podchodzili do niego, by uścisnąć mu rękę. Musiał się zwrócić do Sternaua, aby położyć kres tym gorącym powitaniom.

— Robercie, ale chyba nie sam jeden przyszedłeś tu do klasztoru? — spytał Sternau.

— W klasztorze jestem sam, ale pod oknem czekają moi towarzysze.

— Kto taki?

— Czarny Gerard, Sępi Dziób i pewien myśliwy, Grandepriise. Chodźcie panowie, chodźmy na górę. Jeszcze nie całkowicie jesteście bezpieczni. Kto wie, czy ten diabeł Hilario nie ma tu więcej swoich ludzi. Musimy unikać wszelkiego hałasu.

Pomógł ojcu stanąć na nogach i wzięwszy do ręki latarkę ruszył przodem, na szedł końcu Sternau zamykając starannie za nimi każde drzwi.

Ze względu na późną porę w klasztorze panowała całkowita cisza, wszyscy udali się na spoczynek, dlatego udało im się niezauważenie przedostać na górę, do pokoju Hilario. Tutaj, przy dodatkowym świetle powitania i pytania rozpoczęły się na nowo.

— Zostawmy to na później — powiedział Robert. — Pan doktor przyzna mi rację, że przede wszystkim musimy myśleć o naszym bezpieczeństwie.

— Tak, to rozumne postępowanie — powiedział Sternau. — Gdzie są ci trzej dzielni traperzy, którzy ci pomagali?

— Zaraz ich zawołam — podszedł do okna i otworzył je. — Gerard! — zawołał półgłosem.

— Tutaj jestem, *monsieur*.

— U was nic się nie zmieniło?

— Nie, wszystko w porządku, a co na górze?

— Dobrze, proszę podrzucić swoje łąso.

— Po co?

— Musicie się tutaj wspiąć, bo bramy są już zamknięte.

— Nie ma pan swojego?

— Nie.

Gerard podrzucił zręcznie swoje lasso, które Robert złapał i umocował przy oknie, po czym wszyscy trzej traperzy wdrapali się na górę. Tak wielkie towarzystwo, jakie tam zastali niezmiernie ich zdziwiło.

— Do pioruna! — zawołał Sępi Dziób — Toż to oni!

— Tak to my — odparł Sternau. — Wiele wam senior zawdzięczamy.

— E, to głupstwo, najwięcej zrobił ten młodzieniec i to sam jeden.

— O tym dowiecie się później — odparł Robert. — Teraz zostańcie tutaj i czuwajcie nad bezpieczeństwem grupy. Panie doktorze, sądzi pan, że i inni mieszkańcy klasztoru mogą być w zмовie z ojcem Hilario?

— Nie, nie przypuszczam, oprócz swego bratanka nie ma tu zapewne żadnych innych współników.

— Zaraz się o tym przekonamy.

Po tych słowach poszedł do drzwi, zupełnie nie zważając na przestraszone miny pozostałych.

Po schodach zszedł na dziedziniec, którego brama była zamknięta. Korytarzem dostał się na drugie podwórze i tam zobaczył jedno oświetlone okno. Poszedł tym śladem, stanął przed drzwiami z napisem „pokój meldunkowy” i bez namysłu wszedł do środka. Siedzący tam człowiek zerwał się przerażony i zawołał:

— Kim pan jesteś? Czego tu chcesz? Jak się pan tu dostał?

— Proszę się uspokoić — odparł Robert — Przychodzę od Manfreda, bratanka zakonnika Hilario. Proszę mi powiedzieć, jest w klasztorze jeszcze jakiś inny lekarz?

— Jest jeszcze dwóch.

— Czy mogę wiedzieć, jak się któryś z nich nazywa?

— Menuccio.

— Śpi już?

— Naturalnie.

— To proszę go natychmiast obudzić.

— Czy to aż takie pilne?

— I to nawet bardzo.

— Kogo mam zameldować?

— Obcego oficera.

Służący poszedł wraz z Robertem do mieszkania lekarza, ten zbudzony ze snu, nie był w różowym humorze.

— Czy to tak ważne, że musicie mnie budzić po nocy? — odezwał się dość szorstko.

— Tak jest — powiedział Robert. — To bardzo ważne, zwłaszcza dla pana samego.

— Dla mnie? Senior, nie myślę po nocy wysłuchiwać żartów.

— To nie są żarty. Przychodzę prosić pana o pomoc, przy większej liczbie pacjentów.

— I co tu może być ważnego dla mnie?

— Wszystko się może okazać. Proszę mi powiedzieć, czy pan wie o tajemnych i zbrodniczych wyczynach ojca Hilario?

— Senior, kim pan jest, że się ośmielasz opowiadać o jakiś zbrodniach?

— Proszę być pewnym, że mam do tego prawo. W ostatnich latach zaginęło parę znaczących osobistości, mianowicie dwóch hrabiów Rodriganda, księżę Olsunna i inni. Dostałem polecenie szukania ich. Właśnie przed godziną znalazłem ich w podziemiach tego klasztoru. Czy wiedział pan o tym?

Kamienna twarz lekarza zmieniła się w pełną przerażenia.

— To chyba jakiś sen? — spytał.

— Nie to nie sen, to prawda. Wasz zakonnik, o imieniu Hilario zwabił ich wszystkich do klasztoru i pozamykał w podziemnych norach. W ostatnich dniach był również w hacjendzie del Erina i zatrzał zbiornik wody pitnej, chciał bowiem wytruć wszystkich jej mieszkańców.

Lekarz ciągle nie mógł uwierzyć w to co słyszał.

— To niemożliwe, ja na pewno śnię — dodał.

— Niech pan nie wygaduje bzdur, mówię to całkiem poważnie. Z trudem udało mi się tych biednych ludzi uwolnić. Naturalnie pobyt w tych cuchnących celach mocno nadszarpnął ich zdrowiem, są tak słabi, że potrzebują pomocy lekarskiej. Obecnie są w mieszkaniu ojca Hilario, więc proszą pana, by natychmiast się tam ze mną udał.

— Senior, czy pan nie żartuje? — spytał ciągle nie mogąc uwierzyć w to co słyszał.

— Mówię całkiem serio, to niestety rzeczywistość.

— Zaraz z panem pójdę i sam się przekonam.

Ubrał się prędko i pobiegł za Robertem. Zdziwienie jego nie miało końca, gdy ujrzał tak liczne, wycieńczone towarzystwo.

— Oto lekarz — oznajmił Robert. — Jak pan widzi — rzekł zwracając się do przybyłego — potrzebujemy przede wszystkim większego pokoju, napojów i jedzenia.

Lekarz ciągle stał osłupiały, dopiero gdy zobaczył leżącego na sofie wychudłego hrabiego Ferdynanda, którego na sam dodatek znał, musiał uwierzyć w słowa Roberta.

Natychmiast kazał przenieść hrabiego i innych osłabionych do wielkiego salonu, kazał ich umyć, ubrać w świeże rzeczy, a następnie podać sutą kolację a do tego kilka butelek dobrego wina.

Gdy nieszczęśnicy posilili się nieco; na nowo zaczęli dopytywać o zdarzenia i ludzi. Nawet mały André zwrócił się do Roberta z pytaniem:

— To pan także jest z Kreuznach?

— Tak.

— I zna pan tam wszystkich.

— Naturalnie.

— Zna pan może niejakiego myśliwego, Kurta Strantenberberga?

— Znam, to najlepszy towarzysz pana nadleśniczego.

— Panie drogi, to mój brat!

— Opowiadał mi już o tym, senior Sępi Dziób.

— To znaczy, że poczciwy Kurt jeszcze żyje?

— Żyje, ale wolałbym, aby był w towarzystwie aniołów — odezwał się naraz Sępi Dziób.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony André.

— Dlaczego? Bo mnie aresztował?

— Co takiego? Dlaczego?

— Oskarżył mnie o kłusownictwo, ale musiał mnie jednak wypuścić.

Opowiedział w skrócie swoje przygody w Prusach. Sternik, który w końcu doszedł do siebie, po wielkim szoku, spytał syna:

— Przede wszystkim, kochany Robercie powiedz mi co z matką, żyje?

— Żyje i to w dobrym zdrowiu, tylko włosy jej posiwiały ze zgryzoty, ojczce.

— A kim ty teraz jesteś?

— Zgadnij.

— Hm, pewnie w dalszym kształceniu brakowało ci doktora Sternaua, ale otrzymałeś swoją część z królewskiego skarbu?

— Tak, chociaż bardzo późno.

— W takim razie jesteś bogaty i nie potrzebujesz żadnego stanowiska.

— Jednak mimo tego doszedłem do czegoś.

— To znaczy.

— Jestem oficerem.

Stary sternik aż poróżnowiał z radości. Sternau również chwycił go za ręką i rzekł:

— To bardzo pięknie. Masz teraz urlop?

— Mam.

— A gdzie służysz?

— W Berlinie. Jako kapitan gwardii huzarów. Obecnie jestem odkomenderowany do sztabu generalnego.

— Do pioruna! Gratulują.

Ojciec uściskał go serdecznie, po czym nastąpiły długie opowiadania i sprawozdania z minionych wypadków. Wreszcie podniósł się Sternau i powiedział:

— Moi kochani, odpocznijcie sobie jeszcze, ja jako najsilniejszy muszę jeszcze coś z Robertem załatwić.

Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce chcieli pójść z nimi, ale Sternau zezwolił na to tylko Sępiemu Dziobowi i Grandeprisowi.

Cała czwórka zaopatrzywszy się w broń i światło zeszła do podziemi.

Manfredo ciągle leżał w tym samym miejscu. Sternau wtajemniczony we wszystko rozpoczął badanie:

— Człowieku, — rzekł do niego — nie jesteś wart, żebym cię rozdeptał, ale mimo tego dam ci szansą na łagodniejszą karę. Jeżeli na wszystkie pytania odpowiesz szczerze, zobaczymy czy coś się da dla ciebie zrobić.

Manfredo nie słychał z odwagi, z oczu wyzierał mu strach, płaczącym głosem zaczął jęczeć:

— Ja nie jestem temu winien, senior, ja nie.

— A kto?

— Mój stryj, musiałem go słuchać.

— To akurat cię nie usprawiedliwia. Odpowiadaj otwarcie i szczerze, dlaczego nas uwięziliście?

— Bo miałem zostać hrabią Rodriganda.

— Co to za wariacki pomysł. Twój stryj miał nas później zamordować?

— Tak.

— A gdzie są rzeczy, które nam zabraliście?

— Rzeczy mam, tylko konie zostały sprzedane.

— Potem nam wszystko oddasz. Wiesz gdzie siedzą Kortejo i Landola?

— Wiem. Ten senior — tu wskazał na Roberta — zabrał mi klucze do ich celi.

— Klucze mamy, pokażesz nam ich więzienia. Czy znasz tutaj wszystkie podziemne korytarze?

— Tak, znam.

— Kto ci je pokazał?

— Mój stryj, on ma plan całego podziemia.

— Gdzie ten plan jest?

— W jego biurku.

— Dobrze, czy jest tu jakieś wyjście z podziemi?

— Na zewnątrz?

— Tak.

— Jest, ale tylko jedno.

— Gdzie wychodzi?

— Do kamieniołomu, na wschód od miasta.

— Zaprowadzisz nas tam. Gdzie teraz jest twój stryj?

— Pojechał do Queretaro, czy też do stolicy?

— Do kogo?

— Do cesarza.

— Czego tam chce?

— Ja, ja tego nie wiem.

Skłamał. Ciągle miał nadzieję, że stryj potrafi go uratować, gdy tylko upora się ze swoim zadaniem. Sternau jednak natychmiast spostrzegł jego zmienioną twarz, więc rzekł:

— Nie myśl, że mnie oszukasz. Im twe odpowiedzi będą bardziej prawdopodobne, tym bardziej polepszysz swój los, no to czego twój stryj szuka u cesarza?

— Chce mu przeszkodzić w opuszczeniu Meksyku.

— Rozumiem. A kim był ten gruby człowiek, z którym dzisiaj wieczorem rozmawiałeś? Manfredo przeraził się, że i to było im znane.

— Nie wiem — odparł. — Ja go naprawdę nie znam. Czasami przychodził do stryja i przynosił mu rozkazy.

— Od kogo?

— Od spiskowców.

— Kto do nich należy?

— Tego nie wiem.

— Gdzie mają swą siedzibę?

— Także nie wiem.

— Hm, a czy twój stryj otrzymuje tajną korespondencję? Manfredo zawahał się.

— Jeżeli dobrowolnie nie będziesz odpowiadał, to każe cię wychłostać i wtedy język ci się rozwiąże.

— Tak, dostaje — wyjąkał.

— Chowają?

— Oczywiście.

— Gdzie?

— W podziemiu.

— Znasz to miejsce?

— Znam.

— Tam nas też zaprowadzisz. Teraz wstań i zaprowadź nas do więzienia Korteji i Landoli. Rozwiązał mu nogi i kazał iść przodem.

— Chwileczkę — powiedział Robert. — Najpierw muszę mu zabrać tajne instrukcje, jakie dziś otrzymał od owego grubego mnicha.

Wyciągnął z kieszeni papiery i wziął je, po czym udali się do dalszych cel więziennych.

Robert otworzył drzwi. Światło latarki wpadło do wnętrza i oświeciło powiązane postacie.

— Przychodzisz nas wypuścić? — spytał jakiś chrypliwy głos. Powiedział to Gasparino Kortejo, który sądził, że to Manfredo wchodzi do celi.

— Wypuścić? Ciebie łotrze? — zawołał Grandepriise biorąc latarkę z ręki Sternaua i wstępując do środka.

Kortejo spojrział na niego nieprzytomnie.

— Grandepriise — wyjąkał w końcu.

— Tak, to ja. Wreszcie złapałem ciebie i mego kochanego braciszka. Tym razem nie dam się zwieść, nie ujdziecie mi opryszki

— Skąd się tutaj wzięliście? — spytał Gasparino — Czyżby Hilario wami zastąpił Manfreda. Pomóż nam w ucieczce, otrzymasz ode mnie za to milion dolarów.

— Milion? Szubrawcu! Ty nie posiadasz nawet szeląga. Wszystko ci zabiorą, nie zachowasz nawet swego życia.

— Dlaczego? Ja ci przecież nic nie zawiniłem.

— Nic, draniu? To spytaj o to tego pana!

Tu skierował światło latarki na stojącego z tyłu Sternaua. Kortejo poznał go natychmiast.

— Sternau! — wykrztusił z trudem.

Jego brat i bratanica również z przerażeniem spojrzeli na przybysza.

— On jest wolny — zawołała drżącym ze strachu głosem Józefa.

— Diabeł, oszukał nas — zaklął Landola.

— Tak, oszukał was — odparł Sternau. — Rozpoczął się sąd boży. To więzienie opuścicie tylko po to, abyście mogli być przesłuchani i skazani na odpowiednią karę, za wszystkie wasze zbrodnie.

— Ha, ha! — zaśmiał się Landola. — A kto nas zmusi do przyznania się?

— Waszych wyznań wcale nie potrzebujemy. Zostaliście zdradzeni przez wszystkich. Zresztą znajdę środek, aby was zmusić do mówienia prawdy. Czyżbyś już zapomniał o mych metodach, Gasparino Kortejo? Co?

Nie padła żadna odpowiedź.

— No to ci przypomnę — powiedział Sternau — Pamiętasz może, jak cię uwięziłem i tak długo łaskotałem, aż na twych ustach pojawiła się piana?

Dreszcz przebiegł po ciele Korteja.

— Hrabia Emanuel jeszcze żyje, tylko ciągle jest chory. Będę znowu potrzebował antidotum na waszą truciznę, którą mu zafundowaliście. Przygotujcie się. Tylko was użyję do spreparowania lekarstwa.

Po tych słowach opuścił celę i starannie zamknął drzwi.

— A teraz pokażesz nam plan całego podziemia — rzekł zwracając się do Manfredo.

Poszli do pokoju ojca Hilario. Rzeczywiście w jego biurku leżał dokładny plan podziemia. Według niego, bez przewodnika można było zorientować się w całym rozkładzie. Następnie Manfredo zaprowadził ich do pokoju wykutego w skale, w którym Hilario przechowywał swoje tajne korespondencje.

Sternau przeglądnął je pobieżnie, następnie przeszukał zawartość paczek i skrzyń zawierających rozmaite kosztowności, które swego czasu oglądała Emilia. To ona mu powiedziała w jaki sposób uruchomić tajny mechanizm, by otworzyć drzwi.

— Do kogo należą te bogactwa? — spytał.

— Do mojego stryja.

— A skąd to pochodzi?

— Z klasztoru.

— Czyżby klasztor podarował mu te rzeczy?

— Nie.

— Czyli, że zabrał je i z własnej inicjatywy przechowuje tutaj. Klasztor został zlikwidowany, a te bogactwa zostały bez właściciela. Wspaniale. Wcześniej czy później trafią do kogoś, kto na nie zasługuje. A teraz chodźmy w te podziemia, do tego korytarza, który prowadzi na zewnątrz.

Po dziesięciu minutach stanęli przy tajnym wyjściu, zamaskowanym paru kamieniami. Wystarczyło odsunąć kilka płyt i ukazała się dziura, przez którą mógł wejść pojedynczy człowiek.

— Doskonale, przyda się nam — powiedział Robert do doktora po niemiecku, aby Manfredo ich nie zrozumiał.

— A w jakim celu? — spytał Sternau.

— Po prostu, dla tych dwustu żołnierzy, którzy mają tu przybyć o czwartej rano.

— Aha, rozumiem. To samo miałem na myśli, pytając go o tajne wyjście. Powiedz mi tylko, gdzie należy ich oczekiwać?

— Na dole, przy ścieżce wiodącej do klasztoru.

— Musimy przeszkodzić tym planom i to zarówno ze względu na cesarza, jak i ze względu na Juareza.

— Tylko w jaki sposób?

— Czy podejmiesz się roli Manfredo i na umówionym miejscu poczekasz na rabusiów.

— Wspaniały pomysł.

— Tak, ale wiąże się z wielkim niebezpieczeństwem.

— Ja nie wiem, co to strach.

— Dobrze, powiesz im więc, że Juarez dowiedział się o tym planie i wysłał do klasztoru oddział żołnierzy, tak że wejście przez bramę jest odcięte. Natomiast można wejść do środka tajnym korytarzem. Myślę, że ci uwierzą i dadzą się tu przyprowadzić.

— A co potem z nimi zrobimy?

— Przy pomocy proszku, który ojciec Hilario powinien posiadać, i to w nadmiarze, otumanimy ich i odbierzemy broń.

Zwrócił się teraz do Manfredo:

— Kto sporządzał ten proszek, który zapaliliście chcąc nas uwięzić?

— Mój stryj.

— Czy także umiesz go przygotować?

— Tak.

— A wilgoć mu nie szkodzi?

— Skądże, pali się doskonale w każdych warunkach.

— A czy przypadkiem, nie może także zabić?

— O nie senior, on tylko otumania, nie zabija.

— Macie gdzieś zapas tego proszku?

— Mamy całą beczułkę.

— Pokaż ją.

Wracali na górę innym korytarzem, Sternau zauważył to i powiedział do Roberta:

— Ten korytarz będzie najodpowiedniejszy, bo jest dłuższy, myślę, że wszyscy się w nim zmieszczą.

— Też tak sędzę, ale musi mi pan dać znak, gdy wszyscy już wejdą.

— Dobrze, zwołałam na ciebie, jakbym ci chciał coś przekazać.

— Ale nie prawdziwym imieniem.

— Naturalnie, że nie, zwołałam Manfredo.

— Ale co zrobimy z ich końmi?

— No cóż, zostawię je koło kamieniołomu, pod opieką kilku swoich ludzi. Potem poradzimy sobie z tą grupą.

— Znakomicie, w tej sprawie dogadaliśmy wszystko. Odprowadzili Manfredo do więzienia i wyszli na górę, by ustalić dokładnie wszystkie szczegóły.

Sternau natychmiast wysłał do Juareza Sępiego Dzioba po żołnierzy, którzy mogli by zabrać ze sobą bandę spiskowców oraz skarby i tajną korespondencję.

Wszystko co zaplanowali udało się znakomicie. Przy pomocy zapalonego proszku obezwładnili uzbrojoną hołotę, po czym rozbili także garstkę pozostawionych przy koniach. Żołnierze, którzy przybyli od Juareza zapakowali kosztowności, listy i w ogóle wszystko co tylko mogło się przydać prezydentowi mieli eskortować ich aż do kwatery prezydenta. Następnie Sternau, Robert, Sępi Dziób, Czarny Gerard, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i mały André razem z żołnierzami wyruszyli wprost do Juareza. Reszta pozostała w klasztorze, by strzec uwięzionych. Dwaj *vagneros*, którzy przybyli do klasztoru wraz z Gerardem, zostali wysłani do hacjendy, aby poinformować mieszkańców o tych szczęśliwych zdarzeniach.

Mariano także chciał przyłączyć się do wyjeżdżających, ale ciężki stan stryja nie pozwolił mu na to. Obowiązki przedłożył nad spotkanie z narzeczoną, która wraz z ojcem przebywała przy Juarezie.

\* \* \*

Po trzech dniach cała eskorta wraz z uwięzionymi i kosztownościami zameldowała się w Zacatecas.

Miasto tętniło życiem, wrzawa i radość przeplatały się nieustannie. Generał Eskobedo był głównodowodzącym, także Juarez zatrzymał się tu tymczasowo.

Sternau od razu udał się wprost do prezydenta, który chociaż ogromnie zajęty, gdy tylko usłyszał, kto prosi o audiencję, natychmiast kazał wpuścić. Robert założył na siebie strój Meksykanina, tylko przypiął do niego wszystkie swe odznaczenia i ordery. Sternau postanowił grać rolę drugoplanową, pierwszeństwo pozostawić młodemu, ale rokującemu świetną przyszłość oficerowi.

Na poważnej zazwyczaj twarzy Juareza można było wyczytać radość na widok wchodzącego Sternaua. Szybko podszedł do niego i podając rękę zawołał:

— To jednak prawda? To rzeczywiście senior ty, a ja się tak niepokoiłem o pana; myślałem, że pan naprawdę przepadł bez wieści.

— Tak panie prezydencie — rzekł poważnie Sternau. — W rzeczywistości, ja i moi towarzysze znajdowaliśmy się w strasznym położeniu, tylko temu młodemu człowiekowi zawdzięczamy wolność.

Juarez skierował swój przenikliwy, a zarazem pełen podziwu wzrok na Roberta i rzekł:

— Zechce mi pan przedstawić tego młodzieńca?

— Chciałem właśnie o to prosić. To kapitan Robert Helmer, z królewskiej gwardii huzarów w Prusach.

Robert skłonił się a prezydent spytał zamyślony:

— Robert Helmer? Mnie się zdaje, że już gdzieś słyszałem to nazwisko.

— Tak senior — odparł Robert. — Dzięki panu już dwa razy stałem się bogatym.

— W jaki sposób? — spytał zdziwiony prezydent.

— Za pańskim pośrednictwem otrzymałem dwie części skarbu królewskiego, Misteków.

Dopiero teraz Juarez przypomniał sobie okoliczności.

— No tak, pan jest z Kreuznach?

— Tak senior.

— Syn sternika Helmera i bratanek Piorunowego Grota.

— Tak jest.

— Witam, witam serdecznie.

Rozpoczęła się dyskusja, w czasie której Sternau opowiedział o przygodach jakie go spotkały od chwili rozstania się z prezydentem, po czym sprawozdanie ze swej działalności musiał zdać Robert.

Juarez z największą uwagą słuchał całego opowiadania. Dopiero kiedy rozmowa zeszła na temat tajemnych konszachtów zakonnika Hilario i niebezpieczeństwa grożącego cesarzowi Maksymilianowi, zaczął się niecierpliwie kręcić na krześle i powiedział oziębło:

— Wprawdzie nie powinienem tego zdradzać, bo przez to oddaję się w panów ręce, ale ufam wam, więc powiem, że dotychczas cały czas zamierzałem uratować tego intruza, który nazwał się cesarzem Meksyku. Poczyniłem nawet odpowiednie kroki, wysyłając moją zaufaną agentkę do Queretaro. Miała za zadanie nakłonienie Maksymiliana do odwrotu, z jakim skutkiem wiedzą panowie najlepiej.

— Jednak ja spodziewam się, że uda mi się wypełnić zadanie, które owej damie nie powiodło się — wtrącił młody oficer.

— Pan chciałby się tego podjąć? — spytał niezmiernie zdumiony prezydent

— Jak najbardziej — odparł Robert. — Prosiłbym tylko o wydanie przepustki.

— No dobrze, niech i tak będzie — powiedział Juarez po pewnym namyśle. — Tylko zastrzegam, jest to mój ostatni krok w celu uratowania tego człowieka.

Niedługo potem Robert wyjechał do Queretaro, niestety nie był pewny rezultatów podjętego dzieła. Sternau pozostał przy Juarezie, wiedział, że w obecnej sytuacji nie może podjąć dalszych działań. Postanowił poczekać aż do ostatnich chwil dramatu, aż do objęcia władzy w całym Meksyku przez Juareza.



## U CESARZA

Jesteśmy w Queretaro, na cesarskim dworze, gdzie generał Miramon jako przywódca tajnego spisku razem ze spowiednikiem cesarskim i swymi pomocnikami, małym, grubym zakonnikiem i ojcem Hilario pilnie snują tajne projekty, by uniemożliwić odwrót Maksymilianowi.

Na ostatniej naradzie ustalili, że ojciec Hilario, którego miał cesarzowi przedstawić Miramon, miał donieść, iż na tyłach wojsk Juareza ma wybuchnąć powstanie cesarskich stronników.

Największą przeszkodą dla wszystkich spiskowców stanowił generał Mejia.

Właśnie przebywał w gabinecie cesarza prowadząc z nim poważną rozmowę.

— A więc Puebla stracona?

— Najzupełniej, wasza cesarska mość.

— Możemy ją jednak odbić, mamy przecież jeszcze piętnaście tysięcy żołnierzy pod bronią.

— Temu przeszkodzi Eskobedo.

— Czyżby się go pan bał generale?

— Ja, bać się? Tego nie mogę powiedzieć, ale uważam go za najlepszego generała tamtej strony.

— Możemy go pokonać, mamy większe siły do dyspozycji.

— Na pomoc przyjdzie mu generał Diaz.

— Czy on jest równie znakomitym strategiem? — spytał Maksymilian z ironią.

— Niestety — odparł Mejia. — Jego dotychczasowe osiągnięcia świadczą o nim jak najlepiej. W otwarte pole nie możemy się zapuszczać, jedynie mury stolicy i Queretaro bronią nas przed ostateczną porażką.

— Według pańskiego zdania wszystko jest już stracone — odezwał się Maksymilian ze smutkiem w głosie.

— Wszystko — odparł Mejia potrząsając głową z rezygnacją.

— To co pozostaje?

— Śmierć!

— Ha! Może jednak ci zuchwalcy nie porwą się na mnie?

— A co ich powstrzyma?

— Inne państwa.

— Wasza cesarska mość! Proszę się nie łudzić. Miałem już nie raz sposobność dokładnie wykazać, że republikańców nie jesteśmy w stanie przestraszyć. Po owym nieszczęsnym dekreście wszystkie mosty zostały spalone. Jedyne ratunek w ucieczce. Proszę mnie postawić na czele swoich dwustu wiernych huzarów, a podejmę się przeprowadzić waszą cesarską mość do wybrzeża i na okręty.

— Ja mam opuszczać swoich wiernych poddanych i oddać ich na pastwę wrogów?

— Tak czy owak zostaną pozostawieni na pastwę republikańców.

— To niemożliwe, Miramon, Marquez, Larez!

— Tak, tak wszyscy. Nic ich nie obroni. Oni są bardziej znienawidzeni niż inni. Dla nich nie ma ratunku. Proszę mi wierzyć. Patrzę trzeźwo i jasno widzę przyszłość. Wróćmy do Europy, aby tam zebrać siły. Może później uda nam się dokonać tego, co teraz jest niemożliwe. Ja proszę, błagam waszą cesarską mość, proszę posłuchać mych słów i rad.

Klęknął przed Maksymilianem i podniósł błagalnie ręce w górę.

— Ja... nie mogę! — odparł cesarz.

— Proszę się zmiłować przynajmniej nad najjaśniejszą panią, naszą łaskawą cesarzową.

— Kogo pan wspominasz! — zawołał cesarz wstając. — Moja biedna, biedna Charlotta!

Ukrył w dłoniach twarz. Po chwili uspokoiwszy się nieco, powiedział:

— Proszę mnie opuścić na jakiś czas. Teraz jestem zanadto wzruszony ostatnimi nieszczęśliwymi nowinami i wspomnieniem mojej ukochanej żony. Za chwilę omówimy dalsze kroki i wysłuchamy relacji tej pana protegowanej, seniority Emilii.

Mejia posłuchał rozkazu. Przechodząc przez bramę spotkał generała Miramona. Sztywno skłonił się zniechęconemu przeciwnikowi i odszedł w głąb ogrodu, gdzie czekała na niego piękna Emilia.

Miramon kazał się zapowiedzieć dodając, że przynosi bardzo ważne nowiny. Zirytowany Maksymilian kazał go wprowadzić.

— Jakie to ważne nowiny sprowadzają pana do mnie? — spytał chłodno wchodzącego generała.

— Bardzo wesołe. Jego cesarska mość będzie mógł długo i spokojnie panować, ku radości i pożytkowi swego kraju i ludu.

— Nie bardzo pana rozumiem. Co to takiego?

— Juarez będzie musiał odstąpić od Queretaro.

— Co? — zawołał cesarz z niezmiernym zdumieniem.

— Diaz także musi się wycofać z Puebli i odstąpić od stolicy.

— To wydaje mi się nieprawdopodobne.

— Juarez będzie zmuszony.

— Tak, a przez co?

— Na skutek powstania, jakie wywołają wierni poddani jego cesarskiej mości.

Maksymilian zaczął gwałtownie chodzić po pokoju.

— Powstanie? Naprawdę?

— Właśnie przynoszę tę nowinę.

— Powstanie przeciwko Juarezowi?

— Tak jest.

— Gdzie?

— W wielu miejscach.

— Których?

— Najpierw w klasztorze della Barbara.

— Gdzie leży ten klasztor?

— W Santa Jaga.

— To dalej na północy niż Zacatecas?

— Tak.

— Czyli, że jest to powstanie na tyłach Juareza?

— Nie inaczej.

— A gdzie jeszcze?

— W paru innych miejscowościach, ale zawsze na tyłach republikanów.

— Skąd pan ma te wiadomości?

— Od jednego ze spiskowców.

— A na pewno można mu ufać?

— Najzupełniej.

— Gdzie on jest?

— Tuż pod drzwiami jego cesarskiej mości.

— Aha, pan go ze sobą przyprowadził?

— Myślałem, że wasza cesarska mość zechce tych ważnych wiadomości wysłuchać z pierwszych ust.

— To bardzo pięknie z pańskiej strony. Kim jest ten człowiek?

— Znakomity uczoney i sławny lekarz, Hilario, był kierownikiem szpitala z della Barbara.

— Czyli z samego miejsca powstania?

— Naturalnie.

— Proszę go wprowadzić.

Twarz Maksymiliana zajaśniała nadzieją. Poprzednia obawa i chęć ucieczki znikła jak cień. Pełne nadziei i otuchy oczy skierowały się na wchodzącego.

— Pan nazywa się Hilario? — spytał.

— Do usług waszej cesarskiej mości — odparł zapytany kłaniając się nisko.

— Zajmował się pan polityką?

— Dotychczas zajmowałem się jedynie moimi chorymi.

— Bardzo to chwalebne, słyszałem już jakie zasługi pan położył w ocalenie klasztornej szpitala. Ale podobno teraz jest tam niespokojnie?

— Wasza cesarska mość ma na myśli tamtejszą demonstrację?

— Tak, jak wypadła?

— Rozpoczęło ją może dwustu zbrojnych ludzi, wkrótce jednak cała tamtejsza ludność przyłączyła się do nich.

— W jaki sposób?

— Naprędce uzbrajano się, powywieszano chorągwie i poczęto być w dzwony. Następnie zaczęto wysłać manifesty do najbliższych wsi i miasteczek z rozkazem powszechnego zbrojenia się. Chcą sformować kilka batalionów i ruszyć na odsiecz swego pana i cesarza.

— Było wielu uczestników powstania?

— Wieczorem ich liczba wzrosła już do trzech tysięcy.

— W innych miejscach także się miały odbyć takie demonstracje?

— Tak jest. Mam przy sobie nawet ich spis.

— Proszę mi pokazać.

Podał cesarzowi kartkę. Przeczytawszy ją Maksymilian zwrócił się do Miramona mówiąc:

— I to wszystko na tyłach wojsk Juareza?

— Tym lepiej dla nas.

— Czy te inne wystąpienia także można uważać za udane?

— Oczywiście. Rozpoczęty ruch rozszerzy się wkrótce jak pożar po prerii. Według moich przypuszczeń już teraz co najmniej trzydzieści tysięcy stoi pod bronią. Siły fe na tyłach wojsk Juareza rosą i to z każdą godziną.

— Będę musiał wysłać tam odpowiedniego wodza.

— Właśnie o tym chciałem pomówić z waszą cesarską mością.

— To całkowicie zmienia postać rzeczy.

— Jak najbardziej. Republikanie ponownie będą musieli zwrócić się na północ i ruszyć przeciw nowemu wrogowi. Odetchniemy swobodnie i będziemy mieli czas podjąć odpowiednie kroki.

Podczas gdy Maksymilian pełen nadziei omawiał z Miramonem dalsze strategiczne plany, generał Mejia przechadzał się Emilią po ogrodzie. Obojgu chodziło o ocalenie cesarza i naradzali się jak najłagodniej skłonić Maksymiliana do ucieczki.

Wreszcie Mejia postanowił spróbować ostatniego środka i wprowadzić Emilię ze sobą do środka, aby w ten sposób wspólnymi siłami spróbowali ratunku, przeczuwał bowiem, że wejście Miramona i ta długa rozmowa z cesarzem z nim zagraża jego planom. Nie namyślając się wiele złapał Emilię za rękę i poprowadził na górę.

— Proszą, niech pani idzie ze mną! Proszą zaraz ze mną wejść do środka — rzekł do niej z naciskiem. — Każda chwila jest przez nas stracona i przez to rośnie niebezpieczeństwo.

Było to wbrew dworskiej etykietce. Miramon zmarszczył brwi widząc tak śmiało wchodzących przeciwników, lecz cesarz w swej radości nie zauważył tego. Pospiesznie zbliżył się do Meji i spytał z radością w głosie:

— Generale, słyszał pan, że nie potrzebujemy się nadal martwić naszą sytuacją?

Mejia uklonił się i zimno rzekł:

— Byłbym naprawdę szczęśliwy, gdyby to się sprawdziło. Wolno zapytać co za nowe okoliczności zaszły?

— Na tyłach wojsk Juareza wybuchło powstanie, w dziesięciu miejscach na równocześnie. Jest zmuszony cofać się, tymczasem my wyruszamy przeciw niemu i weźmiemy go w dwa ognie.

Rozsądny Mejia potrząsnął głową.

— Wasza cesarka mość ma na to dowody? — spytał.

— Naturalnie, tutaj stoi poseł.

Generał zwrócił się do zakonnika. Ten nie śmiał się obrócić, kiedy otwarto drzwi, więc nie zauważył jeszcze Emilii.

— Kim pan jest? — spytał go Mejia.

— Przedstawiłem już tego pana jego cesarskiej mości — odparł na to ostrym głosem Miramon.

Mejia zaśmiał się ironicznie.

— Przecież to nie przeszkadza, żebym i ja go poznał. Jego cesarka mość nie był na tyle łaskaw, aby wymieć mi jego nazwisko.

— Ten senior jest lekarzem, ojcem Hilario z klasztoru della Barbara, w Santa Jaga — powiedział cesarz.

Mejia nie mógł ukryć swego zdumienia. Skierował wzrok na Emilię, po czym z powrotem spojrzął na zakonnika, wreszcie zwrócił się do cesarza i spytał:

— Pozwoli mi jego cesarska mość zadać temu panu kilka pytań?

— Proszę pytać? — zezwolił cesarz.

— Czy to prawda, że pan jest lekarzem? — spytał Mejia.

— Tak — odrzekł zakonnik.

— Kto pana wysłał do Queretaro?

— Mieszkańcy miasta.

— Dlaczego?

— Z powodu demonstracji. Trzydzieści tysięcy uzbrojonych mężczyzn stoi gotowych do napadu na wojska Juareza i chcąc uwolnić jego cesarską mość.

— A kto jest ich przywódcą?

— Nie mają go jeszcze. Właśnie o takiego proszę.

— W takich wypadkach wysyła się delegację, a nie pojedynczego posła. Gdzie pan ma odnośną prośbę?

— Większa grupa ludzi i list mogłyby wpaść w ręce Juareza, dlatego przyjechałem sam.

— Spodziewam się, że jest pan uczciwym człowiekiem.

— Jak najbardziej.

— Zna pan tę damę.

Zakonnik obrócił się; natychmiast poznał Emilię, ale miał na tyle przytomności, że zapanował nad sobą i odparł ze spokojem:

— Znam.

— Kim więc ona jest?

— Szpiegiem Juareza. Nie spodziewałem się jej tutaj zastać.

— Co? — zawołał Miramon wpatrując się w Emilię.

Mejia zaśmiał się pewien siebie i odparł:

— Jego cesarska mość dobrze wie, kim jest ta dama, miałem bowiem już zaszczyt poinformować go co do bliższych okoliczności. Od niej dowiedziałem się przypadkowo, że była także w klasztorze della Barbara. Otóż co do tych nowin zdaje się, że...

Miramon wystąpił naprzód. Przeczuwając zamiary przeciwnika przerwał mu mówiąc pośpiesznie:

— Prywatne sprawy tego seniora obecnie nas nie obchodzą. Przede wszystkim musimy się zająć jego poselstwem.

— W które ja absolutnie nie wierzę — powiedział spokojnie Mejia.

— Senior! — zawołał Miramon. Mejia podszedł do niego mówiąc ostro:

— Co to za ton przybiera pan w obecności naszego miłościwego pana? Powtarzam, że w dowody tego człowieka nie wierzę, chyba, że takowe pokaże.

Cesarz niecierpliwie skinął ręką, a zwracając się do Miramona spytał:

— Generale. Pan wprowadził tutaj tego człowieka, jest pan przekonany, że on naprawdę jest posłem?

— Najzupełniej.

— Dobrze, to mi wystarcza. Zwróciwszy się Meji dodał:

— Muszę panu oznajmić, że w obecnej sytuacji nie potrzebuję już tej damy. Może pan ją odprowadzić.

Mejia zacisnął pięści, ale potrafił się opanować. Skłoniwszy się przed cesarzem odszedł razem z Emilią ustępując placu swojemu najzaciętszemu wrogowi.

Dopiero po godzinie Miramon wraz z Hilario opuścili gabinet Maksymiliana. Generał wyznaczwszy zakonnikowi *ventę*, w której miał nocować udał się do spowiednika.

Ten najwyraźniej na niego czekał, bo zaraz przy wejściu zapytał:

— Udało się, senior?

— Udało się, ale z trudem.

— Nie uwierzył od razu?

— Cesarz uwierzył, ale Mejia.

— Mejia?

— Tak, przybył do cesarza wraz z senioritą Emilią.

— Ona była także?

— Tak jest.

— Czego chcieli?

— Wspólnie ułożyli jakiś plan, którego mi jednak nie zdradzili.

— Do pioruna! Może ucieczki?

— Tak przynajmniej przypuszczam.

— Temu musimy przeszkodzić, ale co Emilia ma z tym wspólnego?

— Bardzo wiele. Właśnie Hilario wyjaśnił mi, że ona jest agentką Juareza. Przy jej pomocy zgubiono wielu Francuzów. Jest podobno równie niebezpieczna jak Czarny Gerard, o którym przed paroma tygodniami tyle opowiadano.

— Można więc przypuszczać, że cesarz i Mejia za jej pośrednictwem, to jest przy pozwoleniu Juareza, chcą uciec. Do tego nie możemy dopuścić’.

— Naturalnie, że nie, ale w jaki sposób?

— Ja zrobiłem co się dało. Cesarz uwierzył mnie i Hilario. Pełen nadziei oczekuje chwili, kiedy Juareza napadną z tyłu. Muszę przynajmniej w tajemnicy wysłać chociaż jeden pułk, aby napadł na tyły Juareza, wówczas całkowicie uwierzy w nasze słowa i wtedy znajdzie się w pułapce.

— To tylko połowa roboty. Mimo tego łatwo może się zawahać.

— A co nam jeszcze pozostaje?

— Wydalić tę senioritę.

— To prawda, wówczas Meji zabraknie dowodu i sposobu ucieczki.

— Ale jak to zrobimy?

— Musi to tak wyglądać, że ona sama uciekła. Wówczas Maksymilian uwierzy, że go chciała tylko oszukać i umknęła przed odpowiedzialnością.

— Trzeba ją będzie wydalić z miasta, oczywiście tak, aby nikt o tym nie wiedział.

— Nie inaczej. Wie pan gdzie mieszka.?

- Oczywiście. Mieszka u starej Mirando, gdzie często gościła.
- Mógłby ją pan dzisiaj w tajemnicy wywabić z mieszkania?
- To akurat potrafię, ale co dalej?
- Wyślę ją do Tulą i tam każę jej wytoczyć proces o szpiegostwo.
- Do tego znakomicie nadaje się Lopez, bo umie milczeć, więc on to zrobi ze swymi ludźmi. Będzie na nią czatował w pobliżu jej mieszkania. Należy ją tylko zręcznie wyciągnąć z domu.
- Dobrze, a więc o dziewiątej.
- Lopeza pięć minut przed tym wyślę do pana. *Adios!*
- *Adios!*

W czasie omawiania tego planu, Emilia powróciła do swego domu. Widząc, że jej rola jest bezskuteczna, tęskniła za powrotem. Nagle usłyszała na korytarzu męskie kroki. Stara służąca, która jej usługiwała wsadziła głowę do środka meldując.

- Jacyś dwaj panowie, chcą z panią mówić?
- Co za jedni?
- Jeden senior nazywa się Helmer, a drugi Stra... Stra... Strantenberger.
- Nie znam takich.
- Ale oni panią znają.
- Niech wejdą.

W drzwiach ukazał się Robert i mały André. Gdy tylko Emila zobaczyła tego ostatniego jej twarz natychmiast się rozjaśniła. Wstała z krzesła i wyciągając ręce zawołał radośnie:

- Mój Boże! Co za niespodzianka. To naprawdę wy, senior André?
- Jak pani widzi — odparł mały traper ściskając jej rękę.
- Skąd przybywacie?

André rozglądnął się ostrożnie, a widząc, że stara służąca oddaliła się rzekł przyciszonym głosem:

- Od Juareza.
- Od Juareza? To bardzo niebezpieczne.
- Mnie niebezpieczeństwa podniecają.
- O tym się już przekonałam, ale kim jest ten drugi senior? Błyszczącymi oczami spojrzała na twarz młodego mężczyzny.
- Hm, może zechcecie seniorita zgadnąć? — uśmiechnął się André.
- Zgadywanki mnie nie bawią.
- Ten senior zna mego brata.
- Aha.
- Kurta.
- Tak, tak — zaśmiała się.
- Z Kreuznach.
- Z Kreuznach? Czyli, że jest to młody Helmer.
- Tak jest, to kapitan gwardii huzarów Robert Helmer.
- Powitać, serdecznie powitać! — rzekła ucieszona podając mu swą rękę — Co nowego nam pan przynosi?

Robert i mały André na przemian opowiadali o wszystkim co ostatnio zaszło. Nie mogła wyjść ze zdziwienia, zwłaszcza, gdy usłyszała co zdarzyło się w klasztorze della Barbara. Sama także wtajemniczyła ich w swoje przygody, stanowczo odradzając Robertowi próbę nakłonienia cesarza do ucieczki.

Po godzinie odeszli obiecując uroczej gospodyni ponowne odwiedziny, a właściwie wpraszając się na kolację.

Kiedy zapadł wieczór Emilia ubrała się odświętnie oczekując na swych gości. Wtem na korytarzu usłyszała jakieś ciche, skradające się kroki. Para świecących oczu spoglądała przez

niedomknięte drzwi do środka. W drzwiach stanął zakonnik, spowiednik cesarza. Natychmiast go poznała i ze zdziwieniem spojrzała na niespodziewanego gościa.

— Proszę wybaczyć seniorita, — powiedział kłaniając się uprzejmie — że w tak dziwny sposób składam jej wizytę, ale chodzi o bardzo dyskretną sprawę — przerwał spoglądając uważnie jej oczy. — Czy to prawda, że była dzisiaj pani z generałem Mejią u cesarza?

— Tak jest.

— Jego cesarska mość nie mógł jej wysłuchać, bo był tam także generał Miramon, z jakimś posłem. Ponieważ nasz najmiłościwszy pan chce się jednak dowiedzieć czegoś dokładniejszego o osobie owego posła i względem tego pokierować swe dalsze kroki, dlatego przysłała mnie do pani, bym ją prosił, jeśli to możliwe o dyskretną rozmowę i to teraz.

— Ma mnie pan zaraz zaprowadzić do jego cesarskiej mości?

— Tak jest i mam pani zakomunikować od cesarza, aby to pozostało w tajemnicy.

— Obowiązkiem moim jest posłuchać pana, muszę jednak najpierw powiedzieć mojej służącej...

— Przepraszam, że przerywam, ale i służąca nie śmie nic o tym wiedzieć.

— Ja jej też nic nie powiem, rozkaże tylko, aby oznajmiła mym gościom, że będę ich mogła przyjąć dopiero za godzinę.

— Dobrze. Pani służąca jest na dole. Ja tymczasem udam się na ulicę i tam będę na panią czekał.

Wyszedł.

Emilia przebrała się szybko i zeszła po schodach. Na dole wydała służącej odpowiednie polecenia i wyszła na ulicę kierując się wprost do czekającego na nią zakonnika.

— Jestem do usług — rzekła zbliżając się do niego.

— Nikt nie wie gdzie pani wyszła? — spytał ją spowiednik.

— Nie.

— To dobrze. Proszę iść za mną.

Nie zrobiła nawet dziesięciu kroków, kiedy naraz jakieś silne ramiona chwyciły ją od tyłu.

— Ratus...!

Nie mogła dokończyć zdania, bo w tej chwili ktoś wsadził jej do ust chustkę i pospiesznie skrępował ręce oraz nogi.

Drugą chustką zawiązali jej oczy. Poczowała, że ją podnoszą na konia i pakują w ręce jakiegoś jeźdźca, po czym koń pogalopował w dal.

Nie mogła się nawet poruszyć, tak silnie ścisnęły ją ramiona jeźdźca. Po odgłosie kopyt poznała tylko, że przejeżdżają przez miasto, a potem poza obręb murów, gdzie przyspieszyli bieg. W takim tempie przejechali, jak się jej zdawało, kilka godzin, po upływie których oprawca zdjął jej wreszcie chustkę z oczu i wyjął knebel. Wreszcie mogła swobodnie i głęboko odetchnąć.

— Na Boga! Co się stało? — spytała.

Widząc koło siebie kilku jeźdźców ponownie zawołała:

— Panowie, musieliście się pomylić.

— Absolutnie nie — zaśmiał się jeden z nich. — Bardzo dobrze wiemy kogo wieziemy.

— Czego ode mnie chcecie? Co chcecie ze mną zrobić?

— Siedź cicho. Dowiesz się dokładnie, gdy przyjdzie na to czas. Z takimi jak ty bardzo łatwo się uporać, stryczek na szyję i po krzyku! Na nic innego nie zasłużyłaś.

Słowa te wypowiedział pułkownik Miguel Lopez, stryj marszałkowej Bazaine, żołnierz legii francuskiej, częsty i miły gość pałacu cesarskiego.

— Tu masz dla siebie konia. Nie myślę cię dalej dźwigać. Przywiążemy cię do wierzchowca, tylko nie próbuj się opierać albo uciekać, bo kula cię nie minie.

Przywiązali ją do siodła. Pułkownik złapał za cugle i znowu pogonili do przodu. Tak przejechali blisko trzy godziny, kiedy po drodze natrafili na *ventę*, w której oknach widać było jeszcze słabe światło.

— Enrico, zobacz kto jest w środku — rozkazał pułkownik. Żołnierz zsiadł z konia i przez szpary w oknach zajrzał do środka.

— Kilku *vaqueros* — powiedział.

— Ilu ich jest?

— Widzę trzech, ale myślę, że są tam jeszcze inni, ale nie wielu więcej.

— To dobrze. Zsiądźmy, aby zwilżyć gardła. Tę babę odwiążcie także i wnieście do izby. Przywiązali konie do żłobu, po czym za pułkownikiem weszli do środka.

\* \* \*

Kiedy tych pięciu żołdaków krępowało Emilię w Queretaro, spowiednik cesarza stał na straży. Gdy tylko wsiedli na konie, zapominając o ostrożności zawołał za nimi:

— Szczęśliwej drogi do Tulą!

Jeźdźcy nie zwrócili na to uwagi, spowiednik także nie zauważył w pobliżu nikogo, a jednak słowa te usłyszało dwóch mężczyzn, którzy przechodząc przez wąskie uliczki usłyszeli nagle od strony domu seniority głośny krzyk.

— Ratus...!

Robert i mały André przystanęli natychmiast, gdyż oni to właśnie byli i nasłuchiwali.

— Co to było? — spytał André.

— Ktoś wołał o pomoc — odparł Robert.

— Ale nie mogłem dokończyć, widocznie zakneblowano mi usta.

— Ten głos należał do kobiety.

— Naturalnie, musimy pospieszyć na ratunek. Naprzód!

— Stać! Musimy to zrobić pomału i po cichu, tak będzie bezpieczniej.

Starali się stąpać jak najciszej. Właśnie podeszli pod otwartą bramę domu Emilii, kiedy ujrzeli całą grupę wsiadającą na konie i usłyszeli słowa spowiednika.

Jednym skokiem znalazł się Robert przy wołającym i chwytając go za płaszcz zawołał:

— Łajdaku! Co tu się stało?

— Nic — odrzekł schwytywany.

Nagłym szarpnięciem zrzucił z siebie wierzchnie odzienie i zniknął w pierwszej bocznej uliczce, zostawiając Robertowi w ręce tylko płaszcz.

— Ucieka! — krzyknął André.

Chciał pobiec za nim, lecz Robert zawołał:

— Stój!

André posłuchał, począł jednak mruzczyć z niezadowolenia:

— Mamy tego draba wypuścić?

— To jedyne wyjście. Nawet gdyby moje przypuszczenia okazały się prawdziwe, nic nam to nie pomoże.

— Co? Co pan ma na myśli? Może myśli pan, że... że to była seniorita Emilia?

— Musimy się przekonać.

— No cóż, w takim razie nie chcę być w skórze tych łotrów. André pobiegł szybko przez bramę i jak burza wpadł do pokoju Emilii. Pokój był pusty, nadeszła jednak służąca i spytała:

— Kogo pan szuka?

— Czy seniorita Emilia jest w domu?

— Nie — odparła stara. — Pan już tu dziś był i to zapewne na pana czekała seniorita?

— Tak.



— W takim razie mam panów poinformować, żebyście przyszli dopiero za godzinę.  
— Dlaczego? — spytał Robert.  
— U seniority był właśnie spowiednik cesarza i wyszła razem z nim.  
— Proszę zaświecić światło. Czy zna pani ten płaszcz?  
— Na niebo, toż to płaszcz cesarskiego spowiednika!  
— Tak? Wspaniale. Teraz wiem wszystko. Proszę pani, seniorita wyjechała na jakiś czas, ale wróci. Tymczasem proszę pozamykać jej pokój i zabezpieczyć rzeczy. Nikomu proszę nie dawać klucza od jej pokoju.

Pozostawił zdumioną służącą i wybiegł prędko w kierunku *venty*. Mały André pobiegł za nim.

— Do stu diabłów! Wyjechała? — spytał biegnąc za Robertem.

— Ależ skąd!

— Przecież przed chwilą właśnie to powiedział senior do służącej. — Bo ona nie potrzebuje o niczym wiedzieć. Senioritę Emilię porwali i dzięki słowom tego głupiego zakonnika wiemy przynajmniej, gdzie ją zawieźli. Dlatego czym prędzej musimy zapłacić nasz rachunek i jechać za nimi. Zna pan drogę?

— Jechałem już nią kiedyś.

Szybko załatwili formalności w *vencie* i wyjechali. Przy bramie miasta zostali zatrzymani przez strażę.

— Stać! Kto jedzie?

— Oficer!

— Nazwisko.

— Petro Gibellar.

— Droga wolna.

— Nie jechało tedy przed chwilą pięciu jeźdźców? — spytał Robert wartownika.

— Dlaczego pan pyta?

— Bo my należymy do tej grupy, tylko dopiero teraz dostaliśmy rozkaz wyjazdu.

— A to co innego. Tak, pułkownik Lopez jechał z czterema żołnierzami.

— I z damą?

— Tak, za bramą puścili się galopem.

— Mam nadzieję, że mimo tego dogonimy ich. Masz tu na julep.

— Dziękuję, senior.

Podczas, gdy żołnierz otwierał bramę, Robert rzucił mu srebrną monetę. Za miastem puścili konie galopem. Mały André mruknął tylko pod nosem:

— Ładne porządki panują tutaj, w Queretaro.

— Dlaczego?

— Nawet hasła nie żądają przy bramie.

— To akurat dla nas dobrze, gdyby go zażądał musiałbym go kolbą powalić i tym sposobem wyjechać z miasta.

— Szkoda by było takiego barana.

Jechali kilka godzin nigdzie nie spotykając uciekających. Wreszcie na prawo od drogi ujrzeli jakąś *ventę*. Przez zamknięte okiennice padał blask światła.

— Czyżby wstąpili do środka? — spytał André.

— Zapewne.

— Po czym pan to wnosi?

— Gdyż tam na prawo, przy żłobie stoją uwiązane konie.

— Rzeczywiście! Mamy ich!

— Tylko cicho. My też uwiążemy nasze konie, ale nie tutaj, tylko bardziej z tyłu. Jak wejdziemy do środka, to proszę pamiętać, że seniority Emilii w ogóle nie znamy.

Zsiedli z koni, przywiązali je i poszli w stronę drzwi, zza których dochodziły wrzaski. Przez szparę zajrzeli do środka.

— Jeden oficer i czterech żołnierzy — szepnął André. — A przy drugim stole kilku *vaqueros*.

— W tyle koło komina siedzi Emilia — dodał Robert.

— Tak. No, ciesz się pułkowniku Mo.. Po.. Ro... jakże do licha on się nazywa?

— Lopez.

— Aha, Lopez, no raduj się drabie! Mały André już ci siedzi na karku!

— Musimy go oszczędzić.

— Zobaczymy.

— Tak wielki gwar panuje w środku, że najprawdopodobniej nie słyszeli naszych koni. Chodźmy do środka.

Robert miał rację. Kiedy weszli do małej izby, pułkownik poderwał się z ławy, ale widząc tylko dwóch przybyszów uspokoił się natychmiast i począł ich bacznie obserwować.

Siedli przy stole obok drzwi, tak, że nikt nie mógł się im wymknąć.

André zamówił u gospodarza trzy szklaneczki wina.

— Trzy? — spytał zdziwiony gospodarz.

— Tak.

— Ale panów jest tylko dwóch.

— To akurat nic cię nie obchodzi.

Na to do rozmowy wtrącił się pułkownik.

— Kim panowie jesteście?

André siedział zwrócony do niego plecami, słysząc pytanie odwrócił się i począł bez żenady spoglądać mu w oczy, mrużąc:

— Co za ciekawość!

— Co? Ciekawość? — zawołał rozszłoszczony oficer. — Wiecie kim ja jestem?

— Hm, my nie jesteśmy tacy ciekawscy, a i tak czegoś rozsądnego na pewno się nie dowiemy.

— Człowiecze, tyś chyba zwariował!

Po tych słowach pułkownik podniósł się i podszedł do ich stołu.

Emilia, gdy ich tylko zobaczyła zrozumiała, że przybył ratunek, ale nie dała tego po sobie poznać ani jednym drgnieniem powieki. Obecnie jednak zaniepokoiła się o małego przyjaciela. Ten bez cienia obawy spoglądał na napuszonego pułkownika odpowiadając z flegmą:

— To prawda, jeden z nas naprawdę musiał zwariować.

— Ty człowieku!

— Tylko spokojnie.

W mgnieniu oka uderzył pięścią w okolice żołądka, stojącego nad nim oficera tak potężnie, że ten runął na ziemię, jak rażony piorunem. W momencie klęczał mu na piersi i ścisnął za gardło.

Czterech żołnierzy porwało się natychmiast chcąc pospieszyć pułkownikowi z pomocą, lecz Robert błyskawicznie wyciągnął rewolwery i trzymając je skierowane w ich stronę krzyknął:

— Stać! I to bez ruchu! Nie chcę słyszeć ani słowa, bo strzelam! Widzieli, że wobec takiej sytuacji nie było sposobu sięgnąć nawet po broń, więc uznali za stosowne posłuchać polecenia.

Karczmarz i *vaqueros* przyzwyczajeni do scen tego rodzaju, nie zamierzali się nawet mieszać.

— Uporałeś się z pułkownikiem? — spytał Robert.

— Jeszcze moment — odparł mały André, ponownie uderzając go pięścią, ale tym razem w głowę. — Tak, na dziś będzie miał dosyć.

Podszedł do ściany, na której wisiały sznury i zdjąwszy je zaczął wiązać żołnierzy. Nawet nie odważyli się sprzeciwić, ciągle patrząc na skierowane na siebie lufy rewolwerów. Na koniec André związał także pułkownika.

— Skończone! — zawołał traper. — A teraz nikt nie śmie opuszczać tej izby bez naszego pozwolenia. Nikomu nic się nie stanie, ale gdy ktoś nie zechce posłuchać rozkazu, ten poczuje moją pięść.

Podszedł do Emilii.

— Co też pani musiała przeżyć — rzekł rozwiązując jej ręce. — Przybyliśmy właśnie wtedy, gdy te draby panią porywały. Proszę ze mną, proszę się orzeźwić winem.

Poprowadził ją do stołu i podał jej tę trzecią, zamówioną szklaneczkę.

— Widzicie, — rzekł do gospodarza — że miałem rację zamawiając trzy szklanki wina.

Emilia poczęła im serdecznie dziękować, opowiadając całą przygodę oraz to, że na następnym dzień miano ją powiesić.

— Co? — zawołał oburzony André. — Panią mieli powiesić?

— Tak jest.

— To chyba jakiś głupi żart.

— O nie, to święta prawda.

André ze złości kopnął nieprzytomnego pułkownika tak, że ten potoczył się pod ścianę.

— No, niechby się tylko odważyli — zawołał. — Gdybym jutro przybył do Tulą i na dodatek zobaczył coś takiego, to całe miasto puściłbym z dymem.

Emilia podała mu swoją białą, małą dłoń mówiąc:

— Wierzę panu, że uniósł by się pan gniewem i serdecznie dziękuję za współczucie.

— Co? Uniósłbym się gniewem? — zawołał. — Zwariowałbym, oszalałbym tak jak Robinson czy Roland. Czy pani pamięta jeszcze co w Chihuahua uczyniłem dla moich towarzyszy.

— Pamiętam bardzo dobrze i nigdy tego nie zapomnę.

— Dla pani jestem gotowy zrobić sto razy więcej. Ale teraz proszę pić, aby straszne przeżycia nie zaszkodziły pani.

Podniósł szklanekę do ust, lecz w tej chwili na dziedzińcu zadźwięczały końskie kopyta. Do środka wszedł mały, gruby jegomość, członek tajnego związku.

Ujrawszy powiązanych Francuzów, chciał się natychmiast cofnąć, ale André z szybkością kota przyskoczył do niego, wołając:

— Chwileczkę, przyjacielu! Musisz tu zostać. Kto tu raz wejdzie, musi przynajmniej tak długo pozostać w środku, dopóki my nie odjedziemy.

— Ale senior, ja nie chciałem się tutaj zatrzymywać — wyjąkał przestraszony człowieczek.

— Tak? A co chciałeś?

— Chciałem tylko napić się wina i natychmiast jechać dalej.

— Napij się zamiast jednej szklaneczki dziesięć, tymczasem my się uporamy, a potem możesz jechać gdzie ci się podoba.

— Niestety, to jest niemożliwe — odezwał się Robert z uśmiechem. — Ten senior musi nam towarzyszyć.

— Towarzyszyć? — spytał grubas. — Dokąd?

— Do Juareza.

Przybysz zbladł jak ściana.

— Do Juareza? — spytał jękając się. — Po co?

— Bo pan prezydent życzy sobie pana poznać. Gdzie to senior dzisiaj przebywał?

— Tutaj, w okolicy.

— Nie w Queretaro?

— Byłem i tam.

— Co pan tam robił?

- Jestem kupcem, więc jeżdżę w interesach.
- Zgadza się, tylko, że pan kupczy kłamstwem, a interese waszym jest zdrada.
- O Boże, senior mnie z kimś myli — zawołał grubas przerażony.
- Myle? Zaraz się przekonamy. Zna pan Santa Jaga?
- Nie.
- A klasztor della Barbara, też nie?
- Nie.
- I nigdy pan tam nie był?
- Nie.
- Zna pan może ojca Hilario?
- Nie.
- A jego bratanka Manfredo?
- Także nie.
- Kłamię pan. Ja sam tam pana widziałem.
- Niemożliwe, senior się myli.

Robert podniósł się wolno i tak potężnie uderzył grubasa w twarz, że głowa aż mu odskoczyła. Mały złapał się za policzek i zawołał płaczliwie:

— Robi mi pan krzywdę. To musiał być ktoś bardzo do mnie podobny.

— Podobny? Właśnie kubek w kubek taki sam. Nie rozmawiałeś w środę wieczór, w pokoju ojca Hilario z jego bratankiem?

— Nie.

— Nie informowałeś go o tym, że w nocy do klasztoru przybędzie dwustu uzbrojonych jeźdźców, których ma wpuścić do środka?

Zakonnik spojrzał przerażony na Roberta, mimo tego nadal kłamał:

— Nie.

— Ci żołnierze mieli z klasztoru wzniecić powstanie, które miało na celu oszukanie cesarza i zmuszenie Juareza do zamordowania Maksymiliana.

— Ależ skąd, nawet o tym nie pomyślałem.

— Kłam, jak ci się długo podoba, katem nie jestem. Jednak nadejdzie chwila, gdy będziesz zmuszony wyjawić całą prawdę i zdradzić swoich kompanów, członków spisku. Tymczasem przywiąże—my cię do konia i weźmiemy ze sobą. A teraz w drogę.

Zapłacił za wino i przy pomocy małego André przywiązał grubasa do konia. Emilia wsiadła na wierzchowca i całe towarzystwo ruszyło naprzód.

Wracając musieli okrążyć Queretaro, dopóki nie natrafili na przednie straże Juareza,

Zaprowadzono ich do kwatery generała Veleza, który widział Roberta u Juareza i dobrze znał Emilię.

Był to dzielny, ale bezwzględny republikanin. Gdy dowiedział się co zaszło, przeszył grubasa ostrym wzrokiem, po czym zapytał:

— A więc, zaprzeczasz, że to co mówi ten senior jest prawdą?

— Zaprzeczam, bo to ja mówię prawdę.

— I nie jesteś tym, za którego on cię uważa?

— Ja nazywam się Perdillo i handluję materiałami.

— A teraz mówisz prawdę? — spytał generał z szyderczym uśmiechem.

— Czystą prawdę.

— A jeżeli ja cię znam i to lepiej niż ten senior?

— W takim razie i pan się myli.

— Łotrze! Ja nigdy nie zapominam raz widzianego człowieka, tym bardziej kogoś o tak charakterystycznej fizjonomii. Nigdy nie znałeś może mnicha, o nazwisku Juanito?

Gruby zbladł jak płótno.

— Nie — odparł drżąc ze strachu.

- Tego, który zbiegł z klasztoru Anuamente?
- Nie.
- I który wydał Francuzom na stracenie generała Tonamente?
- Nie znałem go, senior.

Całe to przesłuchanie odbywało się na wolnym powietrzu. Generał stał jak mściciel nad swoją ofiarą.

— Łotrze! Miałeś odwagę popełnić te wszystkie zbrodnie, ale nie masz jej, aby się przyznać — zawołał Velez. — Nazwałeś się Perdillo, czyli zgubiony. Miałeś przecucie, bo naprawdę jesteś zgubiony. Bez spowiedzi zejdziesz z tego świata.

Sięgnął za pas, za którym miał zatknięty rewolwer. Huknął strzał... zakonnik trafiony kulą w głowę padł na ziemię.

- Generale! — zawołał Robert.
- Co? — spytał rozgniewany Velez.
- On powinien zostać przy życiu.
- Po co?

— Bo wcześniej czy później musiałby się przyznać i wydać wszystkich swoich współników.

— Ba! Nie potrzebuję o nich niczego wiedzieć. Te łotry prędzej czy później także wpadną w moje ręce. Takiego draba nie chcę zachowywać na żadne przesłuchania, bo kto mi zaręczy, że nie ucieknie przy pierwszej lepszej sposobności. Najlepszy jest krótki proces.

\* \* \*

Tego samego dnia pułkownik Lopez ze swymi czterema żołnierzami powrócił do Queretaro. Natychmiast udał się Miramona by zameldować o wypadkach.

Generał wysłuchał relacji w najwyższym zdumieniu.

- Co? — zawołał. — Dwóch pokonało pięciu?
- Oni nas po prostu zaskoczyli.
- Dokąd zawieźli tę dziewczynę?
- Do Juareza.

— Przynajmniej tyle dobrze. Cesarz nie będzie jej widział, więc nie będzie z nią rozmawiał. Teraz daruję panu ten błąd, ale spodziewam się, że w przyszłości bardziej sumiennie będzie pan wypełniał moje rozkazy. Porozmawiamy o tym przy następnej okazji.

Od tego momentu dalsze wypadki następowały z szybkością błyskawicy. Eskobedo doszedł aż do Queretaro i okrążył Maksymiliana wraz z całą piętnastotysięczną załogą, dwudziestopięciotysięczną armią republikanów.

Porfiro Diaz przystąpił do oblężenia stolicy, w której panowała nędza i głód.

Robert nie chciał beczynnym przyglądać się wydarzeniom. Przyłączył się do sztabu i kierował pracami oblężniczymi. Sternau jako lekarz oddawał republikanom ogromną przysługę.

Juarez przeniósł swą kwaterę główną do San Luis Potosio. Lindsay wraz z Amy cały czas przebywali przy nim. Naturalnie dowiedzieli się już o ostatnich wypadkach, a więc troska o narzeczonego spadła biednej Amy z serca. Nie mogła wprawdzie do niego pojechać, gdyż droga do Santa Jaga ciągle była niebezpieczna, ale za to czułe listy kursowały bardzo często.

Sternau przy pierwszej nadarzającej się okazji zatelegrafował do rodziny, donosząc o szczęśliwych zdarzeniach.

## TELEGRAM

W Kreuznach kapitan Rodenstein siedział właśnie w swoim pokoju zajęty czytaniem listów i przeglądaniem rachunków. Włosy przyprószone miał siwizną, a dawna dziarska postawa pochyliła się, widać, że lata ciążyły mu już, a na dodatek zaczął mu dokuczać bardzo niepożądany gość, reumatyzm.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili w środku zjawił się Kurt. Zamknawszy za sobą drzwi wojskowym zwyczajem stuknął obcasami i salutując czekał, dopóki kapitan pierwszy nie zabierze głosu. Dopiero po pewnej chwili Rodenstein obrócił się do niego i rzekł krótko:

— Dzień dobry Kurt!

— Dzień dobry, panie kapitanie.

— Stało się coś nowego?

— Nic.

— Żadnego kłusownika, ani cielęcia?

— Nie.

— Niech cię diabeł porwie z twoim wiecznym „nie”... och!

Zniecierpliwiony poruszył się trochę szybciej niż mu na to pozwalały nogi. Nowe strzyknięcie w kościach wydarło z niego ten okrzyk bóleści.

— Masz babo! — zrzędził nadal. — Byłbym szczęśliwy, gdybyś to ty zajął moje miejsce, ale razem z tym przeklętym strzykaniem w kościach.

— Rozumiem, pan nadleśniczy chciałby zostać Kurtem bez reumatyzmu?

— Hm, ja także mam swoje cierpienia i kłopoty.

— Ciekawy jestem jakie?

— Chciałbym na przykład dostać podwyżkę pensji.

— Do stu piorunów! Co ci łązi po głowie... och! człowieku, wynoś się stąd, bo inaczej moja fajka polepszy ci pensję, ale na nosie... he... kto tam? — powiedział, gdyż ponownie usłyszał pukanie.

— A skąd ja mam wiedzieć? — spytał flegmatycznie Kurt.

— Ośle, to popatrz, jak nie wiesz!

— Wedle rozkazu, panie kapitanie. Wyjrzał na korytarz, a potem powiedział:

— Posłaniec, z telegramem.

— To go wpuść!

— Wedle rozkazu.

Posłaniec wszedł do środka.

— Skąd telegram? — spytał kapitan wyciągając rękę po dokument.

— Z Meksyku — odparł posłaniec podając kopertę.

— Co? Z Me... Meks... Meksyku? Skąd durniu?

— Z Meksyku.

Kapitan wytrzeszczył oczy i spytał:

— Czy to prawda?

— Naturalnie. Tu, na tej pieczęcie jest tak napisane.

— A niech mnie licho porwie! To ci dopiero niespodzianka, wiadomość z Meksyku! Ha, po co ty mi stary gracie — to mówiąc wyrzucił swą fajkę. — Od jutra masz mi nową napychać! Zrozumiałeś Kurt!

— Wedle rozkazu! — mruknął Kurt dodając półgłosem: — Nie szkoda to takiej ładnej fajki wyrzucać przez okno. Najpierw miała wylądować na moim nosie, a teraz leży na dziedzińcu. Mnie pewnie by się przydała.

— To idź na dół i weź ją sobie — burknął kapitan usłyszawszy ten monolog.

Jednak poczciwy Kurt nie ruszył się. Był bardzo ciekawy, co za informacje znajdują się w telegramie. Kapitan otworzył kopertę i począł czytać:

*Do kapitana Rodensteina  
Kreuznach.*

*Robert uratował wszystkich. W liście będzie więcej.*

*Wasz Karol.*

Jeszcze raz przesyłabizował tych parę słów potem jednak poderwał się z krzesła i skacząc jak młokos wołał:

— Wszyscy uratowani! Hurr! Robert ich uratował! Wiwat! W liście będzie obszerniej! Wasz Karol! Wiwat! Słyszałeś Kurt?! Czego ty tu jeszcze stoisz gamoniu?

Ostatnie słowa skierowane były do posłańca, który znał kapitana wystarczająco długo, więc nie obraził się na tę odzywkę, tylko z uśmiechem odparł:

— Czekam na zapłatę, panie kapitanie.

— Jaką zapłatę?

— Za telegram.

— Aha, chcesz łapówki, no dobrze.

Zaczął się kręcić po pokoju, jakby szukając jakiegoś przedmiotu, którym mógłby obdarować posłańca, wreszcie utkwiał wzrok na starym zegarze z kukułką, który już przez dziesięć lat odpoczywał w spokoju. Jednym skokiem znalazł się na krześle i zerwawszy zegar ze ściany rzucił go zdziwionemu posłańcowi prosto w ręce, mówiąc:

— Oto masz swoją zapłatę. Wprawdzie on już nie chodzi, ale zawsze może służyć za ozdobę. Jak go komuś podarujesz, to me będziesz musiał dawać do naprawy. Ciesz się, skoro ja się cieszę! Ale teraz za drzwi, zrozumiałeś!

Wypchnął człowieka za drzwi. Ogłupiały posłaniec skierował się na schody niosąc ze sobą ciężki, stary zegar ścienny.

Kurt ciągle stał obok drzwi patrząc szeroko otwartymi oczami na kapitana. W końcu spytał:

— Panie kapitanie. Nie boli już?

— Co takiego?

— Nie szczypie, nie strzyka?

— Co do diabła?

— No w nogach, reumatyzm?

Dopiero teraz stary kapitan przypomniał sobie swoje kości. Począł tupać nogami a wreszcie krzyknął:

— Kurt! Jak Boga kocham, uciek! Znikną! Przepad! Niech goj pan Bóg ma w swojej opiece!

— To jednak bardzo dziwne! — odezwał się Kurt kręcąc z niedowierzaniem głową.

— To prawda, ale jaka może być tego przyczyna?

— Radość z telegramu.

— Tak, radość! Pomyśl sobie, zatelegrafował do mnie! Poczciwina z tego Karola. Skacz na dół i zamów dla nas ekstra obiad na dzisiaj!

— A co takiego?

— Kluski ze śledziem, albo jajecznicę z kapustą lub śliwczankę z serem.

— A może wszystko na raz?

— Dobrze, niech i tak będzie, ja muszę spieszyc do Rodrigandy, aby tam przeczytać telegram.

— A reumatyzm?

— Przecież uciek!

— Ale może powrócić.

— Ja bym mu raczej nie radził, bo pokaże mu gdzie pieprz rośnie.

Z tymi słowami wybiegł z pokoju i pomaszerał utykając od czasu do czasu, w stronę zamku. Można sobie wyobrazić, jaką radość wywołała ta nowina w całej rodzinie.

\* \* \*

Tymczasem oblężenie Queretaro posuwało się szybkim krokiem naprzód. Siły wojsk cesarskich topniały z każdym dniem.

Maksymilian począł rokować z generałem Eskobedo. Chciał poddać miasto, jednak pod pewnym warunkiem; europejscy żołnierze wraz ze swymi krewnymi będą mieli wolny powrót do kraju, a wszyscy stronnicy cesarscy będą mogli liczyć na amnestię, jednak Eskobedo na tak postawione warunki odpowiedział bardzo zwięźle:

— Mam rozkaz zdobyć miasto, nie mam jednak pozwolenia wdawać się w jakiegokolwiek układy z rzekomym cesarzem. Tysiące ofiar dekretu z trzeciego października woła o pomstę. Arcyksiążę Austrii był bardzo nierozważny. Niejednokrotnie miał sposobność uratowania własnej osoby. Nie uczynił tego, a więc niech skutki naszego postępowania przypisze tylko sobie.

Nic nie wskórawszy u generała, Maksymilian listownie zwrócił się do Juareza, nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Tak samo ułożyły się działania generała Miramona. Rozpoczął korespondencję z rozmaitymi osobistościami z obozu Juareza, jednak bez skutku. Miał pozostać w tej samej pułapce, w którą wsadził Maksymiliana.

Właśnie wszedł do swoich pokoi, kiedy niespodziewanie stanął przednim kawaler Legii Honorowej, przyjaciel cesarza, pułkownik Miguel Lopez.

Z biegiem czasu Maksymiliana mianował go komendantem i gubernatorem twierdzy oraz zamku Chapultepek, a także pułkownikiem gwardii, miał więc dosyć powodów do wdzięczności wobec cesarza.

Przed generałem stanął z zatroskaną miną.

— Właśnie wracam z inspekcji — rzekł do niego Miramon. — Najwyżej kilka dni zdołamy się jeszcze utrzymać. Carro de las Campanas całkowicie zrujnowane przez nieprzyjacielski ostrzał, miasto także poniosło ogromne szkody, jeden fort la Benze trzyma się jeszcze jako tako.

— Tego fortu przecież nie zdobędą.

— Nie łudźmy się, Eskobedo niedługo wkroczy i rozpocznie się krwawa zemsta, za ten nieszczęsny dekret z trzeciego października.

— To znaczy, że nie ma już ratunku?

— Jest, jeden jedyny. Bohaterska śmierć z bronią w ręku.

— No cóż — powiedział ironicznie Lopez. — To bardzo piękna i godna śmierć, zginąć w obronie swego cesarza! Ja jednak nad takie zaszczyty wynoszę swe życie.

— Właściwie ma pan rację — odparł Miramon z namysłem. — Mnie także to nie w smak, zwłaszcza, gdy widzę, że ten pół Indianin, ten nieokrzesany prezydent Juarez obejmuje rządy. Zostanie panem Meksyku, a do tego będzie miał mir wybawcy i oswojonego kraju.

— Musi się znaleźć jakaś droga ratunku.

— Jedną znam.

— Tak? Jaką to generale?

— Bardzo tajemną, o której nawet trudno samemu pomyśleć, a cóż dopiero zdradzić drugiej osobie.

— Czyli, że nie mogę jej poznać?



— Tylko pod warunkiem całkowitego milczenia.  
— Będę milczał jak grób.  
— Przysięga pan?  
— Przysięgam na Boga i wszystkich świętych, że żadne ludzkie ucho nie usłyszy tego, co teraz będziemy omawiać.  
— Dobrze, zaufam panu. Zaczniemy więc najpierw od położenia cesarza.  
— On jest zgubiony.  
— Tak pan sądzi?  
— Jestem o tym przekonany. Dekretem z trzeciego października podpisał swój własny zgon, republikanie nie zawahają się odpłacić mu tym samym.  
— Jeżeli tak, to żadna ofiara z naszej strony mu nie pomoże.  
— Ani jemu, ani nam.  
— Nam tylko zaszkodzi. Jeżeli jednak będziemy chcieli wykorzystać jego los to może nam to przynieść nieocenioną korzyść.  
— Jak mam to rozumieć?  
— To już musi pan pojąć bez dodatkowych wyjaśnień.  
— Aha, chce pan, aby zamiast obrony pozostawić go swemu własnemu losowi?  
— To może być zbyt mało, skazalibyśmy się tym samym na bezczynność, a tylko czyn może nas uratować.  
— Rozumiem! — odparł pułkownik energicznie.  
— Dobrze. Podejmie się pan roli mego posła? — Oczywiście.  
— Nie tak dawno uciekła nam pewna kobieta, seniorita Emilia.  
Wtedy to panu przebaczyłem, ale pod warunkiem, że następne rozkazy wykona pan sumiennie. Obecnie nadszedł czas aby zmyć dawne grzechy.  
Lopez spojrział na przełożonego chytrym wzrokiem i spytał:  
— Czy już wówczas nosił się pan z tym zamiarem?  
— Tak.  
— To dobrze, zapewne dokładnie obmyślił pan cały plan?  
— Nie inaczej.  
— Czyli, że najważniejszą rzecz mamy już za sobą. Czego pan oczekuje po mnie?  
— Aby udał się pan do obozu generała Valeza i zaproponował mu układ.  
— Na czym ten układ ma polegać?  
— No cóż... nie ma co owijać w bawełnę. Sytuacja jest beznadziejna, a my koniecznie chcemy ocalić naszą skórę, a także zgodę na to, aby spokojnie móc opuścić Meksyk. Wydamy mu cesarza. On ocali życie swych żołnierzy, zyska zaszczyty, gdyż zdobędzie miasto i Maksymiliana, a my... My tymczasem za tę małą zdradę wolność i życie. Podejmie się pan tego zadania?  
— Tak, czy mam powiedzieć Valezowi, kto mnie przysłał?  
— Jak najbardziej. Musi pan dokładnie omówić z nim wszystkie warunki i wziąć od niego gwarancję, aby potem nas nie oszukał.  
— Dobrze generale. Jak tylko zapadnie zmrok udam się do obozu republikanów.  
Wieczorem kawaler Legii Honorowej, pułkownik Miguel Lopez przedzierał się chyłkiem do obozu wroga. Nie uszedł daleko, gdy został pochwycony przez strażę.  
— A ty dokąd?  
— Chcę się zobaczyć z waszym dowódcą.  
— Naprawdę, a kim jesteś?  
— Jestem komendantem wojsk w twierdzy Querero i muszę mówić rozmawiać z generałem Valezem.  
— Ale my nie jesteśmy pewni, czy on chce mówić z tobą. To co, Antonio zaprowadzimy go do generała — spytał cicho swego towarzysza. — Myślę, że może się nam to opłacić.

— No dobrze, chodźmy.

Gdy doprowadzili pojmanego do dowódcy, ten spojrział na niego nieufnie, a potem powiedział z pewną ironią:

— Pan nazywa się Lopez? Miło mi pana poznać, cieszę się, że osobiście mam okazję podziękować panu za prezent.

— Prezent? To chyba jakaś pomyłka.

— Ależ skąd? Niedawno przysłał mi pan piękną dziewczynę — zaśmiał się po cichu ale tak, że Lopez musiał usłyszeć.

— Ja panu, dziewczynę? — spytał zdziwiony Lopez. — Nie rozumiem.

— Hm... już dobrze. Przecież miał ją pan zawieść do Tulą, aby ją tam powiesili.

— A tę! To było fatalne zdarzenie, mam jednak nadzieję, że dzisiaj wypadnie lepiej.

— Też tak myślę.

— Jestem przekonany, że dojdziemy do porozumienia.

— To zależy z czym pan do nas przybywa.

— No cóż, mam pewną bardzo konkretną propozycję. Wraz z generałem Miramon doszliśmy do wniosku, że dalszy opór nie ma już sensu. Zwiększa on tylko straty po obu stronach. Generał postanowił, że w nocy otworzy bramy miasta, aby mógł pan z grupą żołnierzy wejść, zając miasto i co najważniejsze... pojmać cesarza.

— Propozycja brzmi interesująco, a czego Miramon żąda w zamian.

— Wolności dla mnie i siebie.

— No cóż, jego niechętnie wypuszczę z ręki.

— To w sumie nie jest konieczne.

— Jak to? Teraz ja nie rozumiem? — spytał zdumiony generał.

— On nie jest moim przyjacielem.

— Do diabła! Przecież pan jest jego posłem, jego pełnomocnikiem? Chyba dobrze zrozumiałem?

— To prawda, ale czy to koniecznie on musi otworzyć bramę? Czy tego nie mogę zrobić ja?

— Znakomicie, ale jak pan uporasz się z Miramonem?

— Uspokoję go, że zawarłem ten układ pod warunkiem naszej wspólnej wolności.

— Do diabła. Jeszcze potem pomyśli, że to ja nie dotrzymałem słowa, a nie pan, a tego bym nie chciał, nie lubię takich sytuacji.

— To da się ukryć. Musimy przecież wyznaczyć czas.

— Naturalnie.

— To podam generałowi dzień następny. Miasto zostanie zdobyte o jeden dzień wcześniej, Miramon nie pomyśli nawet, że to na skutek naszego układu.

— Racja. Zatem przystąpmy do układu, bo nie ma czasu do stracenia.

— Inicjatywę zostawiam panu.

— Dobrze, chce pan zatem działać na własną rękę.

— Tak.

— I nie dopuścisz nikogo do tajemnicy?

— Naturalnie, że nie.

— A wie pan dokładnie, gdzie mieszka cesarz?

— Oczywiście, mieszka w klasztorze de la Cruz, tuż nad nami.

— Żądam otwarcia bramy o oznaczonym czasie.

— Zgoda, ale dzień i godzinę pan musi wyznaczyć.

— Potem poprowadzi mnie pan wprost do sypialni cesarskiej.

— Dobrze.

— Niczego więcej od pana nie żądam.

— Tyle potrafię uczynić — zaśmiał się Lopez.

— Co pan oczekuje w zamian?

— Żądam wolności dla siebie i swojej rodziny, a także gwarancji pozostawienia moich dóbr.

— Zgoda.

— Oprócz tego pewnej kwoty w dobrych papierach lub monecie. Bliższych powodów tego żądania nie podaję, bo nie należą do rzeczy, zresztą mam nadzieję, że to jest jasne.

— Tak, oczywiście, a ile pan żąda?

— Chce pan się targować?

— O nie. Ale jeżeli zażąda pan za dużo, to będę musiał odstąpić od umowy, a więc...

— Dziesięć tysięcy pesos. Myślę, że to nie zbyt dużo?

— Przeciwnie, raczej dużo, ale niech i tak będzie, zgadzam się. W nocy z czternastego na piętnastego maja otworzy mi pan tę bramę. Tuż obok muru będzie leżeć koperta z żadaną sumą, w angielskich banknotach. Do dwunastej daję panu czas, byś się mógł przekonać, czy są prawdziwe. Jeżeli pana nie zadowolę, albo jeżeli nie dotrzymam przyrzeczenia co do kwoty, będzie pan mógł z powrotem zamknąć bramę. Punktualnie o dwunastej przybędę na czele dwustu ludzi. Przekonam się, czy pan też dotrzyma umowy. Jeżeli się przekonam, że pan nie knuje zdrady, pošlę po resztę załogi, po czym zaprowadzi mnie pan do mieszkania cesarza. Gdy mi je pan tylko wskaże, będziesz wolny i możesz czynić co ci się podoba. Naturalnie, aby odwrócić od pana podejrzenie każe go tymczasowo aresztować, lecz rękę swoim słowem, że najdalej w przeciągu dwóch tygodni będzie pan wolny, z całym swoim majątkiem. Zgoda?

— Zgoda!

— Daje pan słowo?

— Jak najbardziej, przyrzekam.

Podali sobie ręce i rozeszli się. Generał Valez wrócił do swoich żołnierzy. Lopez zaś z powrotem przekradł się do miasta, idąc prosto do generała Miramona. Ten czekał na niego z niecierpliwością i nie mogąc ukryć pewnego niepokoju rzekł z pośpiechem:

— Jak się sprawy mają?

Lopez nie miał nawet czasu się uklonić. Zaledwie zaniknął drzwi za sobą odparł:

— Dość dobrze, będzie pan zadowolony, generale.

— Bogu dzięki! — zawołał Miramon głęboko oddychając. — Nie ukrywam, że bardzo niepokoiłem się o wynik tych rokowań.

— Dlaczego?

— Bo to bardzo delikatna sprawa. Takie rokowania z oficerem wroga to niezwykle ryzykowne zadanie. Mogą spełznąć na niczym i wtedy dopiero jest się w kropce.

Lopez zmarszczył brwi i powiedział:

— Ryzykowne? To prawda, ale dla kogo?

— Dla nas obu.

— Raczej w to wątpię. Pan ukrył się za moimi plecami. W razie niepowodzenia wszystko spadłoby na mnie.

— Jak, ale mnie też by wolno nie puszczono, gdyż to ja pana wysłałem. Obaj byliśmy zagrożeni.

— Być może — odrzekł Lopez, nie chcąc się dalej sprzeczać.

— Chwała Bogu, że mamy to już za sobą i najważniejsze, że rokowania przyniosły oczekiwany skutek.

— A jaką to przybrało końcową formę?

— Będziemy musieli otworzyć bramę fortu i klasztoru la Cruz, w zamian za to będziemy wolni.

— Jaką gwarancję dał panu?

— Swoje słowo.

Generał pokiwał głową w zamyśleniu i spytał:

— Czy to wystarczy?

— Wątpi pan w rzetelność generała Veleza?

— Wprawdzie nie słyszałem do tej pory, by złamał on swoje słowo, ale w tym wypadku... hm!

Umilkł. Widocznie trudno mu było wszystko wypowiedzieć. Lopez zrozumiał go, bo spytał z uśmiechem:

— Dlaczego w tym przypadku miałoby być inaczej?

— Bo... bo... on uważa nas za zdrajców.

— To słowo nie brzmi zbyt pięknie, ale jest prawdziwe. Są ludzie, którzy nie uważają za konieczne dotrzymywać słowa danego zdraj... do diabła, to rzeczywiście ohydne słowo, nie chce mi nawet przejść przez gardło.

— Czy Velez może należeć do takich ludzi?

— Myślę, że nie, ale byłoby znacznie lepiej mieć jakąś pewniejszą gwarancję w rękach.

— Ale jaką?

— To rzeczywiście trudne.

— Gdybyśmy zażądali od niego gwarancji, musielibyśmy także się czymś wykazać, a cóż innego moglibyśmy ofiarować?

— Oprócz słowa, nic.

— Widzi więc pan, że ryzyko jest równe po obu stronach.

— Myślę, że nasz położenie jest znacznie gorsze i że tylko to musi mu dać gwarancję, że dotrzymamy słowa.

— Ale jaki los nasz czeka, gdyby złapano nas z bronią w ręku?

— Na pewno nie do pozardroszczenia — a z dziwnym naciskiem dodał: — Jednak myślę, że nie tak straszny. Jeńców wypuszczają zazwyczaj po zakończeniu wojny.

— Ale mnie nie wypuściliby.

Lopez przybrał bardzo zdziwiony wyraz twarzy i spytał?

— Nie rozumiem, dlaczego?

— Z całą pewnością nie — kontynuował Miramon. — Mnie nie chcieliby wypuścić, ale wie pan, co czeka cesarza, jeżeli go pochwyca?

— Zastrzelą go.

— Bagatela, a czy my, możemy się czegoś innego spodziewać?

— Myśli pan, że Juarez rzeczywiście każe wszystkich rozstrzelać, począwszy od cesarza, a skończywszy na ostatnim żołnierzu?

— To byłoby czystym wariactwem.

— No to rozstrzelają tylko najważniejszych, to jest cesarza, kilku generałów... i na tym koniec.

Miramon zmarszczył czoło.

— Pułkowniku! — odezwał się. — Nie mogę powiedzieć, że jest się czym cieszyć widząc taką perspektywę, choćby tylko w przypuszczeniach.

— Co się tyczy moich układów z Velezem, to postanowił przybyć z dwustu ludźmi, a dopiero gdy się przekona o naszej rzetelności, ściągnie resztę wojska.

— Wyjątkowo ostrożny, kiedy zamierza przybyć?

— W nocy z szesnastego na siedemnastego maja.

— Do diabła! Tak późno?

Lopez, by usprawiedliwić swe kłamstwo i nieszczerze działania kontynuował:

— Nie może wcześniej, bo na jakiś czas musi opuścić obóz; tak mi przynajmniej powiedział.

— No cóż, musimy się do tego dostosować. Jaką godzinę podał?

— O północy.

— Chciałbym tylko, aby ta noc nie należała go jasnych. To wszystko o czym pan mówił z generałem?

— Wszystko.

— Czyli, że zostaje nam żyć tylko nadzieją, że nasz plan się uda.

Może być pan pewnym, że w takim razie nie omieszkam pana zasług należycie ocenić i wynagrodzić.

Lopez uśmiechnął się nieznacznie, odpowiadając pogardliwym milczeniem.

— Dobranoc, panie pułkowniku.

— Dobranoc panie generale.

Lopez oddalił się. Miramon zaś udał się do łóżka. Naturalnie nawet do głowy mu nie przyszło, że Lopez chce go oszukać, podobnie jak on to uczynił swemu cesarzowi.

W tajemnicy wysłał już gońca do przywódcy jednej z band, która znajdowała się w okolicy Saklamanka i Qunaquata z następującym rozkazem:

*Zaraz po otrzymaniu tego listu, z całą siłą wyruszy pan i uderzy na tyły wojsk Eskobedo. Naturalnie ma to być napad tylko pozorny, ale głośny, z wiwatami na cześć cesarza Maksymiliana. Będzie pan walczył, jak długo się da, ale gdyby było to niemożliwe należy wycofać się i ukryć w obozie.*

*Generał Miramon.*

Posel wiedział, że w razie wpadki ma natychmiast list zmiąć i połknąć, tak aby nie dostał się w ręce wroga.

Szczęśliwie udało mu się w nocy przekraść przez nieprzyjacielskie linie, w ciągu dnia odszukał adresata i oddał mu list. Ten natychmiast poczynił odpowiednie kroki w celu wykonania zadania.

Robert był w tym oddziale, którym dowodził Velez. Wymyślił nowy plan, według którego miano prowadzić dalsze oblężenie. Velez uważał to za zbędne, bo wiedział, że i tak wskutek zdrady zdobędzie miasto, nie mógł jednak tego wyjawić, więc się zgodził. Ostateczne zdanie należało do generała Eskobedo.

Postanowił wysłać do niego posła i jednogłośnie na takiego wybrano Roberta Helmera.

Obóz Eskobeda rozłożony był jakąś godzinę drogi od Queretaro. Robert dotarł tam szczęśliwie i przedłożył cały plan, omawiając dokładnie wszystkie szczegóły. Głównodowodzący zgodził się na plan, jednak po głębokim namyśle.

Wieczorem Robert wracał do swych zadań. Nie chcąc przedzierać się przez środek wojsk, postanowił kołować, aby z drugiej strony dotrzeć do celu.

Tymczasem zapadła noc, a że okolica pozbawiona była tam dróg i ścieżek, łatwo można było w ciemności zabłądzić. Przydarzyło się to właśnie Robertowi, gdyż wyjechał na puste pola i jakiś nieznany teren. Przystanął w celu zorientowania się, gdy w tej właśnie chwili w pobliżu parsknął obcy koń, za nim drugi i trzeci. Pomimo głębokiej ciemności ujrzał niedaleko siebie jakieś ciemniejsze punkty.

Skąd wzięli się ci jeźdźcy, kim oni byli? Przyjaciele czy wrogowie? Prawdopodobnie jednak ci ostatni. Obóz Eskobedo był przecież bardziej na lewo i na otwartym polu, a tu niedaleko, czernił się jakiś las.

— To wróg. Muszę się przekonać, czego tu chcą ci ludzie — mruczał sam do siebie.

Zawrócił konia i odjechał na tyły. Przywiązał konia do krzaka, po czym sam poszedł w stronę lasu.

Przedsięwzięcie to było dość niebezpieczne i wymagało ogromnej ostrożności, dlatego w pobliżu lasu położył się na brzuchu i począł zwyczajem Indian czołgać się po trawie.

Niedługo dotarł do lasu i wsunął się w głąb. Z lewej strony usłyszał jakieś głośne głosy. Podeszedł w tę stronę i ukrył się za wysokim drzewem, skąd mógł dokładnie słyszeć rozmawiających.

— Która godzina? — spytał jeden z mężczyzn.

— Diabeł to wie. Ani jedna gwiazda nie chce się pokazać, ciemno jak w piekle.

— To dotknij wskazówek zegarka.

— Prawda, nie pomyślałem o tym.

Nastąpiła chwila milczenia, po chwili odezwał się ten sam głos:

— Jeżeli się nie mylę będzie za kwadrans jedenasta.

— No to mamy jeszcze ponad godzinę.

— Myślisz, że północy wyruszymy.

— Naturalnie. Napad ma nastąpić o pierwszej.

— A co myślisz o tym całym napadzie?

— To istna głupota.

— Jestem tego samego zdania.

— Nas jest czterystu a nieprzyjaciela ponad dwadzieścia pięć tysięcy.

— Tak źle nie będzie, przecież będziemy walczyć tylko z jakąś ich częścią, ale i tak cała ta wyprawa, to wyprawa po śmierć.

— Ee... nie. Jak stałem na posterunku to przyszedł jakiś posłaniec z listem od Miramona, udało mi się usłyszeć co mówił naszemu dowódcy.

— Co takiego?

— Nasz dowódca złościł się, że ma iść na rzeź jak baran ofiarny.

— A co na to poseł?

— Ten wyjaśnił mu, że tu nie chodzi o prawdziwą potyczkę, tylko o pozorowaną. Chcą widocznie zamaskować napad sprzymierzeńców cesarskich na tyły wroga.

— Głupota, a nie wiesz po co ta cała maskarada?

— Niestety, nie jestem ani ministrem, ani generałem. Ale wiem, że zaraz po pierwszym ataku, jak tylko kulki nieprzyjaciół zaczną gwizdać, my mamy uciekać.

— Tak, tylko czy w chwili, gdy zaczniemy wrzeszczeć „Wiwat Maksymilian”, jakaś zabłąkana kula nie trafi wiwatującego w gardło.

— Czyżbyś się bał?

— Czego?

— Kul republikanów.

— Ani mi się śni, nikt tego o mnie nie może i nie będzie mógł powiedzieć, ale wiem, że co innego jest walczyć mając jakąś nadzieję zwycięstwa, a co innego tak na ślepo, wiedząc z góry o tym, że się jest po przegranej stronie.

— Sądziś, że cała cesarska armia jest przegrana?

— Naturalnie.

— Tylko nie mów o tym dowódcy, bo gotowy cię rozstrzelać za defetyzm.

Byłby głupi, prawdy nie należy nagradzać kulką.

— Prawdy? Hm. Myśli tak dlatego, że do tej pory mieliśmy pecha. Sądziś, że nadal tak będzie? Mylisz się i to bardzo. Miramon to tęga głowa. Dobrze wie co robi. Ten napad też musi mieć swoje uzasadnienie. Może chce odwrócić uwagę Eskobedo i wypaść z miasta wprost na jego wojska?

Podczas tej rozmowy usłyszał Robert jakieś zbliżające się kroki, na które jednak dwaj konwersujący nie zwrócili uwagi. Niedługo usłyszeli ostry, rozkazujący głos:

— A co to za nowe zwyczaje, prowadzić tak głośne rozmowy?

— A to pan pułkownik — zawołali obaj podskakując z ziemi.

Robert był przekonany, że właściwe siły rozlokowane są w głębi lasu, na obrzeżu rozstawiono tylko podwójne czaty. Niedługo okazało się, że jego przypuszczenia były trafne.

— Cicho! — rozkazał dowódca. — Wydałem przecież wyraźny rozkaz, aby na przednich strażach nie prowadzono żadnych rozmów.

Widocznie obaj czuli się winni, gdyż milczeli. Pułkownik spytał ponownie:

— Wydarzyło się coś nowego?

— Nie — odparł jeden z nich.

— Niczego podejrzanego nie zauważyliście?

— Niczego.

— No to macie milczeć i nasłuchiwać. To wy macie słyszeć innych, ale was nikt. Teraz udaję się na inspekcję obozu, w razie potrzeby macie meldować o wszystkim majorowi.

Robert nie mógł go widzieć, ale słyszał, że właśnie idzie w kierunku drzewa, za którym się ukrył. Prędko i bez hałasu podniósł się i przykucnął tuż za pnem.

Pułkownik trzymał ręce przed sobą, aby w ciemności nie uderzyć się o jakiś konar. Właśnie dotknął drzewa i chciał go obejść, gdy nagle zawadził o nogę Roberta i padł jak długi na ziemię.

— Niech to lichy porwie! — krzyknął. — Wydawało mi się, że zawadziłem o but jakiegoś człowieka. Prędko, do mnie.

Robertowi ledwo wystarczyło czasu, aby przeturlać się o kilka drzew dalej, za kolejny gruby pień, gdy strażnicy podbiegli do swego komendanta.

Pułkownik wstał i powiedział:

— Macie zapaliki?

— Mam — odparł jeden z nich.

— Zapalcie! — rozkazał dowódca. — Ale niejedną, kilka naraz, to lepiej będzie oświetlać.

Robert usłyszał tarcie zapalek. Wkrótce zajaśniało i oświetliło trzech żołnierzy. Na szczęście słaby blask nie dotarł do Roberta.

— Widzicie go? — spytał pułkownik.

— Nie — odpowiedziały dwa głosy.

— Oświetlajcie ziemię! Posłuchali.

— Aha! — dodał uspokojony. — To jest wystający korzeń. Wprawdzie to o co zawadziłem wydawało mi się bardziej miękkie, ale ten korzeń cały zarośnięty mchem, więc niezawodnie zawadziłem o niego.

— Naturalnie, senior — powiedział jeden żołnierz uspokajająco.

— Ostrożności nigdy nie za wiele, zwłaszcza w naszym położeniu — powiedział pułkownik. — Przypominam, że macie nasłuchiwać i milczeć!

Po tych słowach odszedł. Robert bez wątplenia znajdował się w niebezpieczeństwie. Wprawdzie w tej ciemności nie tak łatwo byłoby go schwytać, ale na pewno zorientowałyby się, że ktoś ich podsłuchiwał i najprawdopodobniej zaniechałby napadu. Obecnie niebezpieczeństwo minęło.

Pułkownik skierował się w dalszą drogę, najprawdopodobniej zamierzał okrążyć las brzegiem, aby nie narażać się na powtórny upadek.

Przez głowę Roberta przemknęła nagle niezwykła myśl. A gdyby tak podejść pułkownika i pochwytać? Nie było to wprawdzie łatwe, ale młody kapitan posiadał na tyle sprytu i odwagi.

Schyłony poszedł za pułkownikiem i skradał się za nim ostrożnie. Kiedy odeszli na tyle daleko, że żaden posterunek nie mógł ich słyszeć, zręcznym skokiem napadł na pułkownika łapiąc go z tyłu, za gardło.

Oficer wykrztusił z siebie słaby krzyk, począł machać rękami, chcąc ująć przeciwnika, ale daremnie. Nastąpiło silniejsze ściśnięcie, słaby jęk i pułkownik leżał na ziemi.

— No to mam go — mruknął zadowolony Robert.

Wyjął chustkę i obwiązał nieprzytomnemu usta, po czym zdjął lasso i skrepował jeńca. Podniósł go, przerzucił sobie przez plecy i poszedł do konia. Pomimo ciemności znalazł go bez problemów. Przełożył jeńca, a sam wskoczył na grzbiet i ruszył najpierw wolno i ostrożnie, potem jednak szybko, o ile mu ciemność i droga na to pozwalała.

Niedługo dojechał do przednich straży republikanów i rzucając hasło spytał:

— Kto tu jest komendantem?

— General Hermano — odparł wartownik.

— Zaprowadź mnie dla niego, tylko szybko.

— Czy to coś ważnego?

— Tak, o pierwszej macie zostać napadnięci.

— Do diabła! Kogo macie na koniu?

— Jeńca, ale nie mam czasu na dalsze wyjaśnienia. Proszę się pospieszyć.

Oficer straży przekazawszy podwładnym rozkaz, w największej ostrożności popędził razem z Robertem do kwatery generała.

Ta ostatnia znajdowała się w małej wiosce, jakieś pół godziny drogi od Queretaro. Generał właśnie siedział ze swoim sztabem przy kolacji. Kiedy zameldowano mu Roberta, odparł lekceważąco:

— To jakieś niemieckie nazwisko. Nic szczególnego spodziewać się nie należy. Niech wejdzie!

Robert bez namysłu porwał jeńca na barki i wszedł do pokoiku. Niezwykły widok wprowadził wszystkich obecnych w ogromne osłupienie. Poderwali się ze stołków.

— *Valgamo Dios!* Co pan przynosi? — spytał zdumiony generał.

— Jeńca, senior — odrzekł Robert, kładąc związanego na ziemi i salutując generałowi.

— Hm, to nawet prawdopodobne. Co to za człowiek?

— Cesarski pułkownik.

— Nie wygląda na pułkownika. Widocznie wziął pan mysz za słonia — przy tych słowach zaśmiał się ironicznie i odwrócił w stronę swoich towarzyszy.

Na twarzach obecnych ukazał się taki sam uśmieszek.

— To proszę się przekonać samemu — odrzekł Robert spokojnie.

— Nie ma na sobie munduru.

— Pomimo tego należy do żołnierzy cesarskich. Ja także nie noszę munduru generała Eskobendo czy prezydenta, tylko zwykły, meksykański strój.

— A pomimo tego jest pan republikaninem, to pan chciał powiedzieć?

— Nie.

— Tak, a co? Zameldowano mi pana, jaka kapitana.

— Bo w rzeczywistości nim jestem. Służę w pruskim pułku husarskiej gwardii, obecnie przebywam w Meksyku w sprawach prywatnych i z własnej inicjatywy przyłączyłem się do stronników prezydenta Juareza.

— Ach! A dlaczego nie do partii cesarskiej? — spytał generał. Widać było, że nie wierzył młodemu oficerowi.

— Bo mi tak było na rękę — odparł Robert krótko i ostro.

— Wylegitymował się pan u mych straży?

— Naturalnie, inaczej by mnie tu nie wpuścili.

Generał zauważył, że w swych dociekaniach posunął się trochę za daleko, więc spytał krótko:

— Skąd pan przybywa?

— Od Eskobedo.

— Ach! Był pan u głównodowodzącego? W jakiej sprawie... jeżeli wolno zapytać?

Ostatnie słowa znów wypowiedział z ironią.

— Oczywiście senior, że pytać wolno — odparł Robert z lekkim uśmiechem, — ale odpowiedzi udzielić nie mogę.

— Czyżby chodziło o jakąś delikatną sprawę?

— Tak jest. Tak, chodzi o pewien plan, o którym zawiadomią pana pańscy przełożeni.

— W Prusach oficerowie przyzwyczajeni są do ogromnej dyscypliny.

— To prawda.

— Także wobec przełożonych?

— Zwłaszcza. Zresztą należałoby określić pojecie przełożony.

— Czyżby pan wątpił w to, że jestem pańskim przełożonym?

— Trudne by to było do udowodnienia. Zgłosiłem się na służbę do prezydenta, nie przyjmując żadnej rangi.



— Sądzi pan, że powinni uczynić pana generałem?

— Jestem, podobnie jak i pan, oficerem. To moja odpowiedź. Co za rangą by mi dano nie ma tu znaczenia, sądzą tylko, że oddają równe przysługi, jak każdy inny.

Generał Hernano znany był z dumy i zarozumiałości, nie odznaczał się jednak nadzwyczajnymi zdolnościami. Cała jego rozmowa z Robertem znamionowała butą. Ten ostatni nie był jednak do tego przyzwyczajony. Dobrze wiedział, że meksykański generał umiejętnościami mógł się równać najwyżej z niemieckimi porucznikami, dlatego zamiast uległości odpowiedział z równą dumą.

Otoczenie generała było bardzo z tego zadowolone, z wyraźną akceptacją spoglądali na młodzieńca. Robert zauważył to i ucieszył się niezmiernie. Tylko generał przybrał surowy wyraz twarzy.

— Tak? A w jaki to sposób służy pan prezydentowi.

— Jako inżynier przydzielony do sztabu — brzmiała krótka i zwięzła odpowiedź.

— Ja nad inżynierię przenoszą kawalerią. Inżynierskie roboty, to czyste robacze dzieła. Zameldowano mi pana jako kapitana Helberta. To nazwisko słyszą po raz pierwszy.

Robert zrozumiał co znaczą te słowa, pomimo tego odrzekł chłodno, ale grzecznie:

— Ten oficer musiał się pomylić lub przesłyszeć, nazwisko moje brzmi Helmer, nie Helbert. Generał spojrział zdziwiony.

— Helmer? — spytał.

— Tak jest, senior.

— Został pan przydzielony do oddziału Veleza?

— Tak.

— A to co innego. Proszę wybaczyć, gdyby nazwisko pana przekazano mi dokładnie, inaczej bym pana przyjął. Panowie, przedstawiam wam, twórcę naszego oblężniczego dzieła.

Generał chciał widocznie naprawić swój błąd. Oficerowie podeszli do Roberta ściskając mu po koleżeńsku ręką.

— A teraz przystąpmy do właściwej sprawy. Uważa więc pan, że ten jeniec jest pułkownikiem?

— Tak. jakkolwiek moim zdaniem, jest on tylko przywódcą bandy, ale w mojej obecności jego ludzie zwracali się do niego „pułkowniku”.

— Ilu ludzi miał pan przy sobie?

— Ani jednego.

— A jak pan schwycił tego człowieka?

— Zwyczajnie, złapałem go za gardło i związałem.

— Sam, jeden? — spytał zdziwiony generał.

— Naturalnie, mam opowiedzieć bliższe szczegóły?

— Bardzo proszę, jestem niezmiernie ciekawy.

Robert opowiedział, wszyscy słuchali z zainteresowaniem. Na końcu opowiadania generał zawołał zdumiony:

— Do diabła. Chcą na nas napaść?

— Tak jest.

— A my tracimy czas na bezowocnych debatach?

— Nie moja w tym wina — zauważył Robert wzruszając ramionami.

— Dlaczego mi pan nie zwrócił uwagi?

— Pan jest generałem, a ja tylko kapitanem — odparł Robert z ironicznym uśmiechem. — Mogłem tylko odpowiadać na pańskie pytania.

— Do diabła! Ci panowie Niemcy nie wydają się być zanadto grzecznymi. Muszą natychmiast wysłać jeden oddział w stronę lasu. Będzie pan tak dobry i obejmie nad nimi dowództwo?

— Jestem na pańskie rozkazy. Przedtem jednak muszą prosić, aby zajął się pan moim więźniem.

— Po co? Nie mamy wiele czasu.

— Na tyle mamy, aby mu postawić kilka pytań i przeszukać kieszenie.

— To prawda. Powiedział pan, że o pierwszej mają na nas napaść?

— Tak.

— A o północy wyruszą?

— Tak jest.

— Teraz mamy jedenastą, a więc mamy jeszcze trochę czasu. Rozwiązać go!

Jeńcowi wróciła tymczasem przytomność. Można to było poznać po jego wielkich, ciemnych oczach, które pełne wściekłości kierował raz na jednego, raz na drugiego, oglądając całe zgromadzenie. Wyjęto mu chustkę z ust i odwiązano lasso, po czym generał rozkazał mu wstać.

— Jak się pan nazywa — spytał więźnia.

Nie odpowiadał mimo, że pytanie powtórzono jeszcze parę razy.

— Jeżeli pan nie będzie odpowiadał — powiedział ponownie generał — nie będę uważał pana za oficera, tylko za zwykłego opryszka i każę na miejscu rozstrzelać. No to, jak się pan nazywa?

Dopiero teraz więzień wymienił swoje nazwisko.

— Słyszał pan, co ten senior nam opowiedział?

— Słyszałem.

— I przyznaje pan, że to prawda?

— Pan jako generał będzie najlepiej wiedział, że na to pytanie nie mogę odpowiedzieć.

— Sądzi pan, że ma obowiązek milczeć, dobrze, zgadzam się i na to, ale muszę wiedzieć czy rzeczywiście rozchodzi się o napad na mój oddział?

— Na to też nie mogę odpowiedzieć.

— Od kogo dostał pan dziś rozkaz...

— Stój! — krzyknął w tym momencie Robert, przerywając pytanie generała.

Więzień sądząc, że nikt tego nic zauważy wsunął rękę do kieszeni i właśnie chciał ją zbliżyć do ust, gdy Robert chwycił go za ramię krzyżąc „stój”. Na próżno chciał się wyrwać, schylił głowę do kolan, by w ten sposób wsunąć kartkę do ust. Niewiele brakowało, a mógłby to zrobić, lecz Robert w ostatniej chwili tak mocno palnął go w głowę, że aż odskoczyła mu do góry, a on sam ponownie stracił przytomność.

— Do stu diabłów! — zawołał generał. — Co za znakomite ciosy pan rozdaje.

— To dowodzi, że miałem tęgiego nauczyciela — odparł Robert z uśmiechem.

— Zabił pan tego człowieka. Nic żyje.

— O nie Gdybym chciał go zabić, musiałbym uderzyć bardziej z tyłu.

— Pan widocznie przez uderzeniem studiuję budowę czaszki swych przeciwników.

— To rzeczywiście jest potrzebne.

— A dlaczego mi pan przerwał.

— Bo ten człowiek wyciągnął coś z kieszeni i ukradkiem chciał wsadzić do ust.

— A co takiego?

— Zaraz zobaczymy.

Robert rozwarł kurczowo zaciśnięte palce więźnia i wyjął jakiś papier. Rozłożył go, wygładził i podał generałowi. Hernano zaczął czytać, a po chwili krzyknął:

— To rozkaz generała Miramona!

Zdziwieni oficerowie skupili się koło niego.

— To jednak bardzo dziwne, — powiedział generał — że ten list przedostał się przez nasze straże do rąk tego pułkownika. Wniosek z tego jeden, że nie dość czujnie nasze straże pilnują i że miasto nie jest całkowicie otoczone.

Przeczytał na głos rozkaz generała Miramona dodając:

— No to sam Miramon jest przekonany że napad ten zostanie bez efektów. Nasze straże zaalarmowały by nas dość wcześniej. On wspomina o jakiejś pośredniej korzyści. Ciekawe co chce przez to powiedzieć.

Na to odezwał się jeden z oficerów:

— To łatwo zgadnąć, tak mi się przynajmniej wydaje.

— O co chodzi?

— Miramon zamierza pewnie tej nocy urządzać wypad z miasta, więc chce odwrócić naszą uwagę.

— Hm, to nawet prawdopodobne.

— Ja jestem innego zdania — powiedział Robert.

— Dlaczego? — spytał generał.

Bo wypad Miramona w każdej chwili byśmy odbili. Ostatni podjął piątego maja. Jedną, jedyną miną zniweczyłem jego zamiary. Wie, że cała twierdza jest podminowana i to ze wszystkich stron. Gdziekolwiek się zwróci wyleci w powietrze. On musi wymyślić coś innego.

— Ale co takiego? Dla mnie to czysta zagadka.

— Już wiem, Chce zgubić cesarza. Maksymiliana, gdy dowiedział się, że na tyle naszych wojsk jego sprzymierzeńcy powstają, nabierze nowej wiary i nie zechce się ratować ucieczką.

— Czyli, że to tylko ruchy pozorne,

— Nic innego, ale tym działaniem oszuka cesarza i i osiągnij swoje.

— Myśli pan, że cesarzowi miałyby się udać ucieczka?

— Naturalnie.

— Oho, a od czego nasz straż?

— Jednak mimo tych straży poseł Miramona przemknął się na nasze tyły.

— Zdwoimy czujność.

— Rozumiem z tego, że Miramon okłamuje cesarza co do rzeczywistego stanu.

— Ale co on może mieć za korzyść w tym, choćby cesarz rzeczywiście wpadł w nasze ręce?

— Widocznie spodziewa się, że w takim wypadku republikanie zadowolą się jego głową.

— Spodziewa się, że w takim razie jemu podarują życie.

— Prawdopodobnie. Wiem dokładnie, że pewne ugrupowani czyni wysiłki, by cesarza wprowadzić w błąd.

— Skąd pan o tym wie.

— Przykro mi, ale nie mam zgody na wtajemniczenie pana w tę sprawę. Mogę powiedzieć tylko tyle, że omawiałem to z prezydentem, który sam pokieruje dalszymi planami, mówiłem o tym także z generałem Eskobedo.

— Do diabła! Na tak poufnej stopie stoi pan z tymi ludźmi?

— Trochę. Przede wszystkim ten rozkaz Miramona trzeba przesłać głównodowodzącemu i powiadomić go o przygotowanym napadzie i środkach jakie przedsięwzięto.

— Tak też zrobimy. Jak silni są ci bandyci. Zdaje mi się, że pan już mówił o tym.

— Czterystu, tak przynajmniej podsłuchałem.

— To jeźdźcy, czy piechota?

— Słyszałem parskanie koni. Przednie straże miały na butach ostrogi, bo słyszałem ich brzęk. Te bandy najczęściej rekrutują się z jeźdźców.

— Jak pan sądzi, mamy czekać na ich napad?

— O nie. W takim razie naszych też wiele musiałby zginąć.

— Może lepiej my na nich napadniemy?

— To także nie. Siedzą w lesie, a więc są zasłonięci, podczas gdy my musielibyśmy iść prosto pod ich kule. Otoczymy ich ze wszystkich stron.

— Przedrą się.

— To im się nie uda, gdyż mam propozycję, aby pan generał wyznaczył oddział.

— Naturalnie, ale mimo tego będą próbowali, mając w ręku broń, przedrzeć się, więc cała masa naszych zginie, a tego chcemy uniknąć. I znikniemy, bo przeszkodzimy im w próbie przebicia.

— A w jaki sposób chce pan to wprowadzić w życie?

— Otoczmy las i oznajmimy im o tym przy pomocy posła.

— Do diabła! To bardzo niebezpieczne!

— Dlaczego?

— Bo te łotry nie będą zważać na to, że ten człowiek jest posłem i będą chcieli go powiesić.

— O to się nie martwię, naturalnie musimy wysłać parlamentariusza, który potrafi się należycie z nimi rozmówić.

— Zapomina pan, że nie mamy do czynienia z regularnym wojskiem, tylko z bandą. Żaden z moich oficerów nie podejmie się tej roli.

— Przecież pan może rozkazać.

— Jestem przekonany, że wysłałbym tego człowieka na śmierć.

— Dobrze, w takim razie ja się zgłaszam.

Generał zrobił zdziwioną minę.

— Pan? Pan chciałby się podjąć negocjacji z bandą.

— Oczywiście — odparł Robert stanowczo.

— Zapewniam pana, że idziesz na pewną śmierć.

Robert wzruszył ramionami i odrzekł obojętnie:

— Nie mam ochoty na śmierć. Jestem przekonany, że dojdę z nimi do porozumienia. Muszę postawić tylko jeden warunek. Muszę wziąć ze sobą ten rozkaz Miramona.

— Ale ja przecież muszę odesłać go do generała Eskobedo?

— Generał otrzyma go jeszcze na czas. Zresztą mnie wystarczy tylko jego odpis.

— Każę go natychmiast skopiować — i podał dokument jednemu z oficerów, który natychmiast zajął się pisaniem.

— Jak pan sądzi kapitanie, czy wystarczą dwa bataliony? spytał Hernano.

— W zupełności — odparł Robert — wybierzemy dwóch dobrych strzelców i porozdzielamy kilkadziesiąt pochodni i rac, bo jak mi się zdaje, będziemy musieli oświetlić pole działania.

Generał wydał stosowne rozkazy, po czym przeszukano jeńca i przetransportowano do więzienia.

Niedługo potem maszerował Robert na czele dwóch batalionów w kierunku wroga. Przed północą stanął przy lesie i po dziesięciu minutach otoczył cały obóz wroga.

Ustalono, że w tym samym czasie, gdy Robert wystrzelił w powietrze racę, ze strony republikanów również zabłysną światła, aby dać poznać nieprzyjacielowi, że rzeczywiście otoczony jest z każdej strony.

Robert udał się do lasu nie starając się nawet iść cicho. Zaledwie dotarł do pierwszych drzew ze środka zabrzmiał głos:

— Stać! Kto tam?

— Parlamentariusz — odparł śmiało.

— Stój, bo strzelam.

Stanął, nastąpiła cisza, podczas której słyszał tylko szelest liści i trzask łamanych pod nogami gałązek. Mimo ciemności wydawało mu się, że parę karabinów sterczało zza drzew skierowanych w jego kierunku. Dopiero po jakimś czasie, ktoś zawołał do niego:

— Kim jesteś?

— Posłem od generała Hernano.

— Do stu diabłów! Skąd temu takie pomysły chodzą po głowie, by wysłać do nas posła.

— To właśnie chcę wyjaśnić, jeżeli pozwolicie mi bliżej podejść.

— Ilu was jest?

- Ja jestem sam.
- Proszę poczekać!

Mimo bacznej uwagi nie zauważył ani nie usłyszał niczego, a przecież w przeciągu jednej minuty tuż przed nimi podniosło się pięciu czy też sześciu żołnierzy. Jeden z nich spytał:

- Kim pan jest?
- To powiem zastępcy pułkownika.
- Ja jestem porucznikiem.
- To zaprowadź mnie do dowódcy.
- Chodź pan.

Kilka rąk na raz schwytało go i pociągnęło za sobą. Musiał milczeć. Niedaleko, w głębi lasu spotkali grono mężczyzn, właśnie do nich został zaprowadzony.

- Panie majorze, to jest ten człowiek — zameldował porucznik.
- Trzymajcie go dobrze! Ma przy sobie broń? — spytał ostro major.
- Nie sprawdziliśmy go, nie było na to czasu.
- Głupcy! To go teraz obszukajcie.
- Jako poseł nie mam przy sobie broni — powiedział na to Robert.
- Milczeć! — rozkazał major. — Róbcie co wam kazałem. Zaczęli mu starannie przetrząsać kieszenie, ale nie znaleźli niczego podejrzanego, tylko jedną racę. Porucznik zameldował:

- Broni nie ma, tylko w ręku trzyma jakąś tutkę.
- Co to takiego? — spytał major.
- Nie wiem.
- To jest raca — odpowiedział Robert.
- Do stu piorunów, raca, do czego?
- Objaśnię to panu, zaraz po tym jak przekażę posłanie.
- To się nie uda, mój kochany. Przedtem zabierzemy panu tę racę. Takie zabawki są niebezpieczne. Związać go!

Zabrano mu racę i poczęto krępować ręce.

— Pozwolę się związać — rzekł Robert — chciałbym jednak zwrócić pana uwagę na prawa międzynarodowe, posłów się nie więzi.

- Tak, ale oni nie noszą przy sobie takich zabawek — wrzasnął rozłoszczony major.
- To prawda, wziąłem ją jednak ze sobą w najlepszych zamiarach, o czy się pan niedługo dowie. Już samo to, że o północy, takich ciemnościach, sam jeden przybywam do pańskiego obozuj winno pana przekonać, że nie mam złych zamiarów.

- To się jeszcze zobaczy. Jesteście gotowi?
- Gotowi — powiedział jeden z więźniarzy Roberta.
- No to możemy zacząć. Kto pana przysłał?
- Generał Hernano.
- Hernano? — spytał zdumiony major. — Skąd ten pomysł się u niego wziął?
- Po prostu dowiedział się, że pan tutaj przebywa.
- Niemożliwe? A skąd?
- Dzisiaj przybył do panów poseł Miramona i oddał rozkaz dotyczący...
- Do stu diabłów! Skąd o tym wiecie?
- Naszych źródeł nie mogę ujawniać. Powinno wam wystarczyć, że znamy treść rozkazu Miramona, mogę panu nawet pokazać jego odpis.

- To byłaby czysta zdrada!
- Na ten temat nie mogę się wypowiadać.
- Ma pan ten odpis przy sobie?
- Naturalnie. W górnej kieszeni w spodniach. Przy przeszukiwaniu pańscy oficerowie nie raczyli jej zauważyć.

Wyjęto natychmiast wspomnianą kartkę i podano majorowi.

— Podać światło! — rozkazał.

Po chwili błysnęła mała latarka, przy świetle której major zaczął czytać.

— Zdrada! Czysta zdrada! — zawołał, gdy skończył.

Ktoś z boku zapytał:

— Zgadza się majorze?

— Słowo w słowo. Co powiecie na to ojczy?

— Wydaje mi się to mało prawdopodobnie, bo jestem przekonany, że tylko Miramon wiedział o tym rozkazie.

— Byliście przy tym jak go pisał?

— Tak, byłem i to tylko ja, zaraz potem wyruszyłem w drogę.

— Czyżby później Miramon to wypaplał... nie, to niemożliwe — powiedział major, a zwracając się do Roberta spytał: — Wie pan, w jaki sposób rozkaz ten dostał się w wasze ręce?

— Wiem, ale nie wolno mi tego zdradzić.

Dziwna to była scena. Skrępowany poseł, rozłuszczony major oświecony słabym światłem latarki, dalej grupa ludzi stojących w cieniu.

Nastawała chwila ciszy, którą w końcu przerwał Robert:

— Panowie jesteście otoczeni ze wszystkich stron. Ucieczka jest niemożliwa. Proszę się poddać, by uniknąć rozlewu krwi.

—Nigdy!

Major rzucił kartkę na ziemię i począł deptać po niej ze złością. Inni oficerowie i żołnierze usłyszawszy ostatnie słowa Roberta poczęli również głośno narzekać.

— Cicho! — wrzasnął major. — Musimy być ostrożni! — a zwracając się do Roberta spytał: — Kto nas otoczył?

— Oddział generała Hernano.

— Jak silny?

— Senior — odparł Robert — Ja jestem oficerem, nie wariatem.

— Tak, ma pan rację. Proszę wybaczyć.

— Mogę panu powiedzieć tylko tyle — dodał Robert, — że Hernano zorientowawszy się, wysłał oddział bardzo silny, zdolny pięciokrotnie pokonać pańskie wojska. Dokładnie wiemy o wszystkim, pan nie ma więcej żołnierzy niż czterystu.

— Do diabła! Nowa zdrada!

— Musi pan przyznać, że znając dokładnie pańskie siły zastosowano się do tego i wysłano dosyć wojska. Otoczyliśmy cały las, proszę więc nie popełniać błędu pułkownika i odłożyć ten bezcelowy opór.

— Pułkownika? Gdzie on jest? Dotychczas jeszcze nie powrócił.

— Wiem, nie może powrócić, gdyż wpadł w nasze ręce.

— *Santa Madonna!* Uwięziony? Ach, teraz już rozumiem w jaki sposób dowiedzieliście się o naszych siłach. Zapewne pułkownik wszystko zdradził, nieprawdaż?

— Nic mam pozwolenia, by udzielać na to informacji.

— Czyli, że zapewne tak jest. Widocznie zdradzono nas z wielu stron. Czy wiesz senior, że to pogarsza twoją sytuację, nie wyjdiesz stąd żywy.

— No cóż, wtedy wyniosą mego trupa.

— I mówi pan to tak spokojnie?

— A dlaczego nic? Jestem przecież w pańskich rękach.

— Widocznie nic boi się pan śmierci?

— Nie. Zwłaszcza wtedy, jeżeli ta śmierć nie jest zawiniona, a na dodatek będzie pomszczona. Moi ludzie mają rozkaz wymordować wszystkich, bez pardonu, jeżeli w ciągu godziny nie wrócę do nich.

— Przyjdzie mi to z trudnością, będziemy się bronili.

— To nie zmieni stanu sprawy. Sił mamy pod dostatkiem. Zresztą przybyłem tu jako poseł myśląc, że przychodzę rokować z szacunku godnym, regularnym wojskiem, a nie z bandą.

— A czym się różnimy?

— Wieloma rzeczami. Zresztą tak samo jak pan postępuje ze mną, postąpią potem z panem. Każe mnie pan rozstrzelać, rozstrzelają pana, a na dodatek wszystkich oficerów, w ogóle całe wojsko co do jednego. Jeżeli jednak w stosunku do mojej osoby zachowa pan międzynarodowe prawa, wasz los poprawi się. Będziecie uważani za jeńców wojennych i jako tacy traktowani, czyli, że po zakończeniu działań wojennych zostaniecie wypuszczeni na wolność.

— Czyli, że namawia nas pan na poddanie się.

— Naturalnie, wszelki opór jest daremny. Mogę panu dać słowo honoru, że mówię prawdę.

— W razie poddania się będziemy traktowani jako jeńcy wojenni?

— Tak.

— Rozumiem, że nasz własność zostanie nam zwrócona?

— Naturalnie. Rozbroją was tylko, ale Juarez nie jest tygrysem, aby napadać na bezbronnych lub co gorsza mordował ich.

— Ale skąd mamy mieć pewność, że to co pan powiedział, jest prawdą. Że rzeczywiście jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron i to taką siłą, z jaką zaczynać byłoby szaleństwem?

— Do tego właśnie służyła ta raca.

— Jak to?

— Jak tylko ją wystrzelę, moi ludzie zapalą pochodnie i ogniska. W ten sposób będzie się pan mógł przekonać, że powiedziałem prawdę.

Major rozżłoszczony i zirytowany tą zdradą zamyślił się głęboko czy to z tchórzostwa, czy też na skutek trzeźwego spojrzenia na sprawę zdawał się nachylać do propozycji Roberta. Po jakiejś chwili odezwał się:

— Dobrze, najpierw muszę się przekonać. Senior Gerdenas pan zna się na racach?

— Tak — odparł jeden z oficerów.

— Reszta panów oficerów niech rozejdzie się po lesie, aby cały teren mieć na oku. Na dany znak senior Gardenas wypuści rakiety, po czym panowie wrócą i zdadzą mi sprawozdanie. Ojciec zostanie przy mnie.

Nastąpiła cisza trwająca może pięć minut, po upływie której major dał znak i rakietą wzniosła się w powietrze. Na skraju lasu, przy świetle ognia widać było jakąś czarną masę rozciągającą się szeroko na północ.

— Czy to pańscy żołnierze? — spytał major pokazując na ruszającą się masę.

— Tak jest — odparł Robert. — Zaraz zobaczy pan lepiej; o tam i tam.

W tej samej chwili usłyszeli jakiś głośny rozkaz powtarzający się dokoła. Po pół minucie wszędzie zajaśniał jasny krąg pomieszany z różnorodnymi barwami bengalskich ogni. Był to imponujący widok.

— Do diabła! To prawda! — zawołał major.

Sam zobaczył żołnierzy stojących na skraju lasu z karabinami gotowymi do strzału.

— Przekonał się pan? — spytał Robert po chwili, kiedy na nowo zapadła ciemność.

— Proszę chwilę zaczekać — powiedział major.

Po pięciu minutach powrócili oficerowie meldując co zobaczyli. Na nich także ogromne snopy światła wywarły ogromne wrażenie.

— Co więc panowie radzą? — spytał major.

— Opór jest bezowocny — ośmielił się powiedzieć jeden z nich.

— No cóż, nie jestem szaleńcem, muszę więc przyznać panom rację — rzekł major. — Poświęcać swoje życie i życie tylu ludzi byłoby czystym szaleństwem, zwłaszcza, że dokoła otacza nas zdrada. Proszę posłowi zdjąć więzy. Powiedział prawdę.

Robert złożył ręce na piersi i spytał:

— Co więc panowie postanawiacie?

— To będzie łatwe do omówienia. Czy przyrzeka pan, że będziemy traktowani jak jeńcy wojenni?

— Oczywiście.

— W takim razie jest pan wolny.

— Tego się spodziewałem. Obecnie pójde powiadomić o sytuacji dowodzącego. Proszę się przygotować, bo za dziesięć minut wystrzelę racę, by oznaczyć miejsce, na którym się spotkamy, by omówić dalsze warunki.

Chciał odejść, lecz w tym momencie, człowiek, którego major tytułował „ojcem”, złapał go za rękę mówiąc:

— Proszę na chwilkę, senior. Chciałbym tylko zamienić parę słów.

— Proszę mówić! — odparł Robert.

— Czy ja także mogę wchodzić w ten układ?

— A pan nie należy do tego oddziału?

— Nie.

— Tak, prawda. Słyszałem, że pan jest posłem, który przyniósł rozkaz generała Miramona?

— Tak, to ja.

— No cóż, to trudna sprawa! Wie pan może, jak się nazywa takiego człowieka, który przekrada się przez obce wojska i po nocach dostarcza tajne rozkazy?

— Nie spodziewam się, że pan chce widzieć we mnie... szpiega?

— No cóż, właśnie za takowego pana uważam.

— Ja nim nie jestem.

— To znaczy, że jest pan adiutantem Miramona?

— Nie.

— Może oficerem? A jeżeli nie, to może przynajmniej żołnierzem?

— Też nie.

— I pomimo wszystko przekrada się pan z wojskowymi rozkazami?

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Milczy pan, czyli, że się do tego przyznajesz.

— Senior, ja nic znalazłem treści tego listu.

— Sam pan przecież przed chwilą powiedział, że po drodze przeczytałeś ten rozkaz. Kto umie czytać, ten umie i myśleć. Wymówka pańska jest daremna.

Major wmieszał się do rozmowy mówiąc:

— Senior, muszę pana zapewnić, że nie poddam się, jeżeli choć jeden z mego otoczenia, będzie wyjęty spod naszych układów.

— No cóż, mogę panu obiecać, że się postaram nakłonić dowódcę do pobłażliwości.

— To mi nie wystarcza. Chce krótkiej i zwięzłej odpowiedzi. Żądam pańskiego przyrzeczenia.

Robert pomyślał chwilę, po czym powiedział:

— Nie chcę być zbyt surowy, myślę, że nie postąpię wbrew woli prezydenta, jeżeli i tego pana obejmie umową.

Odszedł, nie przeczuwając nawet, kim był ów zakonnik, któremu ocalił życie.

Republikanie uważali, że Robert idzie na stracenie, gdy jednak zobaczyli wystrzeloną przez niego racę, zaczęli mieć nadzieję, że potrafi się cało wyrwać z rąk bandy. A kiedy zobaczyli, że cały i zdrowy powraca do nich, poczęli wiwatować z radości.

Dowodzący zgodził się na wszystko, chciał bowiem zaoszczędzić krwi, ale w zamian musiał poczynić pewne ustępstwa.

W kwadrans później spotkał się Robert z majorem i jego towarzyszami, by dokładnie omówić warunki. Stało na tym, że sprzymierzeńcy cesarza jeszcze w ciągu nocy mieli złożyć broń i poczekać aż do rana, gdyż wtedy miano ich przetransportować do obozu koło Queretaro.



Naturalnie, nikt nie pomyślał o spaniu. Oficerowie cesarscy pozostali wolni, po daniu słowa, że nie będą próbowali ucieczki, to samo chciał uzyskać ów zakonnik, będący w grupie.

— Czego pan sobie życzy? — spytał go Robert.

— Chciałem tylko uzyskać informacje.

— W jakiej sprawie?

— Czy to prawda, że nasi oficerowie są wolni po złożeniu słowa honoru? Czy mógłbym prosić o to samo?

Robert z początku nie był w stanie powiedzieć ani słowa, wreszcie spytał ostrym tonem:

— Pan?

— Naturalnie.

— Człowieku, czy pan jest przy zdrowych zmysłach? Powiedziałem panu przecież, że ludzie, którzy trudnią się takimi sprawami jak pan, należą do szpiegów. Powinien być pan zadowolony, że uratowałem mu życie.

— Moje życie należy do pana.

— Dziękuję za ten podarunek, nie chcę wcale z niego korzystać. Wic pan, że u szpiegów nie liczy się na honor. W tym wypadku polegam na powszechnym obrazie. Proszę mi więc wyjaśnić, jak pan to sobie wyobraża, jak szpieg, któremu brakuje honoru może dać słowo honoru i jeszcze żądać, żeby mu udzielono takich samych gwarancji, jakie daje się oficerom.

To było powiedziane już zbyt ostro, zakonnik z naciskiem powiedział:

— Senior, pan nie wie, kim ja jestem. Uważa mnie pan za szpiega, ja jednak jestem lekarzem i zakonnikiem. Nazywam się Lorenzo i mieszkam w klasztorze de la Cruz w Queretaro.

— Wspaniale, jest pan zakonnikiem i zamiast słów pokoju roznosi pan rozkazy wojenne?

— Muszę słuchać swoich przełożonych.

— I wbrew religii, a także ewangelii podjudza pan ludzi do wojny, zamiast uspakajać?

Robert przy słabym świetle zauważył parę żarzących się oczu, z których biła złość. Nie znał obawy, ale poczuł dziwną odrazę do tego człowieka.

Zakonnik pohamował się jednak i po krótkiej przerwie odparł pokornie:

— Czyni mi pan krzywdę. Ja nie mogłem inaczej, musiałem słuchać przełożonych i musiałem służyć cesarzowi.

— Całkiem możliwe. Co do mnie, mógłbym panu nawet uwierzyć, ale inni tego na pewno nie zrobią. Służył pan wiernie cesarzowi?

— Tak jest, mówię o tym śmiało, pomimo, że mówię to do republikanina. Tym samym może pan poznać, że nie jestem zwyczajnym, tchórzliwym szpiegiem.

Rzucił przy tym tak wściekłe spojrzenie na Roberta, że ten aż się cofnął o krok.

— Co za oczy? Co za spojrzenie? — pomyślał Robert. — Ten zakonnik musi być bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Muszę się mieć na baczności.

Wreszcie nastał dzień, cały transport wyruszył w drogę. W środku znajdowali się jeńcy. Zwycięzcy na koniach otwierali i zamykali pochód ku Queretaro.

Droga prowadziła właśnie przez jeden z wąwozów, który na lewym zboczu porośnięty był krzakami. Do tej pory wszystko szło w porządku.

Tylko zakonnik, któremu nie pozwolono przyłączyć się do oficerów jadących na koniach, począł z troską myśleć nad swoją sytuacją.

Ranek nie rozproszył jego kłopotów. Droga wiodła do Queretaro. Tam mieli go odstawić. Co będzie, jeżeli go tam rozpoznają? Jeżeli się wyda, że nie jest ojcem Lorenzo z klasztoru de la Cruz? W takim przypadku będzie zgubiony. Ucieczka to jedyna szansa na ratunek. Dotychczas nie miał żadnej szansy na to, dopiero w wąwozie, którym musieli przejechać, zaczął się rozglądać na wszystkie strony chcąc, wykorzystać okazję.

Droga tu była bardzo wąska. Zarówno jeźdźcy jak i piesi musieli przebyć go pojedynczo.

Nieznacznie zaczął się rozglądać. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Chodziło tylko o to, aby nagle wpaść w zarośla. Pod ich osłoną nie potrzebował obawiać się kuli.

Tuż przy wejściu do wąwozu rozglądął się po raz ostatni, po czym jeden skok... i znalazł się z lewej strony. Teraz szybko biegł w stronę krzewów.

— Trzymać go! — krzyknął idący tuż za nim.

Dopiero teraz pozostali zauważyli uciekającego. Dziesięć karabinów skierowało się w tamtą stronę i dziesięć strzałów zahuczało prawie równocześnie... niestety, za późno. Właśnie gałęzie zakryły zbiega.

Gdy tylko dobiegł do krzaków wtargnął w głąb gęstwiny. Słyszał strzały, lecz na szczęście ani jedna kula nie trafiła go. Zziębnięty przystanął. Poczłł się bezpieczny, uszedł strzelaninie i był w gąszczu, a więc spokojnie mógł sądzić, że się uratował. Mimo woli wydał z piersi okrzyk radości.

Niestety zbyt wcześnie.

Nie z wyrachowania, ale jakby wiedziony przecuciem, Robert zbliżył się do zakonnika i jechał niepostrzeżenie tuż przy jego boku, po lewej stronie.

Gdy zobaczył jak więzień ucieka w kierunku zarośli w tym samym momencie skierował konia w stronę krzaków i pogalopował tuż obok nich. Dopiero kiedy doszedł do wniosku, że wyprzedził zbiega, zeskoczył z konia, przywiązał go do krzaka, sam zaś ukrył się w zaroślach nasłuchując z wytężeniem.

Nie potrzebował długo czekać. Niedługo usłyszał szybkie kroki, trzask łamanych gałęzi i ciężki oddech.

— Nadchodzi mój zbieg — zamruczał. — Ciekawy jestem jaką miną zrobi, gdy mnie zobaczy.

W kilka sekund później krzaki rozchyliły się i tuż obok zjawił się zakonnik, biegnący jak najszybciej w stronę lasu, od którego dzieliło go już tylko kilkanaście kroków.

Robert podniósł się z ziemi.

— Dzień dobry ojcze! — zawołał zbliżając się ku niemu. — Dokąd się tak senior śpieszy i to tak wczesnym rankiem?

Zakonnik przystanął na chwilę jak skamieniały. Tutaj, przed nim, ów kapitan, przecież on sądził, że wszyscy są w tyle. To przecież niemożliwe.

— Przeklęty!

Jednym skokiem skręcił w lewo chcąc wdrapać się na wzgórze.

— Stać! — zawołał Robert. — Stój, bo strzelam! Wyciągnął rewolwer.

— Strzelaj psie! — krzyknął zakonnik.

Z ogromnym wysiłkiem, ciężko dysząc, wspinał się po spadzistym brzegu spodziewając się, że z rewolweru przeciwnik nic potrafi do niego trafić. Za moment miał dosięgnąć brzegu.

Robert pomyślał, że lepiej będzie złapać tego człowieka żywcem.

— Strzelać? Nie! — zawołał — Ale mimo tego musisz być mój!

W sekundzie zerwał z bioder lasso, zrobił na końcu pętlę i podniósł do góry rękę. Krótki zamach... gwizdnął świst... pętla dokonała swego.

— Do stu diabłów! — wrzasnął zakonnik.

Właśnie dobiegł do brzegu lasu i już uważał, że jest uratowany, gdy nagle załapało mu coś ramiona i przygniotło do boku, jedno silne szarpnięcie i na nowo potoczył się głową w dół, na samo dno wąwozu. Zdawało mu się, że z nieba zlatuje w głąb otchłani. Przymknął oczy.

Kiedy je powtórnie otworzył leżał obok konia Roberta ze związanymi rękami i nogami. Spalona od słońca, czerstwa twarz kapitana spoglądała na niego z uśmiechem.

— No ojcze Lorenzo, jak się podobała jazda na dół? — spytał Helmer.

— Niech pana diabli porwą! — zabrzmiała ponura odpowiedź.

— Ja myślę, że oni bardziej na pana polują, niż na mnie.

— Dlaczego mi pan nie pozwala uciec?

— Bo szpieg nic jest tego wart.

— A po co mnie pan związał?

— Bo szpieg jest tego wart.  
— Gdzie są inni?  
— Z przodu. Chcieli was także szukać, ale powstrzymałem ich. Jeden człowiek w zupełności wystarcza do powstrzymania takiego ojczulka.  
Zakonnik pohamował swój gniew i rzekł:  
— Gdybym był przekonany, że inni nie wiedzą o tym, że mnie Pan złapał, złożyłbym panu korzystną propozycję.  
— Wobec tego co zaszło, nie mógłbym tego słuchać.  
— Czyli, że na nic moje propozycje?  
— Hm, tego nie można wiedzieć.  
— Dobrze, usłyszysz je pan, ale najpierw niech mi pan zdejmij więzy.  
— Co to, to nic, kochasiu! Jeszcze bym musiał pana po raz drugi łapać, a myślę, że ten jeden raz wystarczy. Nie można przecież: mężem stanu duchownego postępować głupio.  
— Pan sobie kpi? Gdybyś pan wiedział, kim mógłbym dla pana być, nie czyniłbyś tego.  
— Tak? A kim to dla mnie mógłby pan być?  
— Pańskim... pańskim dobrodziejem.  
— Tak? A w jaki sposób?  
— Pan przecież nie jesteś człowiekiem bogatym.  
— Raczej nie.  
— Czyli, że ubogim?  
— Raczej tak.  
— Mógłbym pana zrobić człowiekiem bogatym, a w pana pojęciu nawet bardzo bogatym.  
— Tak? Zna pan moje wyobrażenia co do bogactwa?  
— Przypuszczam, że tak.  
— A w jaki to sposób mógłby mnie pan uczynić bogatym?  
— Płacąc panu za moją wolność.  
— Ba, pańska wolność nie jest warta ani grosza, a ja przynajmniej nie dałbym za nią złamanego centa.  
— Aleja tak.  
— Doprawdy? Ile?  
— Ofiaruję panu pięć tysięcy dolarów.  
— Co? Ma pan tyle pieniędzy?  
— Ja jestem bogaty.  
— Tak? No to w takim razie mógłby pan zapłacić więcej.  
— Dobrze. Dam panu dziesięć tysięcy.  
— Do stu piorunów, panu rzeczywiście musi bardzo zależeć na wolności.  
— To prawda, mam kilku bardzo chorych pacjentów, a którzy bez mojej pomocy mogą umrzeć.  
— Pacjentów mi żal, ale nie lekarza. Sądzę, że nic nie będzie z naszej ugody. Proszę wstać. Podniósł go, chcąc go wsadzić na konia.  
— Piętnaście tysięcy! — zawołał zakonnik.  
— Nonsens.  
— Dam dwadzieścia tysięcy!  
— Milcz pan, ja nie potrzebuję pańskich pieniędzy.  
Przy tych słowach podniósł zakonnika w górę i sam wsiadł na siodło.  
— Proszę się zlitować nade mną! — począł prosić związany z rozpaczą w głosie. — Dam panu trzydzieści pięć tysięcy dolarów.  
Robert ścisnął konia ostrogami i odparł:  
— Teraz proszę milczeć, inaczej będę zmuszony zakneblować ci usta. Już to samo, że ofiarujesz mi takie sumy, daje wiele do myślenia. Muszę się dokładnie dowiedzieć, kim pan

właściwie jest i dlatego tak bardzo zależy panu na wolności. Pańskie sumienie nie może być szczególnie kryształowe, kiedy wszelkimi sposobami starasz się wymknąć.

Pogalopował naprzód i tuż przed obozem dopędził cały transport.

Zakonnik cały czas milczał, wyglądało, że pogodził się z losem. Robert zdjął go z konia i razem z resztą jeńców musiał dalej iść pod eskortą.

Ucieczką tą pogorszył tylko swój los, bo podczas, gdy inni zostali przetransportowani do budynku przeznaczanego dla jeńców, jego zamknięto w więzieniu.

Generał Hernano bardzo ucieszył się z tak pomyślnie rozwiązanej sprawy. W przeciwieństwie do wieczornego przyjęcia teraz wychwalał Roberta pod niebiosa i przyrzekł, że nie zapomni o nim wspomnieć Juarezowi.

Gdy dowiedział się o zakonniku i jego nieudanej ucieczce postanowił zasięgnąć dokładniejszych informacji. Z pochlebstwami i szacunkiem pożegnał młodego bohatera.

Robert chciał właśnie dosiąść konia, gdy w pełnym galopie wjechał na dziedziniec jakiś jeździec. Był to Sternau.

— Ach panie doktorze? Pan tutaj? — zawołał do niego. — A to dopiero niespodzianka.

— Dla mnie również bardzo miła, Robercie, — odparł Sternau bo właśnie ciebie szukałem.

— Gdzie?

— W twoim obozie. Tak długo nie mieliśmy żadnej potyczki, że nie mam nic do roboty, już zaczyna mi się nudzić. Wczoraj postanowiłem, że odszukam ciebie.

— A mnie akurat tam nie było.

— No właśnie! Dowiedziałem się, że wyjechałeś do Eskobedo i że masz powrócić wieczorem. Czekałem cały wieczór, ba, nawet całą noc... na próżno. Wyprawilem się więc za tobą, ale przy okazji chciałem obejrzeć szanccę, skierowałem więc konia w tę stronę i... oto spotykam ciebie.

— Co mnie bardzo cieszy.

— Mnie także, ale powiedz mi, gdzie tak długo przebywałeś?

— Spotkała mnie przygoda i to dość szczęśliwa. Zsiądźmy z koni i wstąpmy tu na chwilę. Myślę, że w kwaterze Hernano znajdzie się jakiś poufny kącik do pogaduszek i krople do zwilżenia gardła.

— Przynajmniej spróbujmy.

W zacisznej izbie siedli razem przy szklaneczkach, po czym Robert zaczął opowiadać całe zdarzenie. Sternau przysłuchiwał się z uwagą nie przerywając ani słowem, dopiero kiedy Robert skończył potrząsnął lekko głową mówiąc:

— To bardzo dziwne. Dowiadywałeś się o stosunkach klasztoru de la Cruz w Queretaro?

— Nie.

— W głównej kwaterze są lepiej poinformowani. Dawni zakonnicy musieli co do jednego opuścić klasztor.

— To podejrzane.

— O ile wiem, nie ma tam żadnego zakonnika, który zajmowałby się leczeniem chorych. Może opiszesz mi tego ojczulka trochę bliżej.

— Z chęcią.

Zaczął przypominać sobie bliższe szczegóły i przekazał je Sternauowi, który przybierał coraz bardziej zdziwiony wyraz twarzy. Wreszcie podskoczył do góry jak zelektryzowany.

— I ty schwytałeś tego zakonnika? — zawołał zdumiony.

— Oczywiście.

— I on siedzi tutaj, w więzieniu?

— Naturalnie — odparł Robert również zdziwiony tym ogromnym zainteresowaniem Sternaua.

Tu doktor w paru słowach wyjaśnił, iż podejrzewa, że zakonnik ten to nic kto innyjak ojciec Hilario, z klasztoru della Barbara.

— Czy mógłbym się do niego dostać, bez zbędnych korowodów?  
— W każdej chwili mogę go odwiedzić.  
— To chodźmy do niego.  
— Dobrze, możemy natychmiast.  
— Ale ja nie wejdę równocześnie z tobą.  
— Dlaczego?  
— Bo chciałbym go zająć niespodziewanie. Najpierw ty z nim pomów.  
— Zgoda! Chodźmy, ale biada, jeżeli to on! Zaraz pobiegnę do generała, aby go o tym powiadomić.

Zostawili wino na stole i udali się wprost do więzienia. Żołnierz stojący na straży natychmiast poznał Roberta, więc otworzył mu drzwi celi zakonnika. Robert nie zamknął ich za sobą, tylko nieco przymknął, by Sternau stojący za nimi mógł słyszeć całą rozmowę.

Zakonnik bardzo się zdziwił widzą wchodzącego kapitana.

— Pan znowu tutaj? — spytał więzień.

Nie był obecnie związany, siedział na gołej pryczy, z której się właśnie podniósł.

— Jak pan widzi — odparł Robert.

Zupełnie niewinnym okiem obrzucił więźnia, co nie uszło jego uwagi.

— Co pana do mnie sprowadza?

— Chcę uzyskać więcej informacji. Powiedziałem panu przecież, że ta ogromna suma, jaką mi ofiarowywałeś za wolność wyostriżyła moje podejrzenia. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli przyzna się pan otwarcie, dlaczego tak bardzo obawiałeś się, aby pana nie rozpoznano.

— Mnie? Rozpoznano? Ciekawym jestem przez kogo. Nie potrzebuję się obawiać spotkania z nikim, kto mnie zna, ten może tylko mi pomóc.

— Starał się pan tak bardzo odzyskać wolność, nie dlatego, że czekają na pana chorzy, ale raczej więźniowie. Wspomnę tylko takie nazwiska jak: Gasparino Kortejo i jego współnika Henryka Landolę.

Zakonnikowi pociemniało w oczach. Zdawało mu się że dostał w głowę jakąś pałką. Jednak udało mu się stosunkowo prędko dojść do siebie i zapanować nad zmieszaniem, zwłaszcza, że wymienieni nie byli przyjaciółmi, raczej wrogami Roberta Helmera. Z miną wielce obojętną odrzekł więc:

— Nie znam tych nazwisk.

— To może inne będziesz lepiej znał, a więc wspomnę niejakiego Pablo Kortejo i jego córkę Józefę.

— Tych akurat znam, bo każdy Meksykanin wie jaką śmieszną rolę odegrali w historii naszego kraju.

— Hm, teraz odgrywają bardzo smutną rolę, bo siedzą w podziemiach klasztoru della Barbara przykuci do nagiej skały.

Robert podawał kroplę po kropli. Zakonnik zbladł jak ściana. Drżącym od wzruszenia głosem spytał:

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nie rozumiem, nie wiem czego pan ode mnie chce?

— Naprawdę? Ile to więźniów muszę panu jeszcze wymienić, o choćby na przykład hrabiego Ferdynanda de Rodriganda. Zna go pan?

Zakonnik doznał uczucia, jakby się ziemia pod nim zapadała. Kolana poczęły mu drżeć z trwogi i jękając się odparł:

— Ja... ja go nie znam.

— A Mariano, obu braci Helmerów, małego André, Bawole Czoła i Niedźwiedzie Serce także pan nie zna?

— Nie, skąd miałbym ich znać?

— A Sternau także jest panu nieznany?

Zakonnik usiadł na pryczy, gdyż miał wrażenie, że siły go opuszczają, pomimo tego jednak wyjąkał:

— Tego naz... nazwiska., nigdy nie... nie słyszałem jeszcze nigdy.

— Wszyscy, których wymieniłem byli więźniami klasztoru della Barbara, a pilnował ich wasz bratanek, Manfredo.

Nic spodziewał się, że właśnie ta straszna prawda doda zakonnikowi sił. Prostując się powiedział:

— Co mi pan tu opowiadasz? To zakrawa na jakąś bajkę i brzmi jak kiepski kryminał.

— Tak, naturalnie to wszystko jest kryminałem, którego bohaterem jest pan. Przekonałem się o tym osobiście, bo udało mi się wszystkich tych ludzi uwolnić.

— Co... co... co? — krzyknął zakonnik.

— W zamian za to uwięziłem pańskiego bratanka. Teraz czeka na karę, aby ją ponieść wspólnie ze swoim stryjaszkiem.

Zakonnik patrzył na niego wielkimi, nieruchomymi oczami nic nie odpowiadając. Kiedy to się mogło stać? Czyżby w klasztorze nie było żołnierzy Miramona? Ciekawość jego wkrótce została zaspokojona, gdyż Robert kontynuował swą wypowiedź.

— Inne pańskie tajemne knowania także zostały odkryte. Choćby ten tajemniczy poseł związku, który panu przyniósł rozkaz udania się do Queretaro. Został już rozstrzelany przez generała Veleza. Seniorita Emilia została uratowana przez małego André. Ja sam przy pomocy kilku innych republikanów pojąłem i uwięziłem wszystkich wysłanych do klasztoru della Barbara żołdaków. A co najważniejsze, cały misternie przygotowany plan wymordowania wszystkich mieszkańców hacjendy del Erina, spełził na niczym. Truciznę odkryto i nikt nie napił się tej wody, którą pan w tak podstępny sposób zalał w nocy trucizną.

To było już ponad siły zakonnika. Wpatrzył się w Roberta nieprzytomnym wzrokiem.

Słyszał wprawdzie wszystko co młodzieniec mówił do niego, czuł, że wszystko zostało wykryte, pomimo tego jednak, jak tonący chwyta się brzytwy, drżącym głosem zaczął się usprawiedliwiać:

— Ja... ja nie rozumiem... nie pojmuję niczego.

— Naprawdę draniu! — zabrzmiał jakiś donośny głos w drzwiach. Wysoka postać Sternaua stanęła na progu. Przerażony zakonnik ujrzał go. Jego oczy stały się szklane, wargi zaczęły sinieć, ręce zaczęły drżeć.

— Ster... Ster.. Ster...

Chciał wymówić nazwisko wchodzącego, ale nie mógł dokończyć. Ostatnie zgłoski pomieszały się z jakimś charkotem. Uniósł do góry ręce i padł na ziemię jak kłoda drzewa. Gęsta piana pojawiła się na jego ustach.

Robert odwrócił się, Sternau podszedł bliżej i przyklękawszy zaczął badać sztywne ciało. Gdy skończył wstał i rzekł:

— Tym nie potrzebujemy się już zajmować, Bóg wymierzył mu sprawiedliwość.

— Co? Umarł?

— Nie, coś znacznie gorszego. Trafiła go apopleksja.

— Nie da się tego wyleczyć?

— Nie. Będzie jeszcze jakiś czas cierpiał straszne męki, bo jak można poznać z wyrazu jego oczu, mózg pracuje normalnie.

— To straszne!

— W każdym razie muszę jeszcze jakiś czas zostać przy nim, chociaż nie przypuszczam, by odzyskał mowę.

— Czy słyszy co my mówimy?

— Musi słyszeć, popatrz tylko na jego wystraszone oczy.

— To prawda! Bóg jest sprawiedliwy. Ale jak umrze jego tajemnice razem z nim pójdą w zaświaty.

— Co to, to nie.

— A jak nie odzyska mowy?

— Z tym musimy się liczyć, ale na pewno będzie wydawał z siebie bełkotliwe dźwięki, my natomiast jego bratanka zmusimy do wyznań. Ten ma przed sobą jeszcze długą i pełną cierpienia drogę. Najpierw język zmieni się w ołów, potem żołądek i kiszki odmówią mu posłuszeństwa i nie będzie trawił. Za karę, za to co myśmy u niego wycierpieli, będzie mógł liczyć ostatnie godziny, przy całkowitej świadomości. Chodźmy, nie jesteśmy tu już potrzebni.

Wyszli z więzienia, Sternau udzielił wartownikowi wskazówek; co do pielęgnacji więźnia, po czym udał się do generała Hernano, żeby mu wyjaśnić, kogo u siebie więzi. Robert tymczasem wsiadł na konia i odjechał do swych obowiązków, gdyż po tak długiej nieobecności mógł być potrzebny.

\* \* \*

Po drodze spotkał jakąś zawoalowaną damę. Siedziała na mule, w tyle za nią jechał jej służący i kilku kawalerzystów, jako straż przyboczna. Ponieważ jechał szybciej niż oni wkrótce ich dogonił. Jako dobrze wychowany człowiek, gdy tylko zrównał się z damą, uchylił kapelusza, po czym popędził naprzód. Zdążył jednak usłyszeć krótkie słowa.

— Czy to możliwe, pan tutaj, panie kapitanie? Mimo woli wstrzymał wierzchowca.

— Pani mnie zna? — spytał.

— Naturalnie, pan jest kapitanem Helmerem.

— Tak, kiedy miałem zaszczyt być pani przedstawiony?

— Spotkaliśmy się w Wiedniu, w Berlinie i na dworze wielkiego księcia. Sądzę, że mnie pan pozna.

Uchyliła nieznaczenie welon i Robert ujrzał dobrze znaną twarz.

— Jak Boga kocham, łaskawa pani tutaj? Jak się pani odważyła opuścić miasto? — zawołał zaskoczony. — Wiedziałem, że pani nie opuści męża, a mąż pani cesarza. Z wielkim zainteresowaniem śledziłem pani losy.

— Dziękuję panu za współczucie. Oto moja ręka, panie kapitanie. Ale co pan robi w Meksyku?

Ujął jej rękę i przycisnął do ust. Eskorta z respektem odsunęła się na bok, by nie przeszkadzać w rozmowie, więc nikt nie mógł słyszeć ani słowa, zwłaszcza, że dla ostrożności rozmawiali po niemiecku.

Damą tą była księżniczka Salm, małżonka wiernego adiutanta cesarza, który do ostatnich chwil stał przy swym panu i był świadkiem owej straszliwej tragedii. Oboje, tak ona jak i on byli bardzo przywiązani do cesarza, ale wszystkie ich usiłowania by polepszyć los władcy spełzły na niczym.

— Pamięta pani, jak rozmawialiśmy w Berlinie o owych dziwnych losach rodziny Rodriganda? — spytał Robert.

— Tak, przypominam sobie dokładnie.

— Właśnie te niesamowite historie sprowadziły mnie do Meksyku.

— Szczerze życzę panu powodzenia.

— Bardzo dziękuję, łaskawej pani. Dotychczas wszystko szło jak po grudzie, ale obecnie los się do mnie uśmiechnął.

— To mnie cieszy, ale co pan porabia tutaj, w obozie wroga. Jak widzę znają pana.

— Co robię? — uśmiechnął się Robert. — Uczestniczę w oblężeniu Queretaro.

— Pan także? — spytała księżna żartem, gdyż przypuszczała, że Robert żartuje.

— Tak jest, jestem przydzielony do prac oblężniczych.

— Poważnie?

— Tak — odparł Robert.

Twarz księżnej przybrała zdziwiony a zarazem przerażony wyraz.

— Nie mogę w to uwierzyć — odpowiedziała.

— Proszę wierzyć, że to jest prawdą. Sam zgłosiłem się do Juareza i Eskobedo.

— Ależ to zdrada!

Ostatnie słowa padły mimo woli księżnej, nie przemyślała ich do końca.

— Jestem przekonany, że mi pani przyzna rację, — powiedział Robert — jeżeli wyjawię pani całą tajemnicę. Czy mogę pani zaufać?

— Jak najbardziej, nikomu tego nie zdradzę.

— Może to pani powiedzieć, ale tylko dwóm osobom.

— Komu?

— Cesarzowi i małżonkowi.

— A co to za tajemnica?

— Przyłączyłem się do oblężenia cesarza, tylko po to, aby móc go uratować.

— To przecież przeczy temu co pan robi.

— A jednak jest jasne i zrozumiałe. Niestety moje dotychczasowe starania były bezskuteczne.

— Nasze także. Proszę zgadnąć od kogo wracam kochany kapitanie.

— Nie mam pojęcia.

— Od prezydenta.

— Od Juareza? To mnie bardzo interesuje.

— Zostałem przyjęta i rozmawiałam z nim.

— Z czyjegoś polecenia?

Księżna rozglądnęła się uważnie a dopiero potem odparła:

— Właściwie moje serce rozkazało mi podjąć się tego kroku, choć i inni napomknęli mi o tym. Poprosiłam Eskobedo o przepustkę i otrzymałam ją.

— A audiencja?

— Nie przyniosła rezultatu. Powracam bez jakiegokolwiek nadziei.

W oczach księżnej pojawiły się łzy. Robert nie mógł się powstrzymać od współczucia dla tej wspaniałej kobiety. Księżna ciągnęła dalej:

— O mój Boże, cóż to za twardy, pozbawiony uczuć człowiek, z tego Juareza!

Robert jednym ruchem głowy zaprzeczył tym słowom.

— Myli się pani — odparł. — Ja go znam. Na zewnątrz rzeczywiście wygląda na człowieka bez serca, ale to tylko zimna powłoka. Pod nią bije ciepłe, współczujące serce.

— Nie to niemożliwe. Wysłuchał mnie zimno, bez cienia zainteresowania i odesłał z niczym.

— Musiało się tak pani tylko wydawać. Jest Indianinem, więc nie zdradza się z uczuciami, nawet przed mężczyzną, a tym bardziej jeżeli chodzi o kobietę.

— Jeżeli rzeczywiście ma serce, to musiał wysłuchać moich błagań.

— A o co go pani prosiła?

— O życie cesarza.

— I co odpowiedział?

— Jego odpowiedź nie tylko, że była lodowata i twarda, ale nawet niegrzeczna.

— To akurat mnie dziwi.

— Jednak przyzna mi pan rację. Powiedział, że cesarz sam zdecydował o swym dalszym życiu, więc on jako prezydent nie może działać wbrew jego woli. Zresztą z mojej strony było wielką nieostrożnością nawet o coś takiego prosić i na przyszłość wyprasza sobie podobnych interwencji. Czy to nie jest niegrzeczne, a nawet obraźliwe?

— Nic zauważyłem tego.

— Jak to? Co? To znaczy, że i pan jest bez serca.



- Tu nie chodzi o mnie, ale o Juareza. Ja widzę, że powiedział tylko prawdę.
- W takim razie ja nie rozumiem prezydenta.
- Proszę posłuchać. Juarez postąpił całkiem słusznie mówiąc, że cesarz sam postanowił już, o swym losie. Prezydent sam chciał go ratować. Wysłał nawet w pobliże cesarza osoby, które miał go nakłonić do tego, by się ratował, ja sam byłem w tej sprawie u cesarza. Przepustkę dostałem od samego prezydenta, tak aby nikt mi nie stanął na drodze. Czy to nie mówi samo za siebie? Każdy, kto by stanął mnie i moim towarzyszom na drodze, miał być karany śmiercią.
- O Boże, gdyby mi pan tego nie powiedział, nigdy by w to nie uwierzyła.
- Mogą dać pani na to moje słowo.
- To nie jest konieczne, panie kapitanie. I z tą przepustką był pan u cesarza?
- Tak jest, przed kilku dniami, niestety daremnie. Cesarz przeczytał pismo, oddał mi i na tym audiencja była skończona.
- To znowu mnie wydaje się niemożliwe.
- A ja pojąłem to bardzo szybko. Byłem nawet zadowolony, że mnie jako tajnego posła republikanów, nie kazał uwięzić i rozstrzelać.
- To przesada.
- O nie, z pewnością nie. Przy boku cesarza, z rozkazu prezydenta cały czas przebywała jeszcze jedna osoba i robiła co tylko w jej mocy, by ratować Maksymiliana.
- Kto to był?
- Proszę wybaczyć, łaskawa pani. Nie wiem czy wolno mi wyjawić jej nazwisko. Tej osobie udało się pozyskać zaufanie generała Meji...
- Mejia, to wierny sługa cesarza.
- Oboje pracowali gorliwie, by uczynić zadość życzeniom prezydenta... na próżno. Wreszcie z innej strony odkryto zabiegi owej osoby. Proszę zgadnąć, co się stało? W nocy, pod pozorem wizyty u cesarza wywabiono ową osobę z domu, zakneblowano i skrupowano, po czym wywieziono do Tula, gdzie miano ją powiesić. Stało się tego samego dnia, w którym byłem na audiencji u Maksymiliana. Wprawdzie udało mi się jeszcze zobaczyć napastników, ale przyszedłem za późno. Powróciwszy do mojej *venty* wsiałem na konia, szczęśliwie wyjechałem z miast i pogoniłem za drabami. W jednej gospodzie natrafiłem na nich i na szczęście udało mi się uwolnić ową osobę.
- Muszę przyznać, że słucham tego z największą uwagą, ale i z ogromnym zdziwieniem. Kto mógł wykraść tę osobę?
- Pułkownik Lopez.
- A nie przeczuwa pan przypadkiem, na czyj rozkaz tego dokonał?
- Tego się łatwo mogę domyślić.
- Ma pan może na myśli generała Miramona?
- Naturalnie.
- Ale dlaczego?
- Właśnie za jego przyczyną moja audiencja trwała tak krótko.
- Ale jaki on może mieć powód, by działać w ten sposób?
- Spodziewa się, że śmierć cesarza przyniesie mu wolność. Zresztą działa w tajnym związku, który ma za zadanie zatrzymać cesarza w kraju tak długo, dopóki jakikolwiek ratunek okaże się niemożliwy. Śmierć cesarza ma spaść na głowę Juareza. W ten sposób prezydent, jako morderca Habsburga, ma być dyskredytowanym przez inne rządy, a tym samym odsunięty od władzy.
- Co ja słyszę? Czy nie zna pan przypadkiem członków tego tajnego związku?
- Ukrywają się w ciemnościach, jednak jestem przekonany, że przywódcą jest Miramon. Jednego z uczestników, którego jednak pani nie zna, udało mi się złapać. Generał Velez rozstrzelał go. Widzi pani, że nawet republikańscy oficerowie działają w interesie cesarza.
- Muszę mu to wszystko powiedzieć i ostrzec go.

— Proszę to zrobić. Może pani przy tym wspomnieć o jednym człowieku, którego widział, i który niezawodnie należy do tego związku. Nazywa się Hilario i jest zakonikiem z klasztoru Santa Jaga.

— Jeżeli się nie mylę, to słyszałam już o nim i to od spowiednika cesarza.

— Przed tym człowiekiem także proszę cesarza ostrzec, bo on był przy tej osobie, którą zdradziecko wywieźli z miasta do Tula. On ją sam wywabił na ulicę i czatował podczas porwania.

— Może pan to udowodnić?

— Jak najbardziej. Przyszedłem właśnie w tym momencie, że udało mi się go schwytać za płaszcz, który mi został w rękach.

— Po płaszczu trudno poznać właściciela.

— Tak, ale tego samego dnia, był u gospodyni domu, jest zresztą tam codziennym gościem. To właśnie ta pani rozpoznała ten ciuch, nie mam powodów by jej nie wierzyć.

— Na Boga! Nie wiem co mam o tym myśleć. Niewierność i zdrada na każdym kroku. Chciał pan coś jeszcze powiedzieć o tym zakonniku Hilario?

— Tak, to jemu właśnie przydzielono zadanie przybyć do Queretaro, by przekonać cesarza, że na tyłach wojsk prezydenta stronnicy cesarscy uzbrają się i szykują do powstania. Było to naturalnie czyste kłamstwo, bo z wyjątkiem Santa Jaga, w którym to mieście kilkuset najemników miało urządzić demonstrację siły, nikogo innego nie było. Ci także zostali złapani i zamknięci w podziemiach klasztoru della Barbara.

— Czy wolno mi o tym opowiedzieć cesarzowi?

— Nawet o to proszę.

— Czy gwarantuje mi pan, że to co mi powiedziałeś jest prawdą?

— Naturalnie, daję pani na to słowo honoru. Sam byłem świadkiem całego zdarzenia. Zna łaskawa pani, hrabiankę Różę de Rodriganda, obecnie panią Sternau?

— Znam. Widywałam ją u wielkiego księcia. To bardzo sympatyczna osoba.

— Właśnie jej mąż, doktor Sternau był również świadkiem owej nieudanej demonstracji w Santa Jaga. Poprzedniej nocy, niedaleko stąd, próbował Miramon urządzić podobną zawieruchę i wysłał w tym celu owego zakonnika Hilario, z rozkazem do dowódcy bandy, by ten pozornie napadł na tyły republikanów. Im się także nie udało. Pojмалиśmy wszystkich co do jednego. Nawet ów zakonnik wpadł w moje ręce. Wspólnie ze Starnauem chcieliśmy go przesłuchać i zderzyć mu maskę z twarzy. Samo opowiadanie mu o jego niegodziwościach, tak strasznie na niego podziałało, że dostał apopleksji. Bóg go ukarał. I temu człowiekowi właśnie cesarz uwierzył na słowo.

— Mój Boże, przecież cesarz także nie jest wszechwiedzący. To się mój mąż zdziwi, gdy mu to wszystko opowiem. Musi natychmiast poprosić o audiencję.

Robert wzruszył ramionami.

— Wątpię w powodzenie — rzekł. — Mam nadzieję, że przekonałem panią, że Juarczowi chodziło o to, by uratować cesarza. Jednak Maksymilian po pierwsze, owym nieszczęsnym dekretem przypieczętował swój los, po drugie ciągłym uporem i nieopuszczaniem Meksyku, a wreszcie tym, że nawet nie podjął próby ucieczki. Cesarz dobrowolnie skazał się na śmierć. Czy nie słusznie powiedział pani Juarez?

— Co ma na to panu powiedzieć, kochany kapitanie, mnie samą ogarnia rozpacz.

— Prezydent kilka razy próbował, daremnie. Na próżno wyciągał pomocną rękę. Jego propozycje zawsze były odrzucane. Miał się nadal narzucać? Czy to licuje z godnością szefa państwa?

— Z godnością może nie, ale z sercem, bo powinien o ile tylko można, unikać rozlewu krwi, a mimo tego odrzucił mą prośbę.

— Pani ciągle o owej rzekomej niegrzeczności.

— Rzekomej? Bardzo jestem ciekawa, jak pan go będzie teraz usprawiedliwiał.

— Ja wcale nie chcę go usprawiedliwiać. Chcę wyjaśnić tylko pewne szczegóły. Myślę, że łaskawa pani sama przyzna mi rację i stwierdzi, że prezydent nie mógł inaczej postąpić.

— Proszę spróbować, jeśli łaska.

— Proszę mi tylko powiedzieć, czy Juarez to co do tej pory uczynił dla cesarza, mógł robić głośno i otwarcie? Musi pan przyznać, że było to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo wtedy sami republikanie odwróciliby się od niego, a tym samym sam straciłby się z funkcji prezydenta. Dziwi się pani, lecz to prawda. Mogę zapewnić, że Juarez i teraz chciałby uczynić wszystko, by tylko życie cesarza nie poniosło szwanku...

— Naprawdę? — przerwała mu.

— Powtarzam, że jestem o tym szczerze przekonany.

— Dzięki panu odzyskuję nadzieję.

— Ale podczas, gdy już wcześniej musiał działać w tajemnicy, tym bardziej teraz zmuszony jest do tego. Republikanie są przekonani, że cesarza został złapany w pułapkę, uratować może go tylko podstęp.

— To prawda.

— Działanie Juareza musi być bardzo delikatne. Nikt nie może nawet się domyślać, że w jego głowie choć jedna myśl poświęcona jest ratowaniu Maksymiliana.

— To fakt, ale nie wiem co pan zamierza dowieść tymi długimi wywodami.

Robert machnął ręką i nie odpowiadając wprost mówił dalej:

— I teraz właśnie przychodzi pani do niego otwarcie i śmiało i na oczach tysięcy ludzi, prosi pani o ratunek dla cesarza.

— O Boże, pojmuję do czego pan zmierza.

— Właśnie tego chciałem. Czy Juarez nie miał racji, gdy nazwał to nieostrożnością?

— Miał, miał.

— Nawet to słowo jest wielką odwagą z jego strony. Mówiąc o nieostrożności, tym samym przyznaje, że sam działa ostrożnie i nadal jest gotów tak działać.

— Poruczniku! — zawołała księżna chwytając go za rękę. — Pan przedstawia mi to w takim świetle, że muszę być panu za to wdzięczna.

— Chciałem pani tylko udowodnić, że Juarez nie jest niegrzeczny i w stosunku do pani także taki nie był. Chciał tylko dyplomatycznie zapewnić panią, że będzie czynił wszystko co w jego mocy, by prośbie pani dać szansę.

Twarz księżnej najpierw pokryta smutkiem oblała się rumieńcem i odrobinę pojaśniała. Trochę żywszym głosem zawołała:

— Pan oprócz wyjaśnień dał mi lekcję, jakiej po młodym oficerze nigdy bym się nie spodziewała. Teraz już wiem, że rzeczywiście mieli racją odznaczając pana w Prusach na wszelki możliwy sposób i że przydzielili panu tak ważne politycznie zadania. Pan naprawdę posiada zdolności dyplomatyczne.

— To zbyt wiele łaski dla mnie, pani — uśmiechnął się Robert.

— Ale powróćmy do naszej rozmowy. Mogę pani udowodnić, że odpowiedź Juareza odczytałem słusznie. Powiedziałem już, że uczestniczę w oblężeniu, tylko dlatego, że chcę cesarza uratować. Juarez dobrze o tym wie, że Meksyk bardzo mało mnie obchodzi i że jest mi wszystko jedno, czy rządzi w nim cesarz, czy prezydent. Dokładnie wie, że nie z miłości leżę pod Queretaro i zakładam miny.

— To znaczy, że on zna pańskie zamiary?

— Naturalnie.

— I że je pochwała?

— Jak najbardziej. Inaczej przecież by mnie tak na każdym kroku nie faworyzował.

— To znaczy, że pan mu nawet pomaga?

— Tak.

- Mówił pan może z nim o tym?
- Otwarcie nie. Ale zrozumiałem pewne słowa i to obecnie mam za regułę.
- Sądzi pan, że cesarz jest bezwarunkowo zgubiony?
- Nie, jakkolwiek obecnie, jego ratunek jest bardzo trudny.
- Na czym ta trudność polega?
- Cesarza będzie można uratować wówczas, gdy on sam się na to zgodzi, dotychczas jednak broni się przed tym uporczywie.
- Koniecznie trzeba go przekonać.
- Tak, lecz przede wszystkim należy złamać wpływ owych ludzi, którzy podstępnie utrzymują go w kłamstwie, a na to niestety brakuje czasu. To można zrobić tylko gwałtem, a możliwość nakreśliłem pani.
- Jestem panu za to bardzo wdzięczna i uczynię wszystko co w moich siłach, oczywiście możliwie szybko. Czy mogę powołać się na pana?
- Bardzo proszę. Proszę także zapewnić cesarza o moim współczuciu i niech go pani błaga, by posłuchał mej rady, gdy zjawię się przed nim osobiście.
- Zobaczy go pan jeszcze?
- Spodziewam się i bardzo sobie tego życzę.
- Kiedy?
- Przy... zdobyciu Queretaro.
- Straszne, a więc miasto zostanie zdobyte?
- Za kilka dni. Jeżeli spotkam cesarza, chciałbym go zobaczyć w cywilnym ubraniu i bez broni. Jeżeli mnie posłucha, spodziewam się, że uda mi się w ostatniej chwili uratować go.
- Te słowa napawają mnie nową nadzieją. Niech Bóg pana błogosławi za jego zacne czyny.
- Ja też mam taką nadzieję, ale teraz muszę panią pożegnać.
- Nie odprowadzi mnie pan?
- Nie. Muszę prosić o łaskawe zwolnienie mnie z tego miłego obowiązku, bo wszyscy wiedzą w jakim zamiarze opuściła pani miasto. Gdyby mnie teraz zobaczono razem z panią, łatwo mogliby mnie; posądzić o współdziałanie, a to by mi bardzo mogło zaszkodzić w realizacji planów. Tu mogliśmy swobodnie porozmawiać, ale teraz muszę zmienić nawet kierunek i z innej strony przybyć, by uniknąć jakiegokolwiek podejrzenia.
- Serdecznie uścisnęli sobie dłonie. Księżna powracała do miasta pełna nadziei.

## NATARCIE

Od tego czasu upłynęło kilka dni. Rankiem czternastego maja wstawał piękny dzień. Generał Velez wezwał do siebie Roberta. Po długich debatach Robert wrócił z wielce zasmuconą miną.

Mały André był właśnie w jego namiocie. Często przebywał teraz blisko kwatery głównej, bo wtedy łatwiej mógł widywać senioritę Emilię.

— A cóż to za mina, panie kapitanie? — spytał wchodzącego Roberta.

Spytany nie odpowiedział. Wielkimi krokami przemierzał namiot, wreszcie stanął przed traperem i spytał:

— Gdzie dzisiaj doktor Sternau?

— W obozie Eskobedo?

— Jest pan tego pewien?

— Tak.

— Proszę osiodłać konie, musimy do niego jechać.

— Po co?

— Proszę nie pytać.

Po dziesięciu minutach siedzieli na koniach i pędzili do kwatery generała Eskobeda. André nie mylił się, Sternau rzeczywiście tam przebywał. Zdziwił się nieco widząc zziębniętych przyjaciół pędzących na koniach. Powitawszy ich spytał:

— W takim pędzie, widocznie gnało was coś bardzo ważnego?

— Oczywiście. — odparł Robert. — Czy tu nikt nas nie może podsłuchać?

— Nie, ale dlaczego pytasz?

— Bo muszę panu powiedzieć coś ważnego.

— Dobrze, usiądźcie.

Zamknął drzwi i poczęstował gości cygarem, a potem sam usiadł wygodnie by wysłuchać rewelacji.

— Proszę o zachowanie tajemnicy, to co powiem jest bardzo ważne — rzekł Robert.

— Na nas możesz liczyć, umiemy dochować tajemnicy — odpowiedział Sternau

— Dlatego też mówię o tym tylko wam. Najbliższej nocy Queretaro zdobędą republikanie. André aż podskoczył do góry.

— Naprawdę, nareszcie! To mnie bardzo cieszy — zawołał. Sternau jednak spytał ostrożnie:

— Czyżby miał nastąpić szturm? Eskobedo nic mi o tym nie wspominał.

— Bo tu nie chodzi o szturm — odparł Robert. — Miasto wpadnie w nasze ręce na skutek zdrady.

— Zdrady? Jak to? — spytał Sternau.

— Lopez otworzy generałowi boczną bramę. Wtajemniczam was w to, bo potrzebuję pomocników do zadania, które stoi przede mną. Chcę ratować cesarza.

Sternau począł z lekka kręcić głową, uśmiechnął się i powiedział:

— Robercie, wiesz przecież, że cię lubię i nie odmówię ci pomocy, więc dlaczego nie powiesz mi od razu wszystkiego. W jaki sposób chcesz się dostać do cesarza?

— To będzie łatwe. Brama będzie otwarta już od północy. Velez podkradnie się pod nią z dwustu żołnierzami...

— Ach! — przerwał Sternau — Szcwany lis. Chce się najpierw przekonać, czy nie przygotowują na niego zasadzki.

— Właśnie. Zaufał mi i powierzył dowództwo nad jednym z tych oddziałów. Wprawdzie on sam pospieszy przede wszystkim w celu odszukania cesarza, ale mam nadzieję, że uda mi się go wyprzedzić. Cesarza już powiadomiłem, żeby był w cywilnym ubraniu.

— Zapewne przez księżnę Salm?

— Skąd pan wie o tym?  
— No cóż, bardzo długo pan z nią rozmawiał, gdy wracała od Juareza.  
— Tak. i właśnie wtedy powiedziałem jej o tym. Kolo bramy ma zostać tylko jeden strażnik. Jeżeli wszystko będzie szło pomyślnie Velez pośle po resztę wojska. Od dwunastej aż do tej chwili, kiedy nadejdą znaczne siły będę miał dosyć czasu, by wyprowadzić cesarza przez bramę, tak aby nikt nas nie zauważył.  
— A strażnik?  
— Ten nie stanowi problemu.  
— A jeżeli spostrzegą, że cesarz umknął i dowiedzą się, że ty z jakimś drugim człowiekiem wyszedłeś przez bramę, podejrzenie padnie na ciebie.  
— Chodzi o to, aby strażnika zająć czymś innym.  
— Przypuśćmy, że ci się to uda, co potem zrobisz z cesarzem?  
— Najpierw ukryję go w moim namiocie, gdzie będzie na niego czekał André.  
— Ja? — spytał zaskoczony André. — Ja mam uratować cesarza, tego nie mogła dokonać nawet seniorita Emilia?  
— Tak — powiedział Robert. — Ja muszę natychmiast wracać do fortecy, gdy tylko odprowadzę cesarza do namiotu. Pana zadaniem będzie wydostać się razem z nim z obozu.  
— Dokąd?  
— Miejsca jeszcze nie oznaczyłem, za mało miałem na to czasu. Będziemy się musieli nad tym wspólnie naradzić.  
— To już dawno zostało ustalone — uśmiechnął się Sternau.  
— Ustalone? Dawno? — spytał zdumiony Robert.  
— Naturalnie — odpowiedział doktor. — Jestem od ciebie starszy, dlatego musisz mi pozwolić oględnie i z namysłem przeprowadzić dalsze działania, skoro już poznałem twój plan.  
— Pan mnie zawstydza — zauważył Robert.  
— To nie było moim zamiarem. Owszem, bardzo podobała mi się twoja małomówność.  
— Jakie miejsce pan wyznaczył?  
— To, tutaj.  
— Pańskie mieszkanie?  
— Tak jest.  
— To nadzwyczaj niebezpieczne. Mam ukryć cesarza w głównym obozie Eskobeda?  
— W takich warunkach najbezpieczniej jest zawsze w jaskini Iwa, niż gdziekolwiek indziej. Ty postarasz się o przebranie dla cesarza, a André przyprowadzi go do mnie.  
— Ale tutaj nie może przecież zostać?  
— Naturalnie, że nie, zabawi tu tylko pięć minut. Szyny położone i tylko czekają by ich użyć.  
— Co? Kazał pan położyć szyny?  
— Tak.  
— Dokąd?  
— Nie zgadujesz?  
— Nie.  
— To musi być bezpieczne i ciche miejsce. Nikomu nie może przyjść nawet do głowy, by szukać tam cesarza i gdzie mógłby ze stać tak długo, dopóki nie otworzy się droga do portu.  
— Gdzie szukać takiego miejsca?  
— Widzę, że muszę ci powiedzieć gdzie, w hacjendzie del Erina.  
To słowo zelektryzowało obu.  
— Tak, hacjenda — powiedział André.  
— Ja tam jeszcze nie byłem, — dodał Robert — ale myślę, lepszego wyboru nikt by nie dokonał. Tylko, kto go tam zawiezie?  
— Ja — rzekł Sternau.

— Pan? Musi pan w takim razie wziąć urlop.

— Nie potrzebuję tego. Jestem panem swojej woli i mogę przyjść lub odejść, kiedy mi się podoba.

— Ale prezydentowi będzie pana brakowało.

— On nie powie ani słowa, będzie się raczej cieszył, że mu nie powiedziałem, dokąd wyjeżdżam.

— Jak to? Sądzi pan, że on się domyśli...

— Juarez jest bardzo rozsądny, bardziej niż pan to sobie wyobraża.

— Ale gdy inni, na przykład Velez czy Eskobedo przeczują coś takiego, albo co gorsza, znajdą ślady?

— To w najgorszej sytuacji jaskinia skarbów królewskich stoi dla cesarza otworem. Tam go nikt nie znajdzie.

— Ale na to potrzeba będzie zezwolenia Bawolego Czoła.

— O to jestem spokojny. On i Niedźwiedzie Serce razem ze mną odprowadzą cesarza.

— Tak? Przecież oni walczyli przeciw cesarzowi?

— Tak długo, jak był cesarzem. Natomiast jako człowiek szukający ratunku może liczyć na ich pomoc i obronę.

— Jak to wszystko znakomicie się składa i jak dobrze przemyślane! — zawołał zdumiony Robert.

— Jak będziesz miał moje lata przewyższysz mnie na pewno. Najważniejsze teraz to musisz myśleć jak odsunąć od siebie wszystkie podejrzenia.

— Ale co się stanie z naszymi więźniami w Santa Jaga, gdy pan odjedzie?

— Szybko wrócę, zresztą w tym wypadku śmiało możesz powierzyć sprawę Juarezowi.

Omówili jeszcze drobne szczegóły, po czym rozstali się. Robert i André odjechali do swego obozu.

Wieczór tego, tak ważnego dla Meksyku dnia właśnie zapadł. Żołnierze w Queretaro stali na ulicach, rozmawiając o bieżącej sytuacji karabiny poustawiali w kozły.

Cesarz nakazał wczesnym rankiem nowy wypad z miasta. Widocznie miał nadzieję, że ta powiedzie się lepiej niż poprzednie.

Naturalnie przed bitwą, żołnierze musieli wypocząć, dlatego wszyscy wcześniej pokładli się spać. W całym mieście zaległa cisza, tylko pojedyncze posterunki spacerowały ociężałym krokiem, w duszy przeklinając ciężką służbę.

Cesarz nie mógł znaleźć spokoju w swym pustym mieszkaniu, dlatego wraz ze swym adiutantem, księciem Salm, wyszedł do ogrodu. Spodziewał się, że tam łatwiej mu będzie zasnąć, niż w dusznych murach klasztoru.

Nadeszła północ. Z klasztoru, ku bocznej bramie małymi krokami skradała się jakaś schylona postać. Skrzypnęły ciężkie podwoje. Na progu leżała jakaś gruba koperta. Tą postacią nie był nikt inny, jak pułkownik Lopez. Podniósł kopertę, przy świetle latarki przeglądnął jej zawartość i mruknął z zadowoleniem:

— Wszystko się zgadza. Generał Velez dotrzymał słowa, więc ja także go nie zawiodę.

Tymczasem w obozie zwolenników Juareza także zapanowała cisza. Nikt nie przeczuwał tego co się miało wydarzyć. Oprócz jednego pułku, który stał w pogotowiu, wszyscy spali snem sprawiedliwych. Z boku ni z tego ni z owego zaczęły się zbierać pojedyncze grupy żołnierzy, które po jakimś czasie urosły do liczby dwustu. Ciche kroki zbliżały się do namiotu Roberta. Zastona odchyliła; się nieco i jakiś przytłumiony głos spytał:

— Czy senior już gotowy?

— Na rozkaz, generale.

— To proszę za mną.

Obaj pomaszrowali na czele dwustu żołnierzy, w kierunku miasta.

Gwiazdy dość jasno oświetlały drogę. Wszędzie panowało cicha noc, jakby chciała ukryć zdradę podłych ludzi.

Dotarli do bramy i zastali ją uchyloną. Velez ostrożnie zajrzał do środka, wołając przyciszonym głosem:

— Senior?

— Generał Velez?

— A czy to pułkownik Lopez?

— Tak.

— Co słyhać?

— Wszystko w porządku, śpią spokojnie, niczego nie przeczuwając.

— A gdzie cesarz?

— W swojej sypialni.

— Wie pan to z całą pewnością?

— Sam sprawdzałem. Dobrze, że na dzisiaj zaplanowaliśmy akcję, bo jutro wczesnym rankiem zaplanowano wypad z miasta.

— To by wszystko mogło popsuć. To pan nas prowadzi?

— Tak, ja.

— Stu ludzi idzie do klasztoru.

— A pozostali?

— Innych porozdzielam na miejscu.

— No to naprzód!

Z pistoletami w ręce cała gromada, z Lopezem i generałem na czele, posunęła się do przodu.

Przy przydzielaniu zadania, Robert otrzymał rozkaz pilnowania ogrodu, generał z Lopezem weszli do środka klasztoru.

Robert miał ze sobą tylko piętnastu żołnierzy, inni zostali rozstawieni wzdłuż całego budynku. Ta sytuacja była mu na rękę. Gdy doszli do ogrodowej furki, rozdzielił żołnierzy, każąc im skradać się wzdłuż sztachet do przodu, sam udał się wprost do namiotu, który stał w głębi krzaków.

Głośny brzęk broni rozległ się po korytarzach klasztornych. Maksymilian przebudziwszy się wyrwał z namiotu i zobaczył jakiegoś mężczyznę, spieszącego w jego kierunku.

— Co...

— Pst! Na Boga, cicho! —przerwał mu nadchodzący. — Wasza cesarska mość? Wszystko powiedział szybko i szeptem.

— Tak jest — odrzekł cesarz. — Czego pan chce?

— Ratować pana. Proszę pójść ze mną.

— Ratować? Kim pan jest? Co się stało?

— Jestem kapitan Helmer i...

— Pan? Pan jest? Jak się pan dostał do miasta?

— Na skutek zdrady pańskich ludzi, Velez wtargnął do miasta. Błagam, proszę pójść za mną.

— Mój Boże! Dokąd?

— Przez bramę, na zewnątrz murów. Droga jest jeszcze otwarta, za chwilę może być za późno.

— A co potem?

— Gdy tylko wydostaniemy się przez bramę, będziemy uratowani, szyny zostały położone.

Maksymilian nie odpowiedział, nowina ta zaskoczyła go. Robert złapał go za rękę, prosząc:

— Błagam pana na wszystko co święte, proszę się ratować, ale natychmiast, inaczej będzie za późno.

Dopiero teraz cesarz zrozumiał, więc odpowiedział w rozważeniu:



— Dziękuję panu. Jeżeli mój ratunek jest możliwy, nie będę się opierał, ale nie pójdę bez niego i bez generała Meji.

Wskazał na namiot, z którego właśnie wyszedł jego adiutant.

— Kto to? — szybko spytał Robert.

— Mój adiutant, księżę Salm.

— Dobrze, a gdzie Meja.

— Na Cerro de las Campanos.

— W takim razie jest zgubiony.

— To ja także zostaję.

Coraz bliżej było słyszeć szcęk broni. Robert usłyszał, że kilku żołnierzy pospieszyło w kierunku bramy, aby przywołać dalsze siły.

— Na Boga, chodź pan natychmiast — zaczął nalegać. — Za parę sekund wpadną do ogrodu i nowe siły republikańców wtargną do miasta.

— Bez Meji nie pójdą! — brzmiała stanowcza odpowiedź.

— Ja proszę ze względu na pańskich stronników, na wszystko co panu drogie, na ukochaną ojczyznę, proszę pójść ze mną! Wasza cesarska mość! Ja... ach! Już są tutaj! Nadchodzą, za późno, za późno! Chodź pan, no chodź!

Chwycił cesarza za ramię i pociągnął w alejkę, adiutant pobiegł za nimi. Do ogrodu wbiegł właśnie generał Velez wołając rozwścieczony:

— W klasztorze nigdzie go nie ma, szukać tutaj!

Równocześnie na zewnątrz murów słyszeć było szybki, miarowy krok nadciągających republikańców. Velez wpadł do ogrodu, więc furka była wolna i właśnie w jej kierunku Robert pociągnął cesarza.

— O Boże! Na ucieczkę za późno! — jęczał. — Prędko, prędko, tak byśmy przynajmniej zdążyli do Cerro de las Campanos.

Ciągnął za sobą wzbraniającego się Maksymiliana, którego z drugiej strony popychał Salm. Do miasta wkroczył właśnie nowy oddział republikańców. Ich dowódca wyciągając szpadę zawołał:

— Stać! Kim jesteście? Dokąd zmierzacie?

— Czego pan chce, panie Orbejo? — odparł Robert. — Nie widzi pan, że to całkiem spokojni obywatele?

— Obywatele? Chyba pan żartuje?

— Ja ich znam. Wątpi pan może w moje słowa?

— A pan co za jeden?

Podszedł bliżej Roberta zaglądając mu w twarz.

— A, to senior Helmer — powiedział. — To zupełnie co innego, ale czego ci dwaj szukają w pobliżu klasztoru?

— Właśnie wracali z winiarni do domu, kiedy usłyszeli szcęk broni, więc z ciekawości pospieszyli zobaczyć, co się tu dzieje.

— Co za głupota. Na drugi raz niech wsadzą swe nosy pod pierzyną, a nie do cudzego ogrodu! Puśćcie ich!

Pospieszył dalej za swoimi. Nowe masy żołnierzy pchały się do środka.

— Uciekajmy! Prędko! — prosił Robert ciągnąc za sobą cesarza.

Maksymilian po paru krokach przystanął.

— Przepraszam — rzekł ze spokojem. — Widzą, że powinienem był pana słuchać. Księżna Salm opowiadała mi o panu, ale i wówczas nie mogłem uwierzyć. Pan chciał mnie uratować, ale niestety nic zdołał. Przeznaczenie było silniejsze niż pańska woła. Proszę przyjąć serdeczne podziękowania i bądź pan zdrów.

Uścisnął Robertowi rękę.

— Wasza cesarska mość, niech Bóg pana obroni lepiej, niż ja byłem w stanie — rzekł młody człowiek ze łzami w oczach.

Cesarz wraz z adiutantem zniknęli w ciemnościach. Robert stał dokąd ich kroki całkiem nie umilkły. Wtem ktoś uderzył go w kark.

— Cóż to leniu! Czego stoisz beczynnio? Dalej, do dzieła! Zwycięstwo należy do nas! Wiwat republika! Wiwat Juarez! Wiwat Eskobedo! Wiwat Velez!

W Robercie rozgorzał gniew. Podniósł w górę ręką i uderzył napastnika tak silnie, że ten padł na ziemię jak rażony gromem.

— Masz krzykaczu! — syknął. — Chciałbym w tobie całą ludzkość na ziemię powalić. A teraz precz, nic mam tu nic więcej do roboty. Nie mogę tu dłużej zostać.

Skierował się w stronę bramy. Właśnie trafił na przerwę, w czasie której przelewały się przez bramę masy żołnierzy. Zamyślony szedł powoli do swego namiotu. Naprzeciw wyszedł mały André.

— Wreszcie! — zawołał. — A gdzie cesarz?

— Tam, w środku! — odrzekł Robert pokazując na miasto.

— Nie udało się?

— Mogło się udać, ale cesarz nie chciał.

— Nie chciał? Boże, co to za szalony upór. Bardzo jestem ciekawy, co na to powie seniorka Emilia. Teraz już nie można go uratować. Ale dlaczego, panie kapitanie, nie chciał?

— Proszę mnie zostawić w spokoju, gdyż inaczej mogę się z pięściami rzucić na pana.

Runął na swoje łóżko, nie spojrzawszy nawet w stronę miasta, jakby go to nic nie obchodziło. Ukrył twarz w poduszce. Tak leżał do samego ranka i tak go zastał Sternau, który koło południa przyjechał, by dowiedzieć się, dlaczego tak misternie przygotowany plan nie doszedł do skutku, a on daremnie czekał na gości.

Cała forteca de la Cruz i miasto Queretaro wpadły w ręce Eskobedo, który nie mógł wyjść z podziwu, że tak łatwo, bez strat i bez szturmów, zdobył wreszcie ten ważny punkt strategiczny.

Cerro de las Campanos, które już przedtem znacznie ucierpiało od kul nieprzyjacielskich, obecnie ze wszystkich stron otoczone, nie zdołało się już bronić. W kilka godzin, wraz z cesarzem wpadło w ręce republikanów.

O siódmej rano Maksymilian wysłał parlamentariusza, który miał zakomunikować o poddaniu twierdzy, a o ósmej oddał swą szpadę generałowi Eskobedo.

Tak, Queretaro z całą załogą wpadło w ręce zwycięscy. Musimy tutaj wspomnieć, że dziewiętnastego czerwca padła także stolica, poddała się generałowi Porfirio Diazowi. Dowodzący obroną stolicy, generał Marquer wcześniej w tajemnicy uciekł z miasta, dwudziestego siódmego maja Juarez wkroczył w triumfalnym pochodzie do Vera Cruz.

Republika z powrotem odżyła, godność prezydenta nabrała siły i znaczenia, krótki cesarski sen przeminął jak sen zły, a cesarz... cesarz? No cóż, niedługo się okaże.

Piętnastego maja generał Eskobedo przesłał do ministra wojny, do San Luis Potosi list następującej treści:

*Obóz pod Oueretaro 15 maja 1867 rok.*

*Dziś rano, o godzinie trzeciej nasze wojska zajęły twierdzę de la Cruz, całkowicie zeskoczywszy siły nieprzyjacielskie. Niedługo potem cała załoga i miasto wpadły w nasze ręce. Niewielka liczba wrogów, w wielkim pośpiechu i nieładzie cofnęła się do Cerro de las Campanos. Siła artylerii była wielka, tak, że o ósmej poddał się cesarz Maksymilian. Proszę pogratulować prezydentowi Juarezowi tak wielkiego triumfu naszej/ narodowej sprawy.*

*General Eskobedo.*

W depeszy nie było wzmianki o zdradzie pułkownika Lopeza. Wyżsi republikańscy oficerowie, tak mówili o tym incydencie:

Takich ludzi używa się, po czym wyrzuca jednym kopnięciem.

## WYROK

Gdy tylko rozeszła się wieść o pojmaniu cesarza, wszyscy ambasadorowie obcych państw pospieszyli z petycjami o jego uwolnienie. Jednak Juarez był głuchy. Jak mógł respektować prośby tych samych państw, które tak niedawno milczały, gdy on sam został z kraju wypędzony.

Austriacki ambasador w Waszyngtonie zwrócił się z prośbą do rządu Stanów Zjednoczonych, aby te wywarły swój wpływ na Juareza i wymogły na nim wolność cesarza. Na kolejną interpelację Juarez odparł krótko i wężłowato:

— Przyznaję, że arcyksiążę cierpi za kogoś innego, kto zawinił o wiele więcej. Jednak i jego inwazja na nasz kraj była zamachem na wolność mego ludu. Mam ochraniać kogoś takiego? Prawda, że dla republiki szczytnym jest darowanie win, ale to nie może przesłaniać logiki.

Dwudziestego pierwszego maja cesarz spotkał się z generałem Eskobedo. Chciał złożyć cesarską godność i za to zażądał możliwości wolnego wyjazdu z Meksyku dla siebie, swoich niemieckich oficerów i żołnierzy, a także dla Meji, swego meksykańskiego sekretarza. Miramon w tym układzie został pominięty.

Juarez odrzucił wszystkie propozycje. Powiedział podobno, że uwięziony cesarz, bez kraju i ludu nie może abdykować. Mimo tego, uczynił coś jeszcze dla Maksymiliana. Nie postawił go przed sądem doraźnym, tylko wytoczył mu proces przed sądem wojennym, którego sam był przewodniczącym.

Chciał przez to zyskać na czasie i spodziewał się, że żadne krwi umysły ochłoną przez ten czas. Tymczasem wykorzystując swój wpływ, mógł wpłynąć na złagodzenie wyroku. Chciał, aby zamiast kary śmierci skazano cesarza na wygnanie. Z całą pewnością udałooby mu się to osiągnąć, lecz sam Maksymilian, nad którego ratunkiem biedził sobie głowę, robił wszystko, by doprowadzić do swej zguby.

Nie wiadomo dlaczego i z czyjej namowy wydał Maksymilian pisemne pełnomocnictwo, w którym zrzekał się tronu na rzecz starego, słabego Iturbida, a jako tymczasowych regentów mianował największych wrogów Juareza: Lareza Lakunzę i Marqueza.

Do tego wszystkiego z każdej strony silnie naciskano na prezydenta, by uwolnił cesarza. Rozdrażnienie republikanów rosło z każdym dniem i przybrało wreszcie takie rozmiary, że Juarez postanowił zaniechać dalszych kroków.

Sąd wojenny składający się z dziesięciu członków, rozpoczął trzynastego czerwca posiedzenie. Została wytoczona skarga o sprzysiężenie, uzurpatorstwo i zbrodnie dokonane na prawowitych obrońcach kraju. Razem z cesarzem zostali oskarżeni Miramon i Mejia. Czternastego czerwca o godzinie jedenastej w nocy, wydano wyrok, skazujący całą trójkę na karę śmierci.

Rząd potwierdził ten wyrok i wyznaczył szesnastego czerwca na dzień egzekucji, która jednak przełożono o trzy dni, aby dać skazanym czas na uporządkowanie swoich ostatnich życzeń.

Zwłokę tę wykorzystał pruski ambasador wysyłając do rządu Juareza następujący protest:

*Do jego ekscelencji  
seniora Sebastiana Lerdo de Tejada.*

*Przyjechawszy dzisiaj do Queretaro osobiście przekonałem się o prawdziwości wywodów znanych mi osobistości, jakoby skazani szesnastego, to jest w niedzielę, moralnie zostali rozstrzelani. Tego samego zdania będzie cały świat, gdyż wszystkie przygotowania do stracenia skazanych zostały wypełnione co do joty i jeszcze całą godzinę po oznaczonym czasie,*

*nieszczęśliwi musieli czekać na ostatni pochód na miejsce śmierci, zanim wreszcie nadszedł rozkaz trzydniowej zwłoki.*

*Humanitarny duch naszego stulecia nie pozwoli na to, aby cisami, którzy już raz przeżyli straszne godziny walki ze śmiercią, jutro po raz drugi zostali na nią skazani.*

*W imieniu ludzkości zaklinam Pana, abys wydał odpowiedni rozkaz i tym razem darował im życie.*

*Powtarzam raz jeszcze, że mój władca, najmiłościwszy król Prus i wszystkie koronowane głowy Europy z wielką chęcią podejmą się złożyć jego ekscelencji swoje gwarancje, że noga skazanych ani razu już nie stanie na meksykańskiej ziemi.*

Za późno! Odpowiedź ministra była następująca:

*Bardzo mi przykro, że powtórnie muszę pana zawiadomić, iż prezydent Juarez nie podziela pańskiego zdania i nie uważa, że uwolnienie Maksymiliana Habsburga będzie korzystne dla spokoju naszej młodej republiki.*

Maksymilian ostatniego wieczora kazał sobie przynieść papier, pióro, atrament i napisał dwa listy. Pierwszy do swej małżonki, drugi do matki, arcyksiężniczki Zofii.

*Moja ukochana Charlotta!*

*Jeżeli Bóg pozwoli, że kiedyś wyzdrowiejesz i weźmiesz tę kartkę do ręki, poznasz całe okrucieństwo losu, jakie mnie prześladowa od twego wyjazdu do Europy. Moje szczęście i moją duszę zabrałaś ze sobą. Dlaczego nie posłuchałem Twego głosu! Tyle wydarzeń, tyle nagłych ciosów rozdarło moje nadzieję, że śmierć nie wydaje mi się straszna, o nie... będzie szczęśliwym zakończeniem.*

*Padną pełen chwały jako żołnierz, jako król, ze czcią, mimo wielkich cierpień. Jeżeli jednak Bóg niedługo mnie z tobą połączy, będę chwalił jego ojcowską rękę, która nas tak ciężko dotknęła.*

*Żegnaj. Twój biedny Maksymilian.*

Do tego listu włożył pukiel włosów, które żona dozorczy więzienia odcięła mu.

Zupełnie inaczej zachowywali się pozostali dwaj więźniowie. Wierny Mejia był zadowolony z wyroku śmierci. Był Indianinem nie znającym narzekania i strachu. Poczytywał sobie za największy zaszczyt umrzeć za przyjaciela, któremu służył całą duszą.

\* \* \*

Jeżeli zaś chodzi o Miramona, to owej pamiętnej nocy, w której odbył się atak na miasteczko obudził się przerażony, natychmiast posyłając po pułkownika Lopeza. Ten rzeczywiście stawiał się i to bardzo szybko.

— Co się dzieje? Co to za hałas? — spytał go Miramon.

Lopez wzruszył lekko ramionami odpowiadając:

— Republikanie są w mieście.

— Do stu diabłów! Zdobyli miasto szturmem?

— Nie.

— To jak dostali się do środka?

— Tego nie wiem.

— Kto ich prowadzi?

— Velez.

— Myślałem, że on tu wejdzie dopiero za trzy dni.

— Widocznie nie dotrzymał słowa, które panu dał.

Ton w jakim to powiedział zdziwił generała. Przeczul co mogło się stać, gdyż powiedział:

— Ale za to dotrzymał słowa, które dał panu.

— To musi pan udowodnić.

— Zdrajca! — syknął Miramon.

— Tak? A kim pan jest? Mam wyjaśnić, że to pan mnie wysłał do rokowań z generałem Velezem. Złapał się pan w swoje własne sidła i zgotował sobie los, jaki przeznaczyłeś cesarzowi.

Po tych słowach wyszedł.

Miramon uzbroił się, ale zrozumiał, że wszelki opór jest daremny, razem z Mejią i cesarzem został złapany. Od tego czasu siedział w więzieniu snując najczarniejsze plany.

Od samego początku był wrogiem Juareza i chciał przy pomocy wszelkich sposobów pozbyć się tego człowieka; czuł jednak, że sam nie da rady. W Meksyku bardzo trudno było mu znaleźć przyjaciół, dlatego wpadł na pomysł, by ten plan wykonać przy pomocy kogoś obcego, kogo panowanie w tym kraju także stało pod znakiem zapytania. Był jednym z pierwszych, którzy podali cesarską koronę austriackiemu arcyksięciu. Naturalnie arcyksiężą był tylko środkiem do celu, więc posługiwał się nim tak samo jak Napoleon.

Zaraz po przybyciu Maksymiliana do Meksyku, Miramon uchodził za jednego z jego z najgorętszych zwolenników, skrycie jednak snuł swoje dalsze, prywatne plany. W czasie niepokoїв i niesnasek łowił w mętnej wodzie, jednak jego wszystkie dotychczasowe usiłowania rozбивały się o niepokonaną siłę i wytrwałość Juareza. W końcu runął ten ogromny gmach pomysłów i tajnych knozań. Ostatnia zdrada cesarza złapała go w sidła, jakie sam na niego zastawił.

Zrozumiał, że wszystko stracone. Żył tylko jeden jedyny promień nadziei, liczył na to, że Maksymiliana ułaskawią. Gdyby to zrobili, musieliby również darować życie jego generałom. Zapewne wydaliliby ich z kraju, a przecież poza granicami Meksyku nadal mógłby knuć swoje wrogie zamiary.

Ci co rozważali pomysł ułaskawienia cesarza, także brali to pod uwagę. Wiedzieli, że Maksymilian byłby wiecznym pretendentem do korony, a na przykład Miramon i inni generałowie stanowiliby zarzewie wiecznych spisków.

O tym także musieli myśleć ci, którzy z okrzykiem zgrozy przyjęli wieść o skazaniu cesarza.

Obecnie Miramon siedział w więzieniu, pozbawiony ostatniej nadziei. Nie czuł żalu, przeciwnie tylko nienawiść i chęć zemsty zawładnęła nim. Chciał się zemścić na Lopezie. Dlatego wezwał do siebie jednego z sędziów śledczych, by wyjawić mu zdradę pułkownika.

— W jakim celu opowiada mi pan, tę paskudną historię? — spytał go sędzia na końcu.

— Spodziewam się, że doniesie pan o tym cesarzowi — odpowiedział Miramon.

— Ciekawy jestem w jakim celu? Cesarzowi zostało już tylko kilka godzin życia.

— Po to, aby przynajmniej w ostatniej chwili dowiedział się, komu zawdzięcza swój los.

— On już o tym wie.

— To znaczy, że słyszał już o zdradzie Lopeza?

Sędzia nic odpowiedział od razu, zwrócił badawczy wzrok na Miramona, po czym powiedział z wolna:

— Wie o tym, że nasze wojsko nie zdobyło twierdzy de la Cruz szturmem...

— Tylko na skutek zdrady jednego z naszych, który wpuścił wasze wojska do środka — dodał prędko generał.

— Tak, tylko że zarówno cesarz, jak i my doskonale wiemy, że Lopez był tylko narzędziem jednego z cesarskich generałów.

Miramon udawał, że nie wie o co chodzi i zdziwionym głosem zawołał:

— Na ten temat nic mi nie wiadomo, to wydaje mi się nawet nieprawdopodobne. W każdym razie zostało to wymyślone przez Lopeza, który chciał w ten sposób ukryć własną zbrodnię.

— Myli się pan! Lopezowi nie wpadło nawet do głowy mówić o tym, przecież sam by się nie zdradził, nie miał więc potrzeby ukrywać swej zbrodni, jak się pan wyraził.

— No cóż, w takim razie chciałbym poznać imię tego generała, na rozkaz którego działał Lopez.

— Pan zna go lepiej, niż ktokolwiek inny.

— Ja? — spytał Miramon z dobrze udanym zdziwieniem.

— Tak pan, bo o panu właśnie mówimy.

Miramon krzyknął z oburzeniem:

— Ja? Co panu przychodzi do głowy.

Sędzia machnął ręką.

— Lepiej to przemilczmy.

— O nie, senior, nie będziemy milczeć. Nie mogę zostawić na sobie tak podłego podejrzenia.

— Pomimo tego, nikt go z pana nie zdejmie. Dokładnie znamy całą rozmowę, jaką pan przeprowadził z pułkownikiem Lopezem.

— Co za rozmową? Ja nigdy nie rozmawiałem z nim o czymś, co mogłoby dotyczyć zdrady. Zresztą przypuśćmy, że gdyby nawet było inaczej, kto mógłby to zdradzić?

— Ten, który był obecnym przy tym.

— Czyli sam Lopez.

— O nie, on nie jest taki głupi, aby coś podobnego mówić.

— To kto taki?

— Powiem panu, jakkolwiek nic uważam tego za konieczne. Generał, który wszedł z panem w tajemne rokowania, jest bardzo ostrożnym i przebiegłym człowiekiem...

— Co za generała ma pan na myśli?

— Nazwisko jest tutaj zbyt cenne. Zresztą jest panu tak samo dobrze znane, jak i mnie. Ten oficer doskonale wiedział, z jakimi niebezpieczeństwami wiąże się podobne układy. Musiał się przekonać, czy pan postępuje rzetelnie. Rzeczywiście udało mu się pozyskać jednego człowieka, który znajdował się w pańskim bezpośrednim otoczeniu.

— Do stu diabłów! Kogo? — spytał rozłoszczony Miramon.

— Powtarzam, że nie należy wymieniać nazwisk.

— W takim razie ogłaszam, że cała ta intryga, to jedno wierutne kłamstwo.

— Takie ogłoszenia są zbyt cenne. Ten człowiek, o którym mówimy obserwował pana w dzień i w nocy, słyszał każde wypowiedziane przez pana słowo.

— To kłamstwo.

— Nie wypieraj się pan — powiedział sędzia surowym głosem.

— Senior! — wrzasnął Miramon.

— No cóż! — odezwał się pogardliwym głosem — Pańskie wrzaski nie mają tu najmniejszego znaczenia. Przy ostatnich krokach Maksymiliana będę mu współczuł, wiernego Meję będę podziwiał, a panem pogar... ach, proszę mi zaoszczędzić tego słowa, pan może je sobie sam dopowiedzieć.

Obrócił się i wyszedł z więzienia. Miramon pozostał sam w swym okropnym położeniu. O jakimkolwiek żalu u tego człowieka nie było mowy, nawet spowiednik nie był w stanie go do tego skłonić.

Trzydziestego maja amerykański biuletyn donosił:

*Prawdopodobnie jutro cesarz Maksymilian i jego najbliżsi generałowie zostaną rozstrzelani.*

Można było po tym poznać, że w innych krajach nie miano już złudzeń co do losu więźniów. Każde państwo, każdego człowieka, który podstępem lub przemocą narusza jego suwerenność, ma prawo nazywać zdrajcą i karać śmiercią.

Spoglądając na to z tego punktu widzenia, słusznie przepowiadano, że Maksymiliana spotka śmierć.

Dziewiętnastego czerwca na wschodzie miasta, tuż przy Cerro de las Campanos miała się odbyć egzekucja.

Od samego rana, w mieście panował niezwykle ruch. Meksykanie są przyzwyczajeni do wczesnego wstawania, nic więc dziwnego, że już o szóstej rano, uliczki, którymi miał przechodzić orszak zastawione były tłumami ciekawskich.

Obywatele, żołnierze, *vaquero* na koniach i pieszo, Indianie, biali Murzyni, mulaci, Chińczycy, słowem ludzie wszystkich ras i narodów stali gęstym szeregiem na ulicach.

Nie była to tylko dzika ciekawość, z oczu tej ogromnej ludzkiej masy, można było wyczytać współczucie, politowanie, od którego nawet barbarzyńca nie może się powstrzymać na widok nieszczęścia.

Nie rozmawiano głośno, wszyscy sprawiali wrażenie, że zgromadzili się raczej na nabożeństwo żałobne kogoś znajomego.

O siódmej wyprowadzono więźniów z cel. Każdy miał przygotowany wóz otoczony silną eskortą i ciężki krzyż z drewna, który miał im służyć jako oparcie na miejscu stracenia.

Na rynku wszystkie trzy powozy spotkały się i wolno pojechały na wyznaczone miejsce.

Pochód otwierał szwadron lansjerów, za nimi szła orkiestra grająca utwory żałobne. Szpaler tworzył jeden batalion piechoty złożony z ośmiuset żołnierzy z karabinami na ramionach.

Kiedy orszak zbliżał się do bramy szpitalnej, Mejia spojrzał wyzywająco na tłum i zawołał donośnym głosem:

— Jego cesarska mość, proszę po raz ostatni dać nam przykład szlachetnej odwagi. My za naszym panem idziemy do końca, aż do grobu.

Właśnie nadszedł pochód mnichów ze świecami, z krzyżem i święconą wodą. Tuż za skazanymi Indianie nieśli trzy trumny, za i szli inni z krzyżami i ławkami.

W oczach Maksymiliana można było wyczytać jakąś bezgraniczną tęsknotę i dziwne marzenie. Nikt z tłumu, kto spojrzał w jego oczy, nic był w stanie zapomnieć tego widoku.

Gdy tylko powóz, w którym jechał, opuścił rynek, cesarz skierował swe oczy na wschód, gdzie leżała jego ojczyzna i wszystko co opuścił, by pójść za zwodniczymi marzeniami. Tam także, daleko za morzem leżał zamek Miramare, w którym spacerowała odchodząca od zmysłów i nie widząca wokół siebie nikogo cesarzowa.

Dziwnie smutny uśmiech błąkał się na wargach cesarza. Jedną ręką wsparł się o bok wozu, podczas, gdy drugą gładził swą bujną brodę.

Orszak wydostawszy się na miejsce stracenia przystanął. Tłum został odsunięty do tyłu, tylko żołnierze otoczyli plac, zostawiając jedną stronę otwartą.

Eskobedo, który sam dowodził egzekucją zbliżył się ze swoim sztabem do powozów i rozkazał skazańcom wsiąść.

— *Vamos nos u la libertad!* Umieramy za wolność! — odezwał się Maksymilian, kierując ostatni raz swój wzrok na wschodzące słońce.

Następnie wyjął swój zegarek i nacisnął sprężynę, wieczko odskoczyło, w środku ukazał się miniaturowy portret cesarzowej Charlotty. Ucałował fotografię, po czym oddał zegarek swemu spowiednikowi z następującą prośbą:

— Proszę oddać tę pamiątkę mojej ukochanej małżonce, gdy wróci pan do Europy. Jeżeli zrozumie kiedyś znaczenie tego zdarzenia, proszę jej powiedzieć, że zamykam oczy mając w nich jej obraz i biorę go ze sobą na tamten świat.

Z wolna zaczęły bić dzwony i swe jęczące tony roznosić po okolicy.



Skazańców ustawiono obok grubych murów cmentarza. Maksymilian pewnym, wolnym krokiem szedł na wyznaczone miejsce z podniesioną głową.

Mejja postępował zgodnie z jego przykładem, tylko Miramon; szedł niepewnym krokiem rzucając niespokojne spojrzenia na lewo i prawo, jakby oczekując nadejścia pomocy.

Odczytano wyrok śmierci i jego uzasadnienie, po czym pozwolono skazanym zabrać głos. Miramon wyjąkał kilka słów, Mejja dumnie ruszył ręką wskazując tym samym, że rezygnuje z takiej łaski. Tylko cesarz skorzystał z tego, chcąc po raz ostatni przemówić do swych poddanych.

Na temat tej ostatniej mowy napisano tomy. Mówiono nawet, że przemawiał cały kwadrans, to wszystko nie jest prawdą. Według wiarygodnych źródeł zrobił krok do przodu i głośnym, silnym głosem powiedział:

*Umieram za rzecz sprawiedliwą, w obronie wolności i niepodległości Meksyku! Niech moja krew zmaże nieszczęścia mej nowej ojczyzny! Niech żyje Meksyki*

Słowa te nie znalazły odgłosu w tłumach. Podzielono żołnierzy na trzy części i do każdej z nich przydzielono po dwóch oficerów, tak przygotowane oddziały zbliżyły się do skazańców.

— Rozdzielcie to po mojej śmierci między tych żołnierzy i każcie im, by dobrze celowali; tu w samą pierś, w sarno serce! Celujcie dobrze!

Wachmistrz cofnął się. Naładowane karabiny uniosły się do strzału. Miramon padł na kolana i pozostał skulony, dopiero Franciszkanie założyli mu ręce na krzyż zamontowany z tyłu. Cesarz uściskał Mejję. Ten serdecznie ucałował cesarza mówiąc do niego parę słów, których jednak nikt nie usłyszał, po czym skrzyżował ręce na piersi i stanął wyprostowany oczekując odważnie śmiercionośnych kul.

Biskup podszedł do cesarza i powiedział:

— Wasza cesarska mość, proszę w mojej osobie pożegnać cały kraj i naród, i proszę nam przebaczyć.

Na twarzy Maksymiliana pojawiło się wzruszenie. Wiedział czego domaga się biskup. Po krótkiej walce z samym sobą odrzekł głośno:

— Proszę powiedzieć Lopezowi, że i jemu przebaczam.

Wiele osób z otoczenia miało łzy w oczach, nikt nie mógł powstrzymać się od wzruszenia. Ale nikt nie mógł się nawet domyślić co działo się pod zimną maską generała Eskobedo. Maksymilian ^wrócił się do niego i zawołał:

*A la disposition de usted!* Jestem na pańskie rozkazy!

Po tych słowach oparł się o krzyż. Wachmistrz spojrział na generała, ten skinął głową rozkazująco.

— *Adelante!* Naprzód!

Strzelcy wysuneli się naprzód. Wyciągnięta szpada opadła, lufy karabinów skierowały się w piersi ofiar, powtórny ruch szpadą... huknęły strzały, zatrąbiono w rogi i odgłos bębnow zagłuszył wszystko.

Cesarz trafiony w pierś padł na ziemię, natychmiast go podniesiono i położono do trumny.

Miramon potoczył się na piasek, także celnie trafiony, tylko Mejja stał wywijając w powietrzu rękami, źle został trafiony. Jeden z podoficerów przystąpił do niego i wymierzywszy z rewolweru w skroń, zabił go na miejscu.

— *Libertad y independencia!* Wolność i niezawisłość! — zabrzmiało z tysiąca ust nad trzema trumnami.

To była mowa pogrzebowa jaką meksykański naród wypowiedział nad zwłokami swego cesarza i generałów.

Trzydziestego czerwca cesarz austriacki, który wówczas przebywał w Monachium otrzymał wieść o straceniu Maksymiliana.

W *Neus Wiener Fremdeblatt* ukazał się następujący artykuł:

*Cesarz Maksymilian nie żyje. Ze śmiałego pochodzenia tego utalentowanego arcyksięcia, wysnuł się ów dramat, tak przejmujący, jakiego jeszcze żadna fantazja poety nie zdołała wymyślić. Cesarz, który wyruszył, aby nieść światło i cywilizację w dalekie kraje, leży rozstrzelany przez swoich wrogów na meksykańskiej ziemi, podczas, gdy chora cesarzowa błąka się po komnatach zamku Miramar. Doprawdy, historia wypisała na swych kartach dziwną zagadkę dla przyszłych pokoleń!*

*Tak umarł Maksymilian austriacki. Wart był tego by zginąć w obronie lepszej sprawy, dowiódł tego swoim postępowaniem w ostatnich dniach życia.*

\* \* \*

Juarez został jedynym władcą Meksyku. Robert nie był obecny przy straceniu cesarza. Nie mógł znieść widoku śmierci męża stanu,

którego tak gorąco pragnął uratować. Podczas egzekucji siedział z małym André w swoim namiocie i słyszał bicie dzwonów, huk wystrzałów także doszedł do jego uszu.

— Teraz! Teraz zginęli! — zawołał André.

— On umarł już wtedy, gdy odrzucił moją propozycję ratunku — odparł Robert.

— Czy potem nie mogliśmy go uratować? Może należało wykraść go z więzienia?

— Zanim go uwięziono mogłem go uratować nie popełniając zbrodni.

— Potem byłoby to zbrodnią?

— Naturalnie, nawet bardzo ciężką i karaną przez prawo. Byłoby to istne bezprawie.

— W takim razie i jego oswobodzenie z oblężonego miasta byłoby bezprawiem.

— Nie, wtedy znajdował się jeszcze wśród swoich. Gdy tylko wpadł w ręce republikanów musiałem zaprzestać dalszego działania.

— W sumie ma pan słuszość. Sam chciał tego, więc nie stała mu się krzywda.

— Przynajmniej nie potrzebujemy sobie robić wyrzutów. Chciałem tylko usłyszeć te fatalne strzały, aby być świadkiem owego dziejowego dramatu, teraz jednak nie mamy tu nic więcej do roboty. Czym prędzej wyjeżdżam z Queretaro.

— Bez pożegnania, bez urlopu?

— Nie jestem związany z Eskobedo.

— Dokąd pan pojedzie?

— Do Juareza.

— A mogę się do pana przyłączyć?

— Naturalnie — odparł Robert.

— To znakomicie, zobaczę senioritę Emilię! A pan doktor Sternau także pojedzie z nami?

— Mam taką nadzieję, niech pan pojedzie zaraz, by go o tym poinformować.

Następnego ranka cała trójka jechała w towarzystwie obu indiańskich wodzów w kierunku San Luis Potosi. Przejeżdżając przez Guanajuato mały André wstrzymał swego konia.

— Moi panowie! — zawołał. — Poznajecie tego konia? Wyciągniętą ręką wskazał na osiodłanego konia stojącego przez przydrożną *ventą*.

— To koń Czarnego Gerarda — powiedział Sternau. — Zapewne siedzi w środku, chodźmy tam.

Nie potrzebowali wchodzić do środka, gdyż Gerard, który siedział przy oknie zobaczył ich i zaraz wybiegł z gospody.

Był w Santa Jaga i właśnie chciał ich odwiedzić, aby przekazać pomyślne informacje, naturalnie zaraz się do nich przyłączył.

W Potosi zostawili konie w gospodzie, po czym Sternau z Robertem udali się wprost do prezydenta. Ten przyjął ich bez chwili zwłoki.

— Przynoszą panowie smutne nowiny? — spytał zaraz po powitaniu.

— Tak — odrzekł Robert. — To odgłos strzałów, pod którymi padł Maksymilian.

— Był pan przy egzekucji?

— Nie, nie mogłem na to patrzeć.

— Właśnie przybył kurier Eskobeda. Maksymilian zginął bardzo dzielnie. Był wprawdzie moim politycznym wrogiem, ale považałem go.

Zdawało się, że tymi słowami chciał się usprawiedliwić, dlatego Sternau szybko powiedział:

— My senior wiemy o tym bardzo dobrze.

— Czyli, że zrozumieliście mnie panowie — uśmiechnął się lekko Juarez.

— Tak senior, przecież sam podejmowałeś trud, nieprawdaż? — spytał Sternau.

— Robiłem co mogłem, niestety bez rezultatu, kapitanowi Helmerowi, także się nie udało.

— Niestety — dodał Robert.

— Uważał pan za możliwe, panie kapitanie arcyksięcia... pan rozumie?

— To było bardzo łatwe.

Juarez pokiwał głową, podszedł do okna i zamyślony spojrział w dal. Nagle obrócił się i rzekł:

— No cóż, sam nie chciałem. Już nie żyje, więc nic sądźmy go. Panom dziękuję, że mnie zrozumieliście i według mych zamiarów postępowali. Wszyscy i tak fałszywie mnie osądzą, panowie jednak znacie mnie lepiej, jakkolwiek także będziecie musieli milczeć. Żaden republikanin nie może się dowiedzieć, jakie miałem zamiary. Jeżeli jednak kiedyś złożę moją prezydencką godność lub umrę, to proszę o tym pamiętać i powiedzieć światu, że ja na prawdę chciałem ratować mego przeciwnika. Potraktujcie to jako testament, który składam w wasze ręce. Meksyk był widownią strasznej tragedii, jednak nie ja byłem jej winien.

Wypowiedział to z dziwnym wzruszeniem, a po krótkiej przerwie dodał:

— Czy słusznie się domyślam, że panowie wkrótce opuszczą Meksyk?

— Raczej tak — odparł Sternau. — Jednak jakiś czas musimy tu jeszcze pozostać i jeżeli to możliwe skorzystać z pańskiej opieki.

— Bardzo mnie to cieszy. Może być pan pewien, że uczynią dla panów wszystko co w mojej mocy. Musimy, zanim panowie stąd wyjadą, dokończyć sprawę Rodrigandów, przynajmniej na tyle, na ile będzie ona interesowała sądy Meksyku.

— Do jakiego sędziego mamy się w tej sprawie zwrócić?

— Do mnie. Postaram się, aby dotarło to w sprawiedliwe ręce. Więźniowie przebywają w klasztorze della Barbara?

— Tak, są bardzo dobrze pilnowani.

— Proszę ich tutaj sprowadzić, o ile to możliwe Marię Hermoyes, starego Pedro Arbelleza, jego córkę i Karię także.

— Tutaj, do Potosi?

— Nie. Niedługo wyruszam do stolicy, więc tam proszę ich przywieść.

— Rozumiem, że pańskiej jurysdykcji podlegają tylko ci, którzy tutaj się urodzili lub mają meksykańskie obywatelstwo.

— Oczywiście, wprawdzie mogę zaskarżyć wszystkich, ale skazać mogę tylko Pabla Kortejo i jego córkę.

— A co się stanie z innymi.

— Innych zabierze panowie do Hiszpanii, tamtejsze władze podejmą odpowiednie postępowanie.

— To do kogo mamy się tam zwrócić?

— Do najwyższego trybunału w Barcelonie.

— Dziękuję, a czy tutejsze postępowanie będzie prowadzone otwarcie?

— Naturalnie.

— Ja bym tego nie radził.

— Dlaczego?

— Bo informacje szybko się rozniosą i mogą dotrzeć do Hiszpanii, więc winni będą mieli dość czasu, by się ukryć przed odpowiedzialnością.

— Racja. Będziemy działać ostrożnie i o ile możliwości śledztwo prowadzić w tajemnicy. Aby ewentualnie zapobiec temu o czym pan mówił, przed podaniem bliższych dat, zwrócę się do władz Hiszpanii, aby hrabiego Alfonso otoczyli ścisłym i nieustannym dozorem policyjnym. Czy to wystarczy?

— Najzupełniej, senior.

— Co się zaś tyczy transportu uwięzionych z klasztoru della Barbara do stolicy, to proszę sobie wybrać odpowiednio liczny oddział wojska. Kiedy panowie chcecie odjechać?

— Jutro rano. Chcemy by konie wypoczęły.

— Dobrze, natychmiast wydam odpowiednie rozkazy.

Na tym skończyła się audiencja. Sternau omówił z towarzyszami, który z nich ma się udać do hacjendy po jej mieszkańców.

Ponieważ znajdowała się tam Emma, Resedilla i Karia, wybór padł na Piorunowego Grota, Czarnego Gerarda i Niedźwiedzie Serce; wyruszyli wczesnym rankiem następnego dnia.

Jednak przedtem serce jednego z przyjaciół zostało uszczęśliwione, nigdy by się nie spodziewał takiej radości.

Zaraz po skończonej naradzie André udał się do Emilii, która teraz mieszkała w Potosi. Zapadł już wieczór, Emilia siedział w swoim wspaniale urządzonej salonie, oświetlonym wiszącą lampą. W nagrodę za jej niezliczone usługi Juarez podarował jej niezły kapitał, dlatego mogła sobie pozwolić na tak wspaniałe mieszkanie.

André, gdy wszedł zastał piękną kobietę leżącą na otomanie. Wprawdzie nie była kwiatkiem pierwszej młodości, ale należała widocznie do tego rodzaju kobiet, które z wiekiem zyskują na atrakcyjności.

Gdy go tylko zobaczyła, szybko wstała z poduszek.

— Ach, *monsieur* André! — zawołała. — Pan znowu tutaj? To mnie naprawdę bardzo cieszy.

Mały myśliwy stał z rozjaśnionym obliczem, trochę zażenowany i patrzył na nią pełen podziwu, wreszcie zapytał:

— Cieszyć się naprawdę, że taki stary strzelec bizonów przychodzi do was, seniorka?

— Naturalnie, naturalnie! Nie widzicie, że podaję wam obie ręce?

— Do diabła, naprawdę! Ale... hm! Uścisnął jej ręce i powiedział:

— Te małe, piękne rączki i moje chropowate, spalone słońcem i wiatrem łapy, czy to może być?

Chwyciła go za ręce i potrząsnawszy nimi silnie odparła:

— Boicie się wziąć mnie za ręce, a przecież wiecie, co by się stało z nimi bez waszej pomocy!

— Co, seniorita?

— Byłyby martwe i zimne.

— Do stu piorunów, to byłaby nieodżałowana szkoda, ale, hm... gdzie, dlaczego?

— W Tula, gdzie miano mnie powiesić, albo rozstrzelać, gdybyście mnie nie uratowali.

— Ja? — spytał zdziwiony.

— Tak, wy, a kto? — odparła.

— Głupstwo! Was przecież uratował ten dzielny kapitan Helmer, a nie ja.

— Obaj zajęliście się mną rzetelnie, w równej mierze. Chodźcie, siadźcie wreszcie tutaj. Chciała go pociągnąć na sofę, ale on odskoczył.

— Nie — powiedział. — To miejsce wyścielone jest atłasem.

— I co z tego? Co to szkodzi?  
— Szkodzi, wiele szkodzi! Moje spodnie i jedwab. Mały André i taka kanapa, to zgadzałyby się jak jaszczurka z ryżem na mleku!  
Pociągnęła go silniej i usadowiła na miękkiej poduszce.  
— Boże ratuj! Zapadam się! — wołał. — Jak Boga Kocham! Wpadłem co najmniej pół metra; takich poduszek nie znajdzie się nawet w najlepszym lesie.  
— Naprawdę? A wiecie do czego takie poduszki najlepiej służą?  
— Do czego?  
— Do poufnej pogawędki.  
— Ale w lesie, na miękkim mchu także dobrze się gawędzi.  
— Dajcie spokój z tym waszym lasem. Teraz jesteśmy razem, więc mówmy o sobie, a nie o lesie, waszych niedźwiedziach czy bizonach.  
— Dobrze — odparł odsuwając się w kąt, gdzie równie silnie począł się kołysać. — Jeśli mamy mówić o sobie to zaczynajcie.  
— A dlaczego wy nie zaczynacie?  
— Ja? Do stu piorunów, o czym ja miałbym mówić?  
— O mnie! — rzekła śmiejąc się.  
Ze strachem zaczął spoglądać na nią, spostrzegła to, więc spytała:  
— Boicie się mnie, albo ten temat nie jest wam miły. Skinął z wolną głową, mówiąc:  
— Hm, co do obawy, to trochę zgadujecie.  
— A to dlaczego?  
— Zaraz wam to wyjaśnię. Powiedzcie mi, gdyby na przykład zjawił się tu diabeł, czy...  
— Pfuj! Skąd taka myśl? Czy ja jestem może do niego podobna?  
— Nie, wcale nie, ale nie zleklibyście się go?  
— Trochę.  
— A jakby anioł nagle tu stanął, to co?  
— Trochę bym się pewnie zlekła.  
— No widzicie, seniora, człowiek lęka się przede wszystkim tego co złe i szpetne, ale także i tego i co bardzo dobre i wspaniałe. My akurat stoimy pośrodku, dlatego nie możemy się tak łatwo oswoić z tym problemem.  
— Bardzo pięknie pan to wyjaśnił, senior André, ale co chcecie przez to powiedzieć?  
— Nic, tylko to, że ja się lękam, bo wy jesteście, seniorita aniołem.  
Przybierając figlarną i i zdziwioną minę, zawołała:  
— Tak? To pan nawet umie prawić komplementy?  
— Ja? Komplementy? — zawołał przerażony. — Czy to był komplement?  
— Naturalnie.  
— Do stu diabłów! W takim razie proszę o przebaczenie! Nie bierzcie mi tego za złe! Ja nie miałem na myśli nic złego.  
— Przekonam się o tym, ale czy myślicie, że wam nie wolno prawić mi komplementów?  
— Jak bym śmiał?  
— A dlaczego nie?  
Przysunęła się do niego nieco bliżej. Przestraszony znowu odskoczył do kąta.  
— Ja Andrzej Stentenberger! A wy, anioł, piękna seniorita Emilia. To tak się ma do siebie jak smarowidło na buty do rannej zorzy.  
Zaśmiała się serdecznie i spytała:  
— Kim właściwie był wasz ojciec?  
— Chudopachołkiem w okolicach Moguncji.  
— A mój ojciec był chudopachołkiem w Paryżu. Czy nadal istnieje wasza przyczyna strachu.  
— Ze względu na ojca nie, ale ze względu na jego córkę!

— Bardzo się mylicie. Ja jestem dziewczyną i sprzymierzeńcem Juareza, a wy jesteście dzielnym myśliwym, który w swym życiu dokonał setek wspaniałych czynów.

— Ja? jakich czynów? ja nic takiego nie zrobiłem.

— Czy już senior zapomniał, jak w Chihuahua poświęcił się dla swych przyjaciół?

— Hm! Tak, niby...

Mówiąc to, myślał o pocałunkach jakie w nagrodę otrzymał od pięknej dziewczyny.

— Potem uratowaliście mi życie!

— To bagatela.

— Co? Moje życie uważacie za bagatelę? Poderwał się przerażony.

— Do stu diabłów! Ja nie to chciałem powiedzieć — zawołał. — Tego, który wasze życie uważałby za bagatelę solidnie walnąłbym w łeb, tak żeby mu dusza uciekła do palców.

— Widzicie, senior, a ono przecież wisiało tylko na cienkiej nitce. Sami mnie uratowaliście. Moim pragnieniem byłoby, abym zawsze miała takiego obrońcę przy sobie.

Jego poczciwe oczy aż pojaśniały z radości.

— Naprawdę, życzy pani sobie tego, seniorita?

— Oczywiście, jak najbardziej — odpowiedziała. — Takiego obrońcę jak wy, albo najbardziej was samych.

— To akurat możecie uzyskać bardzo łatwo.

— W jaki sposób? — spytała ciekawa odpowiedzi.

— No... hm — zakaszłał zakłopotany. — Może potrzebujecie... hm! Jakiegoś służącego?

— Służącego? Dlaczego?

— Bo w takim razie spytałbym, czy mógłbym zostać waszym służącym.

— Wy służącym? Co to, to nie. Takiego służącego nie potrzebują.

— Do diabła! — powiedział zasmucony André. — A ja tak wiernie bym wam służył i tak dobrze obsługiwał, jak nikt inny.

— W to wierzę, bo jesteście poczciwym, zacnym człowiekiem, ale jako służącym musielibyście być moim podwładnym.

— Ja właśnie tego chcę.

— Ale ja nie; považam was i cenię tak wysoko, że nigdy nie byłaby w stanie stać wyżej niż wy.

— No to postawcie mnie przy sobie w równej roli.

— Jako kogo?

— Hm, to rzeczywiście trudna historia, mój pomysłuśnek odmawia mi posłuszeństwa. Nie potrzebujecie przypadkiem towarzysza podróży?

— Możliwe, aleja bardzo rzadko podróżuję.

— No to przyjmijcie mnie jako dozorcę domu.

— Nie mam własnego domu.

— To ja go zbuduję, mam trochę pieniędzy.

— Tak, tak! — zaśmiała się. — Tego akurat nie potrzebują, bo ja także nic jestem bez grosza.

Z figlarną miną przymrużyła oczy.

— Nawet mnie to cieszy, czyli, że z dozorczy nic nie będzie. Może w takim wypadku zrobi mnie seniorita swym zarządcą lub plenipotentem?

— Nie mam ani gruntów, ani sklepów.

— To nic nie szkodzi. Wybudujecie gorzelnię, będą ją prowadził, ja w Moguncji byłem przecież gorzelnikiem.

— Gdybym miała ochotę na budowanie, to już wolałabym postawić dom, a nie gorzelnię.

— Wspaniale, to ja wtedy byłbym jego dozorcą.

— To raczej podrzędna rola, znowu byście byli moim podwładnym.

— To prawda, ale rola posiadacza domu nie jest znowu taka podrzędna.

- Oczywiście, że nie, a dlaczego tak uparcie wzbraniacie się ją przyjąć?
- Ja się nie wzbraniam, tylko w takim razie ja musiałbym go wybudować, a nie wy.
- A jakbym ja go wybudowała?
- To wy, seniorita bylibyście jego właścicielką.
- A czy wtedy byłaby możliwość, abyście zostali współwłaścicielem?
- Dlaczego nie, ale w takim razie musiałbym się z wami...
- No, dlaczego nie dokończycie? Skończcie to zdanie. Poskrobał się po głowie z wielkim zażenowaniem, wreszcie powiedział:
- Proszę wybaczyć, ale to strasznie śmiałe wyrażenie.
- Które?
- No to, co do... żeniaczki.

Wreszcie wykrztusił z siebie to słowo. Odetchnął głęboko i schylając głowę zamknął oczy, aby nie potrzebował widzieć jak ją rozżłościł.

Ale zamiast gniewu usłyszał jakieś przyciszone, miękkie słowa:

— Senior, a co wam przeszkadza, stać się w ten sposób współwłaścicielem. Nie chcielibyście się ożenić?

Otworzył przerażone oczy i spytał:

- Ja? Z kim na Boga?
- A z kimże innym, jak nie ze mną?
- Z wami?

Przeraził się tak, że aż chciał wstać, zatrzymała go jednak i spytała:

- Myślisz, senior, że byłabym złą gospodynią?
- O nie, nie, wcale nie — odpowiedział. — Ale to nie uchodzi, to wręcz niemożliwe.
- Dlaczego nie?
- Bo, bo... — zakrył zarumienioną twarz rękami.

— Bo się nic odważycie? To pan chciał powiedzieć? — spytała słodkim głosem. — Tak trudno jest wam wyznać miłość?

- O bardzo trudno. Raczej wolałbym się porwać na niedźwiedzia ze szpilką.
- Nie robiliście wyznania jeszcze żadnej dziewczynie?
- Nie... hm, tak, nie, bo to dawne nie było szczere.

— Ach prawda, przypominam sobie. Kiedyś, w swojej ojczyźnie kochaliście już jakąś dziewczynę.

- To znaczy lubiłem ją, kochałem to za mocne słowo.
- I od tego czasu żadnej innej nie pokochaliście?

Na nowo przymknął oczy, ale twarz rozjaśniła się mu jakąś rzewną słodyczą. Półgłosem odrzekł:

— Przeciwnie seniorita, pokochałem tę jedną, jedyną. Myślałem o niej w dzień i w nocy, śniłem nawet o niej. Chciałbym jej ofiarować każdą kroplę swojej krwi, wyrzekłbym się szczęścia, byle tylko ją widzieć wesołą, uśmiechniętą, wszelkie katusze znosiłbym z uśmiechem, gdybym tylko widział jej anielskie oblicze.

Oczy Emilii zaszyły łzami. Jej piękna twarz przybrała wyraz powagi, tylko głos jej nieco drżał, kiedy go spytała:

- Wolno wiedzieć, kim jest ta szczęśliwa kobieta, którą senior pokochał?

Otworzył oczy szeroko i przerażony wyrzekł:

- Nie, na miłość Boską, nie.
- Dlaczego nie?
- Bo wy seniorita, bardzo byście się na mnie rozgniewali.
- Skoro sami nie chcecie mi powiedzieć, to ja muszę to zrobić.
- Nie możecie, wy tego przecież nie wiecie.

— Udowodnię wam, że wiem. Połóżcie głowę do tyłu i zamknijcie oczy, tak jak uczyniliście to przedtem.

Posłuchał, nie przeczuwając do czego zmierza. Ledwie przymknął oczy poczuł, jak obejmują go dwa miękkie ramiona, twarz jego spoczęła na pulchnej, ciepłej piersi podnoszonej oddechem i szybkim tętnem serca, ciepłe wargi przytuliły się do jego ust, a jakiś dziwnie słodki głosik wyszeptał:

— To ja nią jestem, nieprawdaż? Ja wiem, kogo tak silnie pokochałeś.

Nie odpowiedział, ani nie otworzył oczu. Pozostał bez ruchu w tym samym położeniu jak psiak, którego głaszcze pani. Zdawało się, że z rozkoszy i zachwytu stopnieje.

Przycisnęła go powtórnie i całując spytała ponownie:

— Odpowiedz André. Nieprawdaż, że to jestem tą dziewczyną, którą tak mocno pokochałeś?

— Tak — ledwie był w stanie wyszeptać..

— Otwórz oczy, André?

Posłuchał prośby. Zobaczył jej piękną, promieniejącą radością twarzyczkę tuż nad sobą. Czuł jej oddech lekko muskający jego skronie. Zrobiło mu się dziwnie błogo. Począł odgarniać włosy z głowy, pytając:

— Czy ja śnię? Czy to rzeczywistość? O Boże, za dużo szczęścia na raz!

Delikatnie wywinął się z jej objęć. Długo stał wpatrzony z rękami na piersiach. Jakiś czas zostawiła go w spokoju. Poznała wartość tego szorstkiego człowieka. Jakkolwiek nie pociągała ją do niego taka silna namiętność jak swego czasu do Gerarda, ale bardzo go lubiła, a to mogło być lepszą rękojmią przyszłego szczęścia, niż silny, chwilowy płomień.

Była szpiegiem Juareza. Czego mogła się spodziewać? Miała się rzucić w ramiona jakiegoś bogacza lub arystokraty, który by ją potem porzucił? O nie! Wiedziała, że jest piękna, ale doskonale wiedziała, że tym darem może uszczęśliwić tylko małego André, którego żelazny i silny charakter dawał jej dość silną gwarancję, że więcej szczęścia zaznała w życiu będąc z nim, niż w objęciach najbardziej wyszukanych wielbicieli.

Obrócił się wreszcie od okna i podszedł pomału do niej. Jego pocziwa fizjonomia jaśniała blaskiem wewnętrznego szczęścia, w oczach perliły mu się wielkie krople, które pomalutku płynęły po policzkach.

— Wiesz co teraz zrobiłem — spytał ją.

— Co? Powiedz.

— Modliłem się. Tak modliłem się, aby Bóg mi nic odebrał rozumu. Poznałem, że równie trudno jest znieść wielkie szczęście jak niezwykle ciosy. A teraz powiedz mi, czy ty powiedziałaś to poważnie, czy ja naprawdę mógłbym wyciągnąć po ciebie rękę, po osobę, którą uwielbiam jak niewolnik swoją królową, za którą gotów byłem przelać ostatnią kroplę krwi, ponieść śmierć.

Dziwny niepokój i obawa ukazała się w jego oczach, kiedy czekał na odpowiedź. Musiała prędko go objąć i odpowiedzieć:

— Tak to prawda, mój kochany André. Ja chcę zostać twoją żoną, twoją gospodynią, abys przy mnie znalazł odpoczynek, byś zaznał spokoju po nużącej tułaczce.

Radosny okrzyk wydarł się z jego piersi. Objął ją i przyciskając do siebie powiedział:

— Niech Bóg cię nagrodzi za te słowa! Ha, teraz jestem całkiem innym człowiekiem. Teraz nie zamieniłbym się ani ze Sternauem, ani z Mariano, ani z nikim innym! Niech sobie mnie nazywają ile chcą, małym André. Czuję się teraz tak wielkim, ale tak wielkim, że ani mi w głowie któremuś z nich zazdrościć szczęścia.

Odsunęła go lekko od siebie i przyglądając mu się uważnie z radosnym uśmiechem przysunęła go znowu do piersi i stanąwszy przed nim prosto zawołała:

— Zmierzy się kochany André. Czy jestem do ciebie wyższa? Przy pomocy ręki zmierzył się z nią i zdumiony wyrzekł:



— Naprawdę, ja jestem nawet o cal wyższy od ciebie. Kto by to pomyślał?  
— Widzisz jak pozory mylą. My kobiety w naszych sukniach zawsze wydajemy się wyższe. Znakomicie do siebie pasujemy, nieprawdaż?  
— Wybornie. Zaczynam nabierać respektu sam do siebie. Zobaczysz, że inni też będą musieli mnie szanować. Miłość to przecież dziwna czarodziejka, potrafi nawet z małego André zrobić wielkiego człowieka.

\* \* \*

Niedługo potem Juarez w triumfalnym pochodzie wjechał do stolicy. Na widok prezydenta niezwykle zapał ogarnął wszystkich mieszkańców. Wszystkie ulice były udekorowane, z domów powiewały chorągwie, triumfalne bramy udekorowane girlandami poustawiano naprędcę. Z okien na jego konia, na którym wjeżdżał do miasta, spadł istny deszcz kwiatów.

Lecz zaraz następnego dnia owa głośna radość przycichła, robiąc miejsce niepewności i oczekiwaniom. Juarez rozpoczął sądy. Z bezwzględną surowością począł badać wszystkich, którzy podczas rządów Francuzów odgrywali jakiegokolwiek rolę. Począł odłączać ziarno od plew, strząsając zgniłe lub zepsute owoce z drzewa nowej republiki.

Ponieważ sam z wielką sumiennością zajął się wszystkim, niedługo na nowo zaczęła funkcjonować zarzewiała machina państwowa, ze wzorowym porządkiem tak, że nawet te państwa, które niegdyś rzucały zalotne spojrzenia na Napoleona musiały przyznać rację Juarezowi i uznać w nim władcę meksykańskiej ziemi.

Pewnego wieczora, kiedy mieszkańcy udali się już na spoczynek, od północy do miasta zbliżył się mały orszak jeźdźców. Na bezchmurnym niebie wspaniale świecił księżyc. Przy jego blasku można było poznać, że cały ten oddział składał się z jeźdźców i licznej eskorty. Pierwsi byli starannie skrepowani i przywiązani do koni. Dwa muły niosły między sobą coś na wzór lektyki, z której prawie nieustannie słychać było raz ciche, raz głośnie kobiece jęki, lecz nikt z otoczenia nie troszczył się o to.

Orszak dojechał wreszcie do miasta. Przejechał przez kilka ulic, a na głównym placu skręcił do budynków rządowych. Przy bramie jeźdźcy zsiadli z koni. Jeden z nich zadzwonił. Na pytanie co za jeden i czego chce, spytał krótko:

— Czy prezydent już śpi?  
— Nie, on pracuje zwykle aż do samego świtu.  
— To proszę mnie zameldować. Nazywam się Sternau.  
— Sternau? Hm. Nie wolno mi nikogo meldować. Prezydent chce spokoju. Proszę zjawić się w ciągu dnia.

— Kiedy mam się zjawić to nie należy do pana. Ma mnie pan tylko zameldować, prezydent przyjmie mnie natychmiast.

Te słowa zostały wypowiedziane tak rozkazującym tonem, że strażnik nie ośmielił się dalej sprzeciwiać. Niedługo zawiadomił przybysza, że prezydent czeka na niego.

Gdy Sternau tylko wszedł do prezydenta, to chciał się usprawiedliwić, za to, że mu tak późno przeszkadzam, lecz Juarez przywitał go radosnym okrzykiem:

— Wreszcie, wreszcie pan przybywa! Od dawna z niecierpliwością czekałem na pana!  
— Nie mogliśmy szybciej, senior. Czekaliśmy na mieszkańców hacjendy, tymczasem Józefa Kortejo tak osłabła, że nie można jej było transportować do stolicy.  
— Co się jej stało?  
— Senior wie, że w hacjendzie jeden z *vaqueros* kopnął ją tak silnie, że upadła na podłogę. Do tego wszystkiego była źle leczona i dostała silnego zapalenia, które z trudem udało się złagodzić.

— Ale teraz jest już zdrowa?

— O nie! Ona już nie wyzdrowieje.  
— Co pan mówi? — zawołał Juarez zdumiony. — Pan sądzi, że ona umrze?  
— Niestety, tak.  
— Ale mam nadzieję, że nie wcześniej, niż się z nią uporamy?  
— Spodziewam się. Zrobiłem wszystko co w mojej mocy i zastosowałem odpowiednie leczenie. Jednak pomimo lekarstw, w drodze cierpiała okropne bóle. Zawodziła dniami i nocami. Gdy tylko ustanie działanie leków, sztucznie podtrzymujących ją przy życiu, to ono zgaśnie.

Juarez skinął lekko głową i rzekł poważnie:

— To znaczy, że Bóg się wmieszał do sprawy i ukarał ją zanim ludzkie prawo mogło mieć zastosowanie. Z tego możemy wywnioskować, że istnieje jeszcze na tym świecie prawo, które jednak nie podlega żadnej instancji, a które często karze bardziej dotkliwie niż człowiek byłby w stanie. Przywiózł pan pozostałych więźniów?

— Wszystkich oprócz bratanka ojca Hilario.

— A jego dlaczego nie?

— Bo jego też dosięgła kara boża, to znaczy... on właściwie stał się swoim własnym sędzią. Powiesił się w więzieniu, w którym był przetrzymywany.

— Nie mogę powiedzieć, żeby mi to było na rękę. Myślałem, że będę mógł odkryć tajemne niegodziwości tego zakonnika, tymczasem on sam został rażony apopleksją, a jedyny wtajemniczony w te draństwa, czyli Manfredo, targnął się na swoje życie.

— Ja nie rozpaczam. Myślę, że przy dokładnym przeszukaniu klasztoru della Barbara tajemnice, które wydają się nam za niemożliwe do rozwiązania, same się odkryją.

— Każę starannie zbadać wszelkie zakamarki. Ale jak się obecnie mają sprawy, senior Sternau. Zapewne przepytał pan już więźniów?

— Tak, oczywiście.

— A rezultat jaki?

— Prawie żaden.

— Spodziewałem się tego. To okropnie zatwardziałe natury. Po tych ludziach nie można się spodziewać skruchy i przyznania do winy. Będziemy musieli pilnie szukać dowodów.

Sternau pokiwał głową i dodał:

— Co do dowodów, choćby i najstaranniej przygotowanych, nigdy z pewnością nie będzie można powiedzieć, że jest tak a nie inaczej. Zawsze pozostaną pewne wątpliwości. Oprócz tego taka rozprawa poparta tylko dowodami daje sposobność złoicy do zaprzeczania i uniewinniania się, a sędzia, choćby najsprytniejszy nie jest osobą nieomylną. Dlatego radziłbym o ile możliwości, unikać takich rozpraw, po pierwsze bardzo często nie doprowadzają do skutku, zwłaszcza przy tak zatwardziałych sumieniach, a po wtóre chciałbym, jak już to miałem sposobność zauważyć, unikać o ile możliwości wszelkich głośnych pertraktacji.

— Czyli, że pan ma ciągle nadzieję, że uda nam się zmusić ich do mówienia prawdy?

— Tak, najbardziej przy tym liczę na Józefę Kortejo. Mamy znakomitą okazję, gdyż ona bardzo cierpi. Dotychczas uśmierzałem jej cierpienia lekarstwami, obecnie przestanę je podawać. Jestem przekonany, że bóle sprawią tak straszne męczarnie, jakich żadne tortury nie są w stanie wymyślić. Pod ich wpływem musi się przyznać i musi porzucić dotychczasowy upór.

— Jako człowiek żałuję tej dziewczyny, ale jako sędzia muszą wyznać, że w pełni zasłużyła na takie męki. Pan dopiero teraz przyjechał?

— Tak jest.

— Naturalnie zapraszam pana i jego towarzyszy do siebie. W pałacu jest pokoi pod dostatkiem. Landolę i Kortejo każę strzec bardzo starannie i zamknąć w bezpiecznym więzieniu. Zaraz wydam odpowiednie rozporządzenia.

Złapał za dzwonek, Sternau jednak powstrzymał go, mówiąc:

— Jeszcze jedno, panie prezydencie. Pan wie, że hrabia Emanuel ciągle jest obłąkany, na skutek owej trucizny, którą mu podali. Opowiadałem panu także, że jedyne znane mi antidotum, spróbowałem już kiedyś zastosować, w przypadku choroby mojej żony. Potrzebuję więc znowu pewnej dawki tego środka.

— Prawda, opowiadał mi pan o tym. Przypomina sobie nawet sposób jego przyrządzenia. Potrzebna do tego jest piana z ust człowieka łaskotanego do nieprzytomności.

— Tak jest. Wprawdzie przyznaję, że to iście nieludzka tortura, ale konieczna, ze względu na stan hrabiego.

— Zgaduję o czym pan myśli. Chce pan użyć do tego jednego z więźniów. Na którego z nich padł pański wybór?

— Na Landolę. To największy i najbardziej niebezpieczny z tych zbrodniarzy. Naturalnie procedurę tę muszę wykonać w tajemnicy i potrzebuję do tego pańskiej zgody.

Juarez rozpoczął nerwowy spacer po pokoju. Gdy w końcu stanął przed Sternauem powiedział:

— Dobrze, zgadzam się na to. Wprawdzie jest to wbrew moim przekonaniom, ale hrabia musi być uratowany, a Landola, ów łotr nad łotrami nie zasługuje nawet na odrobinę litości. Muszę jednak postawić jeden warunek, nie może go pan uśmiercić, ani doprowadzić do szaleństwa.

— To się nie stanie. Przeciwnie, sądzę, że w ten sposób zmuszę go do wyznania prawdy. Ja także jestem człowiekiem i nikt nie pozbawił mnie uczuć, ale jeżeli tysiące zwierząt kraje się za życia, aby przy ich pomocy znaleźć odpowiedź na ważne pytania, nie widzę żadnej zbrodni w tym, by przy pomocy takiego złoczyńcy spreparować lekarstwo, dla uratowania człowieka, którego i tak on ma na sumieniu.

Omówiwszy dalsze szczegóły rozstali się, po czym całe towarzystwo rozlokowało się w prezydenckim zamku.

Na drugi dzień rozpoczęły się badania uwięzionych, ale jak przewidywano całkowicie bez skutku. W bardzo krótkim czasie okazało się, że Sternau miał rację. Ból Józefy wzrósł do tego stopnia, że nie miała więcej sił do jakiegokolwiek oporu. Wiła się i ryczała przy tym wręcz nieludzko. Sternau wpadł na pomysł, aby razem z nią umieścić w celi jej ojca.

Pablo Kortejo jakkolwiek człowiek o wyjątkowo zatwardziałym sercu, nie mógł spokojnie patrzeć na męczarnie córki. Przekonał się już, że niewiele życia jej pozostało, co więcej musiał w duchu przyznać, że to jego wina, że jego zbrodnie doprowadził ją do takiego stanu, takiego nieszczęścia. Przywołany do celi kapłan szybko skruszył resztki jego skrupułów i skłonił go do zeznawania, aby w ten sposób przynajmniej zadośćuczynić za wszystkie złe uczynki.

Józefa bliska śmierci zaczęła głośno krzyczeć, że wyzna całą prawdę. W tak strasznym położeniu i jej ojciec nie mógł się dłużej opierać. W celi wraz ze świadkami zjawił się sam Juarez. Sporządzono protokół i dokładnie spisano wszystkie zeznania tej dwójki, a także przypieczętowano akt prawomocnymi podpisami.

W godzinę później Józefa oddała ducha. Pozostało jeszcze drugie zadanie, skłonić Landolę i Gasparino Kortejo do przyznania się i potwierdzenia tamtych zeznań.

Jednak odczytanie protokołu z podpisami Pabla Kortejo i Józefy nie na wiele się zdało, daremnie używano próśb i gróźb. Z bezsensownym uporem wypierali się wszystkiego, aż do ostatka.

Następnej nocy sprowadzono ich do głęboko leżącego podziemia, w którym czekał już na nich Sternau, Juarez, Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce.

To co tam się działo, pozostało tajemnicą. Gdyby jednak ktoś wpadł na pomysł by ich podsłuchać, mógłby usłyszeć przytłumione jęki, wycia i ryki, jakby nie od ludzi pochodzące.

Kiedy owych dwóch więźniów transportowano do ich cel, Landola leżał sztywny, nieprzytomny jak trup, podczas, gdy Kortejo zataczał się z osłabienia tak, że musiano go prowadzić.

Po nich z podziemia wyszli pozostali. Obaj Indianie byli jak zwykle zimni i milczący, ale Juarez i Sternau byli wyjątkowo bladzi.

Ostatni z nich chował do kieszeni jakąś małą flaszeczkę, podczas gdy Juarez niósł w rękę zapisany arkusz papieru.

Dopiero w swoim pokoju prezydent przerwał milczenie mówiąc:

— To było straszne, okropne! Krew mi w żyłach zmroziło! Gdybym przedtem o tym wiedział, nie wiem, czy zdobyłbym się na odwagę pójścia tam z wami. Tylko jedno mnie pociesza, że mamy teraz w rękach wszystko co nam jest potrzebne. Landolę i Gasparino Kortejo zabierzecie panowie ze sobą do Hiszpanii, tylko Pablo Kartjeo... hm!

Przerwał zamyśliwszy się głęboko.

— Co się z nim stanie? — spytał Sternau.

— Zostanie tutaj, bo podlega mojej jurysdykcji. Zresztą jako buntownik, już zasłużył na śmierć. Nie mówny lepiej teraz o nim, dzisiaj już dosyć strasznych rzeczy musieliśmy znieść.

Następnego dnia, sąsiedzi pałacu hrabiego Rodriganda, który od czasu wymarszu Francuzów stał pustką zauważyli, że ten ponownie ma mieszkańców i kręci się tam wiele osób. Ale nie mogli się dowiedzieć, kto to był. Nawet służba unikała wszelkich pytań. Wiadomość, że hrabia Ferdynand żyje była starannie trzymana w tajemnicy, aby nie dotarła do Hiszpanii przed samym hrabią.

Szybko załatwiono resztę trudnych i zawiłych okoliczności i w kilka dni później, orszak jeźdźców i kilka wozów pospieszenie poruszało się w kierunku portu Vera Cruz.

Stary, poczciwy hacjendero ze swoją córką Emmą i swoim zięciem Antonio Helmerem pozostali w stolicy. Otrzymali polecenie od hrabiego, by tymczasowo pod opieką prezydenta uregulowali stosunki majątkowe jego meksykańskich posiadłości.

W jakiś czas później rozeszła się pogłoska, że ów zaginiony, śmieszny pretendent do prezydenckiego fotela, Pablo Kortejo został schwytyany.

Wkrótce potem opowiadano sobie, że jako buntownik posądzony oprócz tego, jeszcze o inne, znacznie większe zbrodnie, został skazany na śmierć i rozstrzelany.

## W EUROPIE

Pociąg osobowy, który z Reichenbach o jedenastej trzydzieści w południe, zwykle przyjeżdżał do Drezna, wtoczył się na peron z wielkim hukiem. Z pootwieranych przedziałów poczęły się cisnąć setki pasażerów, cieszących się z zakończenia podróży i szczęśliwego dotarcia do celu. Pomiędzy nimi znajdowała się pewna dama w towarzystwie mężczyzny. Dama miała na sobie jedwabną suknię i twarz zasłoniętą gęstą woalką, nie wywoływała więc w zgromadzonych na peronie zainteresowania, w przeciwieństwie do jej towarzysza.

Był ubrany w niezwykle, w Dreźnie nie spotykany sposób. Szerokie spodnie uszyte były z czerwonego i jasnoniebieskiego sukna. Koło bioder opasany był szerokim szalem, za którym wetknięte były trzy pistolety, dwa noże i dwa rewolwery. Biała kamizelka ozdobiona była fiołkowymi paskami. Z obu jej kieszonek zwisały łańcuszki, obciążone tysiącem monet, kotwic i pieczętek. Ciemno czerwony surdut był gęsto wyszywany złotem. Na szyi miał założony jedwabny, żółty szalik, zwisający aż do ramion. Oprócz tego ów niezwykle pasażer niósł ogromne sombrero, którym mógł osłonić przed słońcem co najmniej dziesięć osób równocześnie, zaś w lewej ręce trzymał długą fajkę, z której bezustannie wypuszczał gęste kłęby dymu. Na nosie miał okulary o szerokiej rogowej nasadzie, a na lakierkowych butach sterczały z tyłu ostrogi o kółkach wielkości pokrywki na garnuszki.

Jegomość ten wysiadł wraz z damą z przedziału pierwszej klasy. Gdy tylko stanął na peronie, rozglądął się wkoło majestatycznie i kiwnął fajką na bagażowego.

— Hej, człowiecze, jest pan Saksończykiem? — spytał nabiegającego chłopca.

— Do usług, łaskawy panie — odparł zapytany zdejmując czapkę aż do ziemi.

— Zna pan Pirna?

— Do usług.

— Byłeś pan tam?

— O, nawet parę razy.

— To mnie cieszy. Będzie nas pan obsługiwał, proszę mi wskazać poczekalnię pierwszej klasy.

— Proszę za mną, do tamtych drzwi — wskazał ręką na lewo.

— Ładnie! Wnieście nam tam nasze rzeczy, które są jeszcze w przedziale i postarajcie się o dorożkę, ale najlepszą. Inne kufry, które nadejdą później, ma pan odnieść do hotelu.

Wypowiedział te słowa z napuszczoną miną, tonem generała, który na polu walki wydaje rozkazy swoim pułkownikom. Następnie triumfującym krokiem wszedł do poczekalni. Oczy wszystkich spoczęły na nim ze zdziwieniem i sarkazmem.

Bagażowy wniósł wszystkie podręczne pakunki. Między innymi były tam dwa karabiny w futerałach, klatka z trzema papugami, meksykańskie siodło, które za pomocą pasków mógł sobie przymocować w tyle na plecach, szabla, ogromna lupa i tuzin dziwacznych pieczydeł.

Te ostatnie kupił na jakiejś stacji, ze względu na ich ogrom i nadzwyczajny kształt, aby jako kuriozum mocje pokazywać swoim ziomkom.

Bagażowy złożył pakunki i wybiegł by poszukać dorożki, jakiś kelner zbliżył się do nieznajomego pytając, czy ma podać coś do picia. Obcy zmierzył go od stóp do głowy i odparł:

— Tak! Naturalnie, napijemy się. Ale, hm, zna pan Pirna?

— Naturalnie.

— Był pan tam?

— Nie panie.

— Nie? Tak? To proszę odejść i nie będziemy niczego pili. Dama siedząca obok tego dziwaczego jegomościa starała się mu szeptem coś wytłumaczyć, ale widocznie bez skutku.

Właśnie wrócił bagażowy meldując, że dorożka zajechała, a dorożkarz spytał:

— Dokąd państwo życzą sobie jechać?

- Do najlepszego hotelu, ale naprawdę do pierwszorzędnego!
- Życzy pan sobie „Hotel Sasaki”, „De Rome”, „Bellevue”, czy „Union”?
- „Bellevue”, „Bellevue”! Ale prędko!

Dorożkarz z bagażowym zajęli się pakunkami. Za nimi w stronę dorożki wyszedł nasz nieznajomy z damą.

— Do stu diabłów! — wyszeptał po hiszpańsku do jej ucha. — Widzisz Resedillo, jak nas ludzie respektują i jak się dziwią?

Nie odpowiedziała.

Tuż przy drzwiach wyjściowych stał miejscowy żandarm. Zobaczywszy wychodzących, zmierzył nieznajomego zdziwionym wzrokiem, jakiś czas bacznie spoglądał mu w oczy, po czym podszedł szybkim krokiem i grzecznie spytał:

— Proszę wybaczyć, szanowny panie, ale zapewne ma pan przy sobie dokument zezwalający na noszenie broni?

Obcy zdjął okulary, wypuścił z ust kłęby dymu, zmierzył policjanta od góry do dołu i odrzekł:

— Pozwolenie na noszenie broni? A to dlaczego?

— Bo ma ją pan ze sobą.

— A co, może mi nie wolno?

— Nie.

— Ale to moja własność!

— To w niczym nie usprawiedliwia noszenia i przewożenia ze sobą broni w takiej ilości. W naszym państwie, w którym panuje prawo i porządek, każdy musi mieć zezwolenie. Czy ta broń jest naładowana?

— Nie.

— Pan zapewne jest obcy w tym kraju. Mogę prosić o pańskie dokumenty?

— Dokumenty? Do stu piorunów! Uważa mnie pan może za jakiegoś rabusia, czy złoczyńcę?

— Ależ skąd — odparł policjant z uśmiechem. — Proszę pana, my w tym miejscu za bardzo wzbudzamy ciekawość publiczności. Proszę ze mną do środka.

Otworzył drzwi jakiegoś pokoju, nad którego drzwiami widniał napis „POLICJA”.

Chcąc nie chcąc musieli oboje posłuchać wezwania i wejść do środka. Kiedy po jakiejś chwili wyszli, nieznajomy miał tak szeroko założony pas na biodrach, że broni nie można już było widzieć. Twarz miał ogromnie zachmurzoną. Z gniewem w głosie rzekł do swej towarzyszki:

— To ma się nazywać Dreznem? Do stu piorunów! Aresztują mnie na drodze, bez żadnej przyczyny i przeszukują jak opryszka. Gdyby choć ziarenko prochu zostało znalezione w lufach, gotowi byliby mnie jeszcze zamknąć, razem z tobą i papugami. O! Na tym dworcu więcej mnie nie zobaczą!

Wraz z Resedillą, cały czas zasłoniętą gęstym woalem i uparcie milczącą wsiedli do dorożki i pojechali do hotelu. Niedługo powóz zatrzymał się przed hotelową bramą. Stojący tam portier podbiegł do drzwiczek i skłoniwszy się bardzo nisko otworzył je. Widocznie wziął siedzącego w środku mężczyznę za jakiegoś egipskiego generała albo innego potentata.

— Zna pan Pirna? — spytał go Pirnero.

— Do usług, wielmożny panie — odpowiedział zdziwionym uśmiechem.

— Czego się śmiejesz? Co wiesz o Pirna?

— O Pirna? Ha, wiem tylko tyle, że to miasto wyjątkowych głuptasów.

Twarz Meksykanina wydłużyła się.

— Co? Jak? — zawołał oburzony. — Miasto głuptasów? I ta buda ma być najlepszym w mieście hotelem? Hotelem „Bellevue”? Dorożkarzu, czy na Łabie stoją statki parowe?

— Naturalnie, łaskawy panie.

— Kursują do Pirna?

— Tak. Zdaje mi się, że za pięć minut jakiś odpływa.

— Szybko, jedziemy tam! To Drezno to wiocha! Aresztowanie, Pirna jako siedlisko głupców. Jadę do Pirna, może tam przynajmniej znajdą się ludzie, z którymi będzie można po ludzku porozmawiać, którzy będą mieli więcej ogłady, niż towarzystwo w tej dziurze.

Dorożka poczęła się znowu toczyć po bruku zmierzając w kierunku Łaby. Na szczęście przyjechali na czas.

Na statku pojawienie się dziwnego podróżnego spowodowało takie zbiegowisko, że Pirnero musiał się zamknąć w kajucie. Nie wyszedł z niej, dopóki parowiec nie dopłynął do Pirna. Przeprowadzając się na brzeg, rozkazał zanieść swoje rzeczy do ratuszowych oficyn, które pamiętał z młodych lat. Sam w towarzystwie Resedilli szedł wolno przez miasteczko.

Twarz przez ten czas zdążyła mu się wypogodzić. Rozglądał się na wszystkie strony, mówiąc do Resedilli:

— Bardzo się ta pocziwa miejscina zmieniła. Nie mogę jej poznać. Przekonasz się, że to całkiem coś innego, niż ta dziura, Drezno. Tam mieszka tylko sam motłoch, mieliśmy już okazję przekonać się o tym. Tu w Pirna to całkiem co innego, tu mieszka cała saska śmietanka i arystokracja. Zaraz zobaczysz różnicę.

W restauracji, w piwnicach ratusza o tej porze nie było żywej duszy. Gospodarz i cały personel ogromnie byli zdziwieni zjawieniem się tak szczególnego gościa. Przeczuwając, że to jakiś niezwykły magnat, obsługiwali go na wysięgi.

Pirnero chcąc im zaimponować nie wdawał się w dysputy, mówił tylko to co było niezbędne, zamówił dla siebie i dla Resedilli obiad, który natychmiast zjawił się na stole. Podczas, gdy spożywał zamówione potrawy do lokalu wszedł jakiś gość i zamówiwszy sobie szklaneczkę piwa usiadł przy bocznym stoliku. Pirnero spoglądał na niego spod oka. Doskonale widział z jakim szacunkiem został podjęty w restauracji, więc posiliwszy się nieco stwierdził, że należy uświadomić gospodarza, jakiego gościa ma zaszczyt u siebie przyjmować.

— Ładna pogoda! — zauważył zwracając się do nowoprzybyłego.

Ten nie wiedząc, czy pytanie skierowane było do niego, milczał.

— No? — zwrócił się teraz całkowicie w stronę siedzącego przy bocznym stoliku, tak, że ten nie mógł wątpić, że dziwny gość mówił do niego.

— Tak, bardzo ładna — odpowiedział.

— Co za czyste niebo i jakie piękne słońce.

— Tak, szczególnie dobre dla owoców.

— Dlaczego?

— Bo pięknie dojrzewają i będą słodkie.

— Dlaczego pan wspomniał właśnie o owocach?

— Boje sprzedają. Może pan chciałby nabyć?

— Ach! — zawołał Pirnero. — A czy przypadkiem nie zajmuje się pan także sprzedażą rzodkiewki?

— Owszem.

— Jak idą interesy?

— Raczej nieszczególnie.

— A nie było tu kiedyś w Pirna jeszcze innych handlarzy rzodkiewką?

— Byli, oczywiście, że byli.

— A jak się nazywali?

— Hm, było ich wielu.

— Ja mam na myśli jednego, bardzo sławnego. Zmarł jako ofiara swego zawodu.

— Jak to?

— Utopił się w swoim ogrodzie. Nazywał się, jeżeli się nie mylę... chyba Mackę.

— Ach, pan ma na myśli starego Mackę, tego opoja z wiecznie czerwonym nosem. Utopił się bo był całkowicie pijany.

— Do pioruna! Pan musi się mylić. Ja myślę o tym kupcu, którego syn był kominiarzem.

— Tak, to ten sam.

— Jego syn także zginął jako ofiara swego zawodu!

— Tak, udusił się w kominie, tylko, że znowu na skutek pijaństwa. Cała ta rodzina składała się z samych pijaków. Ich prawdziwym interesem była właściwie wódka.

Pirnero zrobił bardzo zdziwioną minę, kierując oczy na Resedillę odparł:

— Pan musi się mylić! Ja mam na myśli tego kominiarza, którego syn wyjechał w obce kraje.

— No przecież mówię, to ten sam — potakiwał głową gość. — Ten to dopiero był nicponiem i to w całym tego słowa znaczeniu. Mógłbym o nim coś powiedzieć.

— Co takiego?

— Ten łotr wyłudził ode mnie cztery talary, mówił, że tylko chce pożyczyć, po czym zwiął do Ameryki. Dotychczas nie oddał mi tych pieniędzy. Och... żebym ja tego draba zobaczył!

— Do diabła, jak się pan nazywa?

— Ebersbach. Byliśmy kolegami i wszędzie razem chodziliśmy. Ale w tym nicponiu nie było nawet palca dobrego. Zastawiał sidła na ptaki, tak, że policja musiała się nim zainteresować. Potem znalazł sobie jakąś dziewczynę, której mu jednak nie chciano dać za żonę. Wdrapał się do niej, po drabinie. Jednak ojciec dziewczyny nakrył go i złapał za kark. Poczęli się tarmosić, po czym stary spadł ze schodów i złamał sobie nogę. Łotr wypadł z okna, a na drugi dzień rano zniknął jak kamfora. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Ale gdyby się tu tylko zjawił... zamknęliby tego ptaszka. Napadł na człowieka, zranił go, myślę, że za to trafiłby do kryminału. Może pan widział gdzieś tego draba?

Pirnero mocował się właśnie z jakimś kawałkiem wołowej pieczeni. Żuł i dusił się, odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

— Ale skąd, gdzie miałbym go wiedzieć?

— A dlaczego jako obcy, zaczynacie rozmowę właśnie o tej rodzinie?

— Słyszałem to nazwisko na okręcie.

— Hm! Skąd pan właściwie jesteście?

— Z... z... z Kreuznach! — wyrwało mu się mimo woli.

— A gdzie to leży?

— Niedaleko Moguncji.

— Kim pan jest?

— Kapitan i nadleśniczy wielkiego księcia.

— A tak, to tam nadleśniczy nosi taki mundur?

— Tak... dopiero od trzech tygodni. Panie gospodarzu, proszę o rachunek.

Gospodarz podał mu paragon, Pirnero natychmiast zapłacił, a półgłosem spytał córki:

— Podoba ci się tutaj, w Pirnero, kochana Resedillo?

— Pośród tej saksońskiej arystokracji? — zaśmiała się. — Wcale mi się tu nie podoba. Ale ojciec, co za rzeczy ja tu słyszę?

— Pst, pst, mów ciszej! — wyszeptał przestraszony. — Jak ci ludzie tutaj się dowiedzą, że wcześniej nazywałem się Mackę, to będę miał ładny pasztet. Muszę po raz drugi ratować się ucieczką, ale nie zobaczą mnie tu więcej. Niech diabeł porwie całe Pirna. Nie myślałem, że tu mieszka taki żądny krwi naród. Wracajmy do Drezna, każemy nasze kufry przetransportować na inny dworzec, a potem pojedziemy do Lipska. Na czeskim dworcu po raz drugi sienie zamierzam pokazywać. W Lipsku sprawię sobie inne ubranie, po czym omówimy, kiedy mamy jechać do Moguncji. Chciałbym tak to urządzić, aby przybyć na miejsce razem z pozostałym towarzystwem. Gerard przecież przybędzie razem z nimi.

— A co potem zrobimy?



— Najpierw obejrzymy tę wielką radość jaka będzie przy powitaniu, a potem wrócimy do Meksyku.

— Naprawdę? — spytała ucieszona. — Przecież chciałeś się osiedlić na stałe w Pirna?

— Cicho bądź! Pirna może się wypchać, nie zamierzam tu zostać, by zamienić się w trupa. W Meksyku pozostała siostra Gerarda i jej mąż, André także będzie tam wracał do Emilii, dlaczego my nie mielibyśmy się do niego przyłączyć? Tam także możemy żyć wygodnie, nawet wygodniej niż tutaj z procentów od kapitału. Wcale nie mam ochoty dać się tu zamknąć, jako włamywacz do cudzych domów i kłamca. Musimy czym prędzej się stąd ulotnić.

Najbliższym statkiem popłynęli w dół rzeki. Miasto Pirna nie przeczuwało nawet, jakiego człowieka u siebie gościło.

## BAL MASKOWY

Na starym, skórzanym fotelu, w swej pracowni siedział kapitan Rodenstein i ponuro spoglądał przez okno. Nogi miał aż po kolana zakryte filcowymi butami i okryte podwójnym kocem. Tuż obok stał jego wierny towarzysz, Kurt. Także miał zmartwioną minę i z uporem patrzył w dół.

— Panie kapitanie! — odezwał się w końcu. — Ja także nie znam żadnej rady.

— Bo tak samo mądry jesteś jak lekarze, a właściwie tak samo głupi. Allopaci zniszczyli mnie, hydropaci jeszcze bardziej pogorszyli, a homeopaci chcą mnie w końcu pozbawić resztek zdrowego rozsądku. Pomyśl tylko, przeciw nowym atakom reumatyzmu mam zażywać akonitu, arniki, belladonny, loryonii, arszeniku, rododendrona, phytolaca i stillingii, przeciw temu co boli mnie od dawna chininy, chamomilla, merkur, mix vomica, pulsadilli, belladonny, moszus, sabina, sulfur, kalmia i capsica. Niech mi ktoś wyjaśni jaki worek lekarstw i ziół się ze mnie robi, gdy te wszystkie przysmaki zaczną zażywać. Niech to piorun trzaśnie! Żeby chociaż raz jeszcze przyszła pomyslna wiadomość, jak choćby ta ostatnia od Karola, z Meksyku! Pamiętasz może? Podskoczyłem z uciechy jak jakiś młokos i wyzdrowiałem od razu jak po jakimś cudzie, ale teraz... ha, nie pukał ktoś przypadkiem Kurcie?

— Oczywiście, że pukał, panie kapitanie.

— Zobacz kto.

Kurt otworzył drzwi. Na ganku stał jakiś młody człowiek w mundurze, z ostrogami przy butach.

— Kurt, kto tam jest? — spytał Rodenstein.

— Kurier jego ekscelencji, wielkiego księcia, do pana Rodensteina.

— Do mnie? — zawołał stary. — Od wielkiego księcia? Wejść! Kurier wszedł i oddał kapitanowi kopertę, zalakowaną książęcym herbem.

— Macie czekacie na odpowiedź?

— Nie.

— To dobrze. Odpocznijcie sobie i zażądajcie obroku dla konia, a dla siebie jadła. Wiecie, gdzie macie się udać?

— Wiem.

Kiedy posłaniec wyszedł, stary złamał pieczęć i począł czytać z zainteresowaniem. Nie dotarł nawet do połowy, gdy zaczął wymachiwać rękami jak sztubak.

— Ha! Hurra! Wiwat! Niech żyje! Kurt! Ośle! Gapiu! Gałganie! Wynocha z tymi betami!

Podskoczył z krzesła i począł fikać nogami, chcąc zrzucić filcaki. Po dłuższych próbach wreszcie mu się udało. Kurt stał z ogłupiałą miną.

— Ależ panie kapitanie! Buty... filcaki... ból!

— Ból? głupstwo! Nic mnie nie boli, jestem wyleczony, całkiem wyleczony, reumatyzm zniknął, poszedł do diabła! Wielki książe wrócił mi zdrowie. Wiesz co jest w tym liście?

— Nie.

— O tobie też wspomniano, dlatego muszę ci ten wspaniały list przeczytać. Wytrwałeś przy mnie przez tak długie lata, mimo mego reumatyzmu i złego humoru. Ani razu nie mruczałeś nawet, teraz jednak, gdy usłyszysz treść listu musisz zamruczeć, zrozumiano?

— Do usług panie kapitanie. Będę mruczał.

— Dobrze, a więc słuchaj!

Stał prosto jak świeca, bez śladu bólu w nogach i czytał:

*Do naszego kochanego pana kapitana Rodensteina!*

*Zbliża się rocznica, gdy mieliśmy okazję gościć u was na podniosłej ceremonii połączenia hrabianki Róży de Rodriganda z panem doktorem Sternauem, węzłem małżeńskim. Dwa serca,*

które dla siebie były i żyły, zostały połączone. Ponieważ myślimy, że dzień ten zarówno w Kreuznach jak i w zamku Rodriganda będzie obchodzony bardzo uroczysto, zapraszamy się na tę okazję jako goście. Przyjedźcie z nami dworskie towarzystwo, aby tym samym okazać okolicę, że ciągle jesteście w kręgu naszych zainteresowań.

Rozmyślając o tym, jakby najlepiej uczcić to święto i jakiej formy nadać odwiedzinom, wpadło nam na myśl, urządzić mały bal maskowy. Naturalnie, nasze otoczenie, tak panie jak i panowie zjawiają się w przebraniu. Przyjedziemy wieczorem, punktualnie o godzinie ósmej. Co się tyczy kostiumów i masek mieszkańców Kreuznach, cały pomysł zostawiamy naszemu mistrzowi ceremonii. Odnośne uwagi są opisane w osobnym liście, który dołączamy do tego. Mamy nadzieję, że zastaniemy wszystkich mieszkańców obu posiadłości w zdrowiu.

Informujemy o tym wszystkim pana i mamy życzenie, byście osobiście o wszystkim poinformowali pozostałych mieszkańców Kreuznach i Rodrigandy.

*Do rychłego zobaczenia*

Kurt Stentenberger stał z rozdziawioną jak wrona gębą.

— Do stu piorunów! — zawołał w końcu. — Bal maskowy.

— Tak bal maskowy z wielkim księciem i wielką księżną, i ich całą menażerią! No, no! Hurra! Wiwat moja podagra, mój gościec, mój reumatyzm, które zostawiłem w butach! Patrz tylko jak umiem skakać!

Rzeczywiście chodził po pokoju wielkimi krokami wołając przy tym:

— A tutaj jest ta kartka, na której napisano, jak mamy się przebrać. Słuchaj: pani Róża Sternau i pani Flora Rodenstein, to moja synowa... z panią księżną Olsunna i panną Różyczką mają być przebrane za Meksykanki. Księżę Olsunna, pan Otto Rodenstein wystąpią jako Meksykanie, pani Helmer jako kapitanowa statku, Kurt Stantenberger jako myśliwy prerii, a pan kapitan Rodenstein jako... Przerwał spoglądając z przerażeniem na papier.

— Do stu beczek kartaczy! Co tu jest napisane? — zawołał. — Mam być traperem?

— Tak. To mi się bardzo podoba, to jest wspaniałe.

— Tak, tak. Tylko moja rola nie jest piękna. Tu jest napisane... do pioruna! Wyraźnie stoi: „Pan kapitan Rodenstein, jako leśny kłusownik, z możliwie długim nosem”. Czy to nie jest impertynencja?

— To prawda, ale musimy się do niej dostosować.

— Zobaczymy. Ja kapitan i nadleśniczy Rodenstein, szlachcic, mam przebierać się za długonosego kłusownika! Takiej roli nie grałem jeszcze nigdy, jak długo żyję. Wielki nos jeszcze by uszedł, ale kłusownik, to mnie naprawdę złości. Co wielkiemu księciu wpadło do głowy! No, muszę się jeszcze w każdym razie nad tym zastanowić. Teraz jednak spieszę do Rodrigandy, aby ich powiadomić i oddać im ten list. Są w nim wymienione jeszcze inne osoby, ale nie mam teraz na to czasu.

— Będzie pan kapitan miał na tyle siły, aby iść do zamku piechotą? — spytał zdziwiony Kurt.

— A dlaczego nie? Chciałbym zobaczyć ten reumatyzm, który odważył się przeszkodzić mi w uczestnictwie, w balu maskaradowym wielkiego księcia. Przecież kłusownik musi umieć dobrze biegać. Oglądaj się za kurierem, aby go dobrze przyjęto, bo w pełni na to zasłużył.

Rzeczywiście zszedł ze schodów i podążył przez las do zamku Rodrigandy, gdzie ta nowina wprawiła wszystkich w ogromne zdziwienie.

Mieszkańcy posiadłości, już wcześniej zostali powiadomieni o wszystkim co zaszło w Meksyku, a także przed paru dniami dostali od Karola list z Hiszpanii. Pisał, że wszystko jest na najlepszej drodze, że fałszywy hrabia Alfonso i siostra Klarysa siedzą w więzieniu, Zarby, starej Cyganki i jej bandy nie mogli odszukać, co było tym dziwniejsze, że także Tombi pewnego pięknego dnia zniknął bez śladu. Za to udało im się odnaleźć starego dominikanina, który wychował Mariano, a będąc przy spowiedzi żebraka poznał całą prawdę o jego

pochodzeniu. List Sternaua kończył się zapewnieniem, że najprawdopodobniej po dwóch tygodniach uporają się ze wszystkim i będą mogli wrócić do Kreuznach.

Wiadomość ta przepełniła wszystkich ogromną radością. Wreszcie mieli się znowu zobaczyć, wreszcie miało się spełnić to szczęście, za którym tyle lat wzdychali. Ich nastroju nie dałoby się nawet opisać, w gorączce oczekiwali na dzień, który miał im wrócić szczęście.

Projekt wielkiego księcia, który przy okazji spotkania z księciem Olsuną dowiedział się o tych nowinach, wszystkim przypadł do gustu. Zrozumieli, że wielki książę chciał tym balem maskowym dać obraz triumfu prześladowanych, którzy po tylu kolejach losu mieli powrócić na łono swej ojczyzny, w objęcia tęskniącej rodziny.

Przepisy mistrza ceremonii były bardzo dokładne. Kapitan nie przeczytał wszystkiego Kurtowi. Kostiumy każdej osoby były bardzo dokładnie opisane, zawierały najdrobniejsze szczegóły. To, że każdy miał mieć na twarzy maskę, nikogo nie dziwiło, przecież miał to być bal maskowy.

Przygotowania do tej uroczystości rozpoczęły się zaraz po otrzymaniu listu i to z takim zapędem, że na dzień przed wyznaczonym terminem, wszystko było gotowe.

Leśna Różyczka cały czas znajdowała się jak w hipnozie. Radość z powodu możliwości szybkiego zobaczenia ojca i uciecha z powodu balu nie dawały jej spokoju.

Oczekiwania te raz napełniały ją wielką troską, to znowu niezmierną radością i szczęściem. Wieczorem, w dniu poprzedzającym zapowiedziane święto, wybiegła do swego ukochanego lasu, by po raz setny marzyć o tym, jak będzie wyglądało powitanie z najbliższymi.

O tej samej porze w gęszczu siedziało dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą bardzo przyciszonymi głosami:

— Czy tylko się nie mylisz, kochany panie Sępi Dziobie — wyszeptał właśnie jeden z nich.

— O nie, panie Karolu — odparł. — Każdego dnia, kiedy tu siedziałem, stary hrabia spacerował po tej ścieżce. Zawsze rozmawia sam ze sobą, a potem wraca do zamku. Widocznie dobrze zna drogę powrotną.

— Żeby Bóg dał, aby mi się tylko udało. Jak chętnie bym się rzucił w objęcia moich najukochańszych, ale muszę się zastosować do życzenia wielkiego księcia. Ach, ktoś się tutaj zbliża.

Poczęli nad słuchiwać. Jakies powolne kroki, prawie skradające się, zbliżały się w ich kierunku.

Był to hrabia Emanuel, który szedł jak zahipnotyzowany, słańał sieja cień. Sternau wyskoczył za nim i dogonił go.

Hrabia nie przestraszył się zobaczywszy nieznajomego, szedł dalej jak nieprzytomny. Daremnie Karol uklonił się i chciał coś powiedzieć. Usłyszał tylko jak hrabia mruczał:

*Ja jestem wiernym, pocziwym Alimpo.*

Nie namyślając się wiele, chwycił hrabiego za rękę; ten nie stawiał najmniejszego oporu. Sternau zaczął go dokładnie badać. Hrabia z powiekami do połowy przymkniętymi stał bez czucia i świadomości, tego co się wokół dzieje.

W końcu wyjął doktor jakąś małą flaszeczkę i łyżeczkę z kieszeni. Z buteleczki wlał na łyżeczkę kilka kropli płynu i podał ją hrabiemu. Posłuszny jak dziecko wypił co mu podano.

— Pst! Ktoś nadchodzi! — ostrzegął Sępi Dziób, który tymczasem grał rolę wartownika i natychmiast dla bezpieczeństwa zniknął w krzakach.

Sternau także chciał się cofnąć, lecz było już za późno. Ukrył tylko butelkę i łyżeczkę... tuż przez nim stanęła... Leśna Różyczka.

Patrzyła na tego wysokiego, barczystego mężczyznę o wspaniałej brodzie z początku z lękiem, ale zaraz po pierwszym spojrzeniu jej twarzyczka się rozjaśniła. Zdawało się jej, że już

kiedyś widziała tę wspaniałą postać, ten surowy, a jednak tak pogodny wyraz twarzy. Owładnęło ją dziwne uczucie, z którego nie zdawała sobie sprawy.

— Kim pan jest? — spytała uprzejmie bez cienia gniewu, ale i bez zbytnej ciekawości.

Natychmiast ją poznał. Był to nie tylko wierny obraz fotografii, którą widział w kajucie Amy Lindsay, ale był to także wizerunek jego kochanej Róży, odmłodzony i upiękaszony przez jakiś czarujący, nie dający się bliżej opisać wyraz oczu. O jak chętnie i gorąco chciał uściskać swoje dziecko, ale powstrzymał się i grzecznym tonem odparł:

— Jestem malarzem, moja panienko, spacerując w tym lesie szukałem motywu do swych obrazów. Tymczasem spotkałem tego pana i widząc, że potrzebuje pomocy, chciałem go odprowadzić.

— Dziękuję panu, to mój dziadek. On jest wprawdzie bardzo słaby, ale bardzo dobrze zna drogę i nigdy nie zabłądzi. Może zechce pan pójść z nami. W pobliżu zamku znajdzie pan bardzo piękne widoki, godne by uwiecznić je jakiś malarz.

— O panienka jest bardzo łaskawa, ale niestety czas mój jest ograniczony i nie pozwala mi skorzystać z pani uprzejmości, muszę już wracać.

— Gdzie pan mieszka?

— Zaraz, niedaleko stąd, w sąsiednim miasteczku. Wolno zapytać czyją własnością jest ten zamek?

— Mojego dziadka, księcia Olsunny.

— Ach, księżniczko... proszę wybaczyć, ale nie wiedziałem.

Złożył głęboki ukłon.

— Ależ proszę — powiedziała cudownie melodyjnym głosem. — Tutaj, na wsi nikt nie wymaga jakiejś szczególnej etykiety. Ja przynajmniej jeszcze nie przyjmowałam żadnych hołdów. Często przychodzi pan do naszego lasu?

— Dotychczas tutaj nie byłem, obawiam się nawet, czy i obecnie nie jest to pewnego rodzaju nietaktem, wtargnięciem na prywatny teren...

— O nie — przerwała mu pospiesznie. — Natura należy do wszystkich i każdemu wolno napawać się jej pięknem i widokami. Może spotkamy się tutaj jeszcze kiedyś?

— Byłbym bardzo szczęśliwy.

— Ja bardzo lubię sztukę, którą przyroda czaruje na naszych oczach. Jeżeli się spotkamy będziemy mogli o tym porozmawiać, ale ponieważ dzisiaj nie ma pan już czasu, to do zobaczenia. Chodźmy, kochany dziaduniu.

Skłoniła się uroczo i biorąc starca za rękę odwróciła się, by wracać. Sternau jeszcze długo patrzył za odchodzącymi, dopóki zupełnie nie zniknęli mu z oczu. Wreszcie wsparł się o pień najbliższego drzewa i składając ręce jak do modlitwy zaczął szeptać:

— Mój dobry Boże, jak ty mnie hojnie wynagrodziłeś za te wszystkie cierpienia! Każda chwila życia, każdy mój oddech powinien być dziękczynną modlitwą. Błagam, przyjmij me podziękowanie.

\* \* \*

Następny dzionek wstał pogodny, na niebie pojawiły się różowo błękitne obłoczki. W zamku zapanowało pełne trudu codzienne życie. Kuchnia i piwnice wymagały jeszcze dużo pracy. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na wieczór, chociaż nikt nie przeczuwał, co on w rzeczywistości przyniesie. Na twarzach mieszkańców jaśniała radość, tylko jedna sprawa niepokoiła wszystkich.

Hrabia Emanuel jak zwykle położył się wieczorem spać, ale do tej pory nie obudził się. Wszelki próby obudzenia go były daremne. Służący pojechał po doktora. Ten po zbadaniu hrabiego uspokoił zgromadzonych, mówiąc, że nie ma najmniejszej obawy co do życia

pacjenta, że to zdrowy, choć trochę niezwykajny sen, jaki chorzy miewają od czasu do czasu. Ponieważ obiecał pozostać przy chorym dopóki ten się nie obudzi, dobry humor wrócił.

O wyznaczonej przez księcia godzinie, wszystkie sale zamku rozjaśniły się tysiącem świateł. Wszyscy przebrani i zamaskowani zgromadzili się w sali balowej, z wyjątkiem księżnej, matki Karola, która miała czynić honory gospodyni i witać gości.

Meksykańskie stroje wspaniale wyglądały na mieszkańcach. Hrabina Róża była podobna do królowej słonecznej, baśniowej krainy, tylko Różyczka przewyższała ją gracją.

Mały Alimpo chodził jak paw po salonie ze swoją pocziwą Elwirką. On jako wódz indiański i ona jako jego *squow* budzili powszechną radość. Pomimo maski i przebrania poznano ich natychmiast. Stary kapitan z niezmiernie długim nosem zjawił się w towarzystwie swego nieodłącznego przyjaciela, myśliwego.

Zaturkotały koła powozów. Po paru minutach różnorodne towarzystwo tłumnie wpakowało się do pokoju. Z początku wszystko się zakotłowało, nastąpiły szukania, badania, powątpiewania. Dopiero po jakimś kwadransie zapanował w tym tłumie jakiś porządek.

Nic można było zobaczyć ani jednej twarzy, wszystkie były szczelnie zakryte maskami. Nawet księżna Olsunna widząc, że w tym maskaradowym tłumie nie może stosować etykiety, założyła swój kostium.

Z masek, które dobierały się parami najpierw odnalazły się dwie.

Nadleśniczy, gdy wchodzili goście, stał obok drzwi. Jeden z przybyłych podszedł do niego i uderzając go w ramię zawołał:

— Ha! Łotrze! Złodzieju zwierzyny! Mam cię! Może się połączymy?

Mówiący miał na sobie taki sam kostium jak kapitan i tak samo długi nos.

— Milcz durniu! — rozzłościł się kapitan. — Nie widzisz, że to tylko kostium?

— Ha, zaraz się przekonamy. Chodź ze mną smyku! Chwyć starego za rękę i pociągnij za sobą. Gdy tylko doszli do pokoju obok, gdzie nikt ich nie mógł podsłuchiwać gość odezwał się:

— Pan jest kapitanem Rodenstein?

— Tak jest, ale nie mogę się zdradzać jak długo mam na sobie tę przeklętą maskę, a pan kim jesteś?

— Niech pan zgadnie!

— Zgadnij, ani mi się śni! Zdejm pan ten nos, żebym mógł przynajmniej zobaczyć pańską twarz.

— Nic z tego, mój kochany, ten nos niestety jest przyrośnięty.

— Do pioruna! Tego to już nikt mi nie zdoła wmówić. Taka twierdza na facjacie nie może być naturalna.

— To proszę się przekonać.

To mówiąc wyjął z kieszeni chustkę i zaczął ścierać z twarzy rozmaite farby, czarne i czerwone. Stary patrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem, a wreszcie zawołał:

— Wszelki duch pana Boga chwali... To jest... to...

— No kto taki?

— Bocian... tak, bociani dziób!

— Nieprawda.

— Krzywy dziób.

— Też nie.

— Zielony dziób.

— Bzdura.

— Gęsi dziób.

— Hola, czy pan zwariowałeś? Czy to tak trudno zapamiętać Sępi Dziób?

— Sępi Dziób! Tak, tak. Sępi Dziób! Ale jak ten gałgan ma czelność przychodzi tu ponownie i wtykać swój dziób w Kreuznach?

— O tym się pan niedługo dowie. Proszę mi tylko powiedzieć, czy pan wie, w którym pokoju przebywa hrabia Emanuel?

— Naturalnie, że wiem.

— To proszę mi wskazać odpowiednie drzwi.

— A to dlaczego, panie diabli dziobie?

— Proszę nie pytać dlaczego, proszę raczej zamknąć swój kapitański dziób.

Złapał go za rękę i wyciągnął z pokoju.

Alimpo i Elwirka wpadli w ręce pary Indian, którzy ich już nie puścili. Do pani Helmerowej pospieszył jakiś żeglarz i wzięwszy ją za rękę wyprowadził do osobnego pokoju, który zarygłował za sobą starannie. Niedługo dał się stamtąd słyszeć krzyk radości. Ojciec Roberta zdjął maskę przed swą żoną.

Jakiś mały jegomość w ubraniu traperza podszedł do Kurta Stantenberga i biorąc go za ramię spytał:

— Miał pan szczęście na polowaniu, kolego?

— Zbyt ciekawość — odpowiedział Kurt. — Ale dzisiaj zanosi się na znakomitą zabawę, może upolowalibyśmy wspólnie jakiegoś koziołka.

— Niech i tak będzie. Chodź ze mną, kolego. Zaprowadzę cię na tak pewne stanowisko, że niezawodnie strzał będzie celny.

To mówiąc mały pociągnął go za sobą do kolejnego, wolnego pokoju, których na szczęście w zamku nie brakowało. Poczciwy Kurt poszedł za swoim małym kolegą, który schroniwszy się w zacisznym kąciku, zdjął z twarzy maskę i zawołał:

— Kurcie Stantenbergu, poznajesz mnie?

Kurt spojrzał uważnie i przecząco pokręcił głową.

— Już gdzieś te rysy widziałem, ale gdzie... nie mogę sobie przypomnieć.

— Nie będę tracił czasu i powiem krótko. To ja jestem tym dawnym gorzelnikiem Andrzejem Stantenbergiem, twoim współzawodnikiem, a obecnie kochającym bratem i szczęśliwym narzeczonym pięknej dziewczyny.

Kurt zbladł. Począł w powietrzu wywijać rękami, jakby się obawiał, że upadnie.

— Praw... Czy to prawda? — wyjąkał po jakimś czasie.

— Naturalnie. Zrzuć maskę, abym i ja mógł zobaczyć twoją twarz!

Gdyby ktoś podsłuchiwał pod drzwiami, to mógłby usłyszeć szloch przerywany okrzykami radości.

Leśna Różyczka stała przy boku swej matki. Jakiś zgrabny, bogato ubrany Meksykanin podszedł do niej i skłoniwszy się głęboko podał jej swe ramię i pomału poczęli spacerować po wielkiej sali.

— Czy wolno zapytać o imię, seniorita?

Przytłumionego przez maskę głosu nie można było łatwo rozpoznać.

— A to po co? — zapytała. — Obawiam się, że nie potrafiłby pan nawet wypowiedzieć mego imienia.

— Pani imię z całą pewnością potrafię wypowiedzieć, jeżeli nie w swoim języku, to na pewno po niemiecku.

— Po niemiecku nie brzmi ono ładnie.

— Co? Nieładnie? Czy Różyczka, to takie nieładne imię?

— Co? Pan mnie poznał i teraz zdradza tajemnicę! To bardzo brzydko z pańskiej strony. To musi zostać ukarane.

Wyrwała mu swoją rękę i uciekła. Chciała pospieszyć do matki, ale przy niej stał już jakiś wysoki Meksykanin, spod maski którego wystawała długa, bujna broda. W tym samym momencie brodacz zauważył mężczyznę, który dawał mu nerwowe znaki, przeprosił więc damę i wyszedł.

— Doktorze, to te drzwi na końcu korytarza.

— Bardzo dziękuję.

Sternau wszedł do środka. Przy łóżku chorego siedział lekarz, jednak ten bez żenady pochylił się nad śpiącym, uniósł w górę jego powieki i począł badać puls.

— Kurczowy, ale spokojny sen — wyjaśnił lekarz sądząc, że ma przed sobą kogoś z otoczenia wielkiego księcia.

Sternau wzruszył ramionami i odparł:

— Chory obudzi się za pięć minut i będzie całkowicie zdrowy. Po tych słowach wyszedł z pokoju, by wrócić do salonu. Od razu swe kroki skierował w stronę Róży i podał jej ramię. Hrabiance zdawało się, że ręka tego mężczyzny lekko zadrgała, gdy dotknęła jego dłoni. Mimo woli na jego widok pomyślała o mężu. Karol zaprowadził ją do kąta przy oknie i zaczął mówić:

— Chciałbym łaskawej pani złożyć serdeczne życzenia, jeżeli oczywiście będzie mi wolno? Głos miał dziwnie nienaturalny i drżący, nawet maska nie potrafiła tego ukryć.

— Dziękuję, senior — odpowiedziała Róża. — Dzień ten dla mnie jest raczej dniem smutku, niż radości.

— Ja zaś uważam go za najszcześniejszy.

— W takim razie nie zna pan bliżej stosunków panujących w naszej rodzinie.

— Przeciwnie, znam bardzo dokładnie i doskonale wiem, że czeka panią wielka radość.

— Wielka radość? Gdzie?

— Proszę mi tylko zaufać, a pokażę pani.

Wyprowadził ją z sali wprost do pokoju śpiącego ojca. Zaraz przy wejściu zauważył, że policzki hrabiego już zaczęły nabierać żywszej barwy.

— Proszę nas opuścić! — rozkazał lekarzowi.

— Wybaczy pan, ale moje miejsce jest przy chorym — odrzekł lekarz.

Sternau bez chwili zastanowienia zdjął z twarzy hrabianki maskę.

— Czy poznaje pan córkę hrabiego?

— Oczywiście.

— To mi wystarczy, proszę zgodnie z jej życzeniem opuścić ten pokój.

Lekarz oddalił się natychmiast. Róża ze zdziwieniem spojrzała na zamaskowanego mężczyznę i spytała:

— Co senior zamierza? Co to wszystko ma znaczyć?

— Proszę usiąść, przy nogach chorego, aby w chwili przebudzenia, pierwszą osobą, którą zobaczy była pani.

— Obudzi się niedługo?

— Za minutę.

— Jak to dobrze. A ja myślałam, że on znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Pan jest lekarzem?

— Tak, ale proszę dalej nie mówić.

Ujął pacjenta za rękę i tak trzymał przez jakiś czas. Nagle wypuścił ją i schował się za wezłowiek łóżka. Hrabia poruszył się, otworzył oczy i powoli począł rozglądać się po pokoju, jakby dopiero co odzyskał przytomność. Wreszcie spojrzał na Różę długo i badawczo, a w końcu cicho wyszeptał:

— Mój Boże! Gdzie ja jestem? O czym ja śniłem? To ona i nie ona. Rózo, moja kochana Rózo, czy to ty? Gdzie jest doktor Sternau, ten co leczył me oczy?

Róża zbladła jak ściana. Siedziała nieruchomo, jak rażona apopleksją, wreszcie zerwała się z krzesła wołając:

— Ojczy, mój kochany ojczy. Poznajesz mnie? Naprawdę mnie poznajesz?

Dziwnie łagodny uśmiech przebiegł po jego twarzy.

— Naturalnie, że cię poznaję — odpowiedział. — Przecież jesteś moją córeczką, moją Różyczką. Chociaż wyglądasz trochę inaczej niż zwykle, to przecież jesteś ty. Nie wpuszczaj do mnie Korteja i Klarysy, ani Alfonso. Sternau niech nad wszystkim czuwa. Ja jestem bardzo



zmęczony, muszę spać. Chodź, pocałuj mnie na dobranoc i też udaj się na spoczynek, ale rano przyjdź do mnie.

Pierś jej podniosła się, jakby miała pęknąć, zacisnęła kurczowo zęby, lecz mimo tego nie mogła nad sobą zapanować. Jakiś nieludzki okrzyk wyrwał się z jej piersi, cały strumień łez spłynął po policzkach i z wielką radością ucałowała ojca. Zaczęła obejmować głowę starca, całując jego policzki i ręce, aż zauważyła, że chory zamknął oczy i zasnął. Podniosła się z łóżka, spojrzała badawczo na Sternaua. Pierś jej podniosła się szybko, puls bił jak ciężki młot, tylko ręce i nogi drżały od wzruszenia.

— Senior — zawołała ze wzruszeniem. — Mój ojciec obudził się?

— Tak — odpowiedział.

— Obudził się do nowego, duchowego życia?

— Tak, seniorita. Pomieszanie zmysłów zostało... zostało wyle... wyleczo...

Chciał wyrzec „wyleczony”, ale nie zdołał wypowiedzieć; cała burza uczuć, która zbierała się w jego piersi nie pozwoliła mu dokończyć. Róża sprawiała wrażenie, że zaraz zemdleje, jednak ostatekiem sił wstała i wyciągnęła do obcego dłonie mówiąc:

— Tę rzecz potrafi tylko jeden człowiek! Karolu! Mój Karolu!

— Różo, o Boże! Kochana, droga Różo! — krzyknął ściągając maskę.

Nieprzytomna wpadła w jego ramiona. Następne minuty musimy przemilczeć. Żadne oko nie powinno oglądać tak wielkiej miłości, ani żaden język mówić na ten temat. Powiemy tylko, że po jakimś czasie ta zakochana dwójka ponownie założyła na twarze maski i ręka w rękę wróciła do sali balowej, pozostawiając hrabiego Emanuela pogrążonego w zdrowym, głębokim śnie.

— A teraz do Różyczki, do mego kochanego dziecięcia! — rzekł Karol.

Szukali jej po całej sali, ale daremnie. Natrafili wreszcie na Sępiego Dzioba, który domyślając się kogo ta dwójka szuka zapytał:

— Rozumiem, że państwo szukają Różyczki?

— Oczywiście — odparł Sternau.

— Proszę pójść za mną.

Pod nieobecność matki, Robert ponownie odnalazł Różyczkę. Jej mała ucieczka nie była tylko żartem, obecnie z uwagą słuchała co ma jej do powiedzenia.

— Proszę mi zdradzić, który z panów jest wielkim księciem? — poprosiła Roberta.

— Czy koniecznie mam odpowiedzieć na to pytanie?

— Naturalnie, rozkazuję panu.

— No cóż, takiego rozkazu muszę słuchać. Żaden z nas nim nie jest.

— Co? Jego tu nie ma? — rzekła bardzo zdumiona.

— Teraz nie, ale przyjedzie.

— Dlaczego się spóźnia?

— Bo nie chciał być obecny przy niektórych niespodziankach, uważał, że jego obecność może tylko krępować pozostałych gości.

— Co to za tajemnice? Co się tu dzieje?

— Tajemnice, ale jedną z nich mogę pani zdradzić.

— O proszę, jestem bardzo ciekawa.

— Dobrze, ale nie tutaj, proszę za mną.

Postąpił tak jak inni, pociągnął ją do swego dawnego pokoju. Gdy tylko nacisnął kławkę Różyczka zawołała z oburzeniem:

— Czego pan chce? Tutaj nie wolno wchodzić. To pokój kapitana Helmera, a jego nie ma.

— Czyżby zabrał ze sobą klucz?

— Tak mi się zdaje, drugi jest u Alimpo.

— No to z tego wynika, że ja mam trzeci.

Wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i pociągnął Różyczkę za sobą do środka.

— Mój Boże, ja nadal nie wiem o co panu chodzi — zawołała stawiając opór.

Szybko obiegła wzrokiem pokój, który był oświetlony słabo, tylko przez blask padający z korytarza.

— Pani mnie nie rozumie? — zawołał z radością w głosie. — Ja pani powiem tylko, że pod nieobecność tego okropnego kapitana Helmera, gospodarowała w tym pokoju, biorąc wcześniej klucz od Alimpa, jakaś damska rączka. Zdradzają to te świeże kwiaty, albumy i inne drobiazgi. Jeżeli się nie mylę, to obecnie trzymam tę rączkę w swej dłoni.

W tej chwili zapalił zapałkę i przy jej pomocy zapalił stojącą na stoliku świecę, po czym zamknął za sobą drzwi pokoju.

To dziwne, stanowcze i odważne postępowanie tak ją jakoś obezwładniło, że nie miała czasu nawet się wzbraniać.

— Tak — ciągnął dalej, — tak się najczęściej dzieje, gdy do jednego pokoju zrobiono trzy klucze.

Wreszcie odzyskała energię i zawołała:

— Skąd pan posiada klucz od tego pokoju?

— Dostałem go od tego oto...

Przy tych słowach zdarł z twarzy maskę. Z początku cofnęła się przerażona, ale w tej chwili z głośnym okrzykiem radości rzuciła się w jego objęcia.

— Robert, mój Robert, mój drogi, kochany Robert. To naprawdę ty? To ty? O ty nieznośny, niebezpieczny intrygancie! Będę cię musiała ukarać i to bardzo surowo.

— Całusem, nieprawdaż kochana Różyczko?

— O nie, niejednym ale trzema albo i więcej!

— Mam całować tę woskową papkę? — spytał ze śmiechem.

— Prawda, ja nam twarzy ma ciągle tę poczwarę. Z radości zupełnie zapomniałam. Chodź tu, ty mój bohaterze, obrońco i wyzwolicielu mego ojca. Wolno ci mnie całować bez ustanku.

Zdarła z twarzy maskę i rzuciła ją na ziemię. Padli sobie w ramiona, całując się do utraty tchu, w słodkim, uroczym zapomnieniu. Nie słyszeli, że na korytarzu rozległy się jakieś kroki i że pod drzwi podeszły dwie osoby.

— O jaki ja jestem szczęśliwy, niezmiernie szczęśliwy, że znowu mogę oglądać twą uroczą buzię, twą kochaną twarzyczkę — szeptał Robert.

— Czy myślisz, że ja jestem mniej szczęśliwa? — odparła cała zarumieniona. — A czy to prawda, że przywozisz ze sobą mego tatkę?

— Oczywiście, moja kochana Różyczko! Przywiozłem go ze sobą i będę go prosił, bym ci mógł подарować te wszystkie klejnoty, które dostałem z królewskich skarbów. Nie będę zważał na to co mi kiedyś powiedział ten zrzędlawy kapitan, że jesteś dla mnie zbyt wysoko świecąca gwiazdka.

— Przyjmę od ciebie wszystko, bo wypełniłeś swoje przyrzeczenie i przywiozłeś mego kochanego, biednego ojczulka. Ale gdzie go masz? Gdzie on jest?

— Tutaj!

Słowa te powiedziała stojąca w drzwiach Róża. Młodzi odskoczyli od siebie, jak oparzeni.

— Mamcia! — zawołała przerażona Różyczka.

— Pani hrabianka! — zawołał równie przestraszony Robert.

Oboje rodzice zdejmując maski weszli do pokoju.

— Nie bądź taki przerażony, kochany Robercie! — odezwał się Sternau. — Czy myślisz, że mógłbym zapomnieć tę chwilę, kiedy powaliwszy na ziemię dozorcę więzienia wszedłeś do naszej celi i nas, zrozpaczonych więźniów uczyniłeś wolnymi? Gdybym kiedykolwiek to zapomniał, to sprawiedliwy Bóg, który za dobre wynagradza, a za złe karze, też mógłby o mnie zapomnieć.

Różyczka poznała tego mężczyznę, z którym wczoraj rozmawiała w lesie. Powoli poczęło się jej rozjaśniać, zaczęła rozumieć, a resztę podpowiedziało jej serce.

— Ojczy! Tatko, mój drogi tatko! — zawołała rzucając się w tym momencie w ramiona rzekomego malarza. — Mój biedny, kochany ojczy! Ja jestem Rozita, twoje dziecko. Twa córka, twoja Różyczka, która umarłaby z tęsknoty, gdybyś do niej nie powrócił!

Podniósł ją w górę silnymi ramionami jak dziecko, jak lalkę i z załzawionymi z radości oczami, począł ją oglądać.

— Różyczka, Rozita! Moje życie, moja duszo, mój drogi aniele! Och, jak mi się dziwnie robi, muszę usiąść.

Ten silny mężczyzna postawił córkę na podłodze i padł na krzesło. Z jego prawej strony stanęła Róża z lewej Różyczka. Łzy tyłu przecierpianych nieszczęść i radości polały się im rzęsście po policzkach. Robert zrozumiał, że powinien te najbliższe sobie osoby pozostawić same, nie przeszkadzając w tej uroczystej chwili. Cichutko wykradł się z pokoju, na korytarzu otarł swoje lekko wilgotne od wzruszenia oczy, pospieszył do salonu.

Zupełnie zapomniał, że zdjętą maskę zostawił w swoim pokoju. Gdy tylko wszedł do salonu, wszystkie oczy skierowały się na niego.

— Robert, Robert! — zewsząd dochodziły głosy. Dopiero teraz doszło do niego, że zapomniał maski.

Książę i księżna, Otto Rodenstein ze swoją żoną Florą, siostra Karola, wszyscy nagle pospieszyli do niego, także ściągając z twarzy maski, aby łatwiej mógł ich rozpoznać. Przyłączyli się do nich traper i kłusownik o ogromnym nosie, czyli Kurt ze swoim kapitanem Rodensteinem.

Nagle został zasypany setkami pytaniami, nie był w stanie odpowiedzieć na wszystkie, ale niedługo nadszedł ratunek.

Do salonu weszli Karol z żoną i córką, cała trójka bez masek. W swym wielkim szczęściu zapomnieli o tym drobiazgu. Gdy tylko ich zobaczono, Flora Rodenstein podbiegła do księcia, swego ojca, wołając:

— Ojczy, tatko! Popatrz kto przyszedł. Poznajesz go? Nie zapomniałeś jeszcze?

Podbiegła do Karola i rzucając mu ręce na szyję zawołała z płaczem:

— Karolu, mój kochany bracie!

Karol zdziwiony chciał się cofnąć, lecz w tej chwili jakiś inne ręce znowu go porwały.

— Mój syn! Mój Karol! Czy to prawda? — szlochał jego matka.

— Mój lekarz i dobrodziej! Mój syn! — zawołał książę biegnąc, by go uściskać.

Druga siostra Karola, była zbyt skromna i cicha, nie próbowała więc nawet przeciskać się przez tłum. Długi czas trwało to powszechne zamieszanie, powitanie, płacz i wrzawa, jaką wywołały nagłe pojawienie się Roberta i Karola. Dopiero, gdy przybył wielki książę z żoną i kilkoma damami dworu uciszyło się nieco i pomału wszystko wróciło do porządku. Wielki książę gratulował wszystkim serdecznie.

Teraz pytania i odpowiedzi padały w ustalonym porządku. Ta radosna zabawa przeciągnęła się aż do samego rana. Dopiero po pierwszym zamięcie inne osoby uzyskały możliwość dojścia do głosu. Jak już wspominaliśmy w Rodrigandzie przebywał mały André i Sępi Dziób, oprócz tego dwaj Indiańscy wodzowie z Karią, Resedilla i Pirnero, którzy przyjechali uciekając z Pirna, Grandepri, który musiał w Hiszpanii świadczyć przeciw swemu przyrodniemu bratu, Landoli.

Ale co się stało z Landolą, Gasparino Kortejo, siostrą Klarysą i fałszywym hrabią Alfonso. Na pewno niejedyn Czytelnik chciałby wiedzieć.

Karol zapytany o to powiedział w skrócie:

— Rozstrzygnięcie zapadło; dowody zostały przeprowadzone. Nasz Mariano jest prawdziwym hrabią Alfonso de Rodriganda. Musiał jeszcze jakiś czas pozostać w Hiszpanii, aby załatwić najpilniejsze sprawy. Rezyduje w zamku Rodriganda razem ze swoją narzeczoną Amy i jej ojcem lordem Lindsay. Myślę, że za parę dni dołączą tu do nas. Co do naszych „przyjaciół” to wspomnę krótko, że Klarysa została skazana na dożywotnie więzienie w

ciasnej, ciemnej celi. Landolę i Kortejo pozbawił życia katowski topór, fałszywy Alfonso także został skazany na dożywotnie więzienie, bez możliwości ułaskawienia. Spotkała ich zasłużona kara. Teraz zaś pozwólcie, że wyrażę wielką radość, z powodu niespodziewanego tytułu książęcego. Musze jednak zauważyć, że nasze przeżycia i doświadczenia nauczyły nas nie zważać na tytuły, honory czy pieniądze. Liczy się tylko charakter. Nikogo zapewne nie zdziwi, że Robert Helmer, syn sternika uratowawszy nas wszystkich, pokazał, że zasługuje nie tylko na naszą wdzięczność, ale na to aby stać się równym nam. Jak zbrodniarze swą karę, tak i on swą nagrodę musi odebrać. Powtarzam teraz o nagrodzie, którą miał przyrzeczoną. Księżniczka Olsunna musi dotrzymać słowa. Różyczko wstań i powiedz mu, że zezwalamy, aby ci złożył swe meksykańskie klejnoty jako prezent zaręczynowy. Niech Bóg was błogosławi, tak ja i my błogosławimy was z całego serca, drogie dzieci!

Wrażenie jakie ta mowa wywarła na zebranych trudno opisać. Wszyscy się dziwili, pytali, gratulowali na zmianę. Tylko dwoje ludzi stało na boku, w kącie sali i ukradkiem roniło łzy szczęścia; byli to rodzice Roberta. Ich szczęście nie miało granic, gdy podbiegła do nich Różyczka i z dziecięcą szczerością zaczęła ich całować, po czym przemocą pociągnęła do reszty towarzystwa.

Tymczasem nastał świt. Słońce poczęło coraz intensywniej posyłać na ziemię swe promienie i przez okna wciskać je do pokoju, jakby dodatkowym światłem chciało objąć dalekich wygnańców. Pomimo nieprzespanej nocy twarze wszystkich były rozjaśnione tysiadcem blasków, które świadczyły o szczęściu tak dokładnie odbitym w ich oczach.

Nagle podwoje salonu otwały się szeroko i do środka weszła wysoka, poważna postać starca, hrabiego Emanuela. Tylko Róża i Karol nic przybrali posępnego wyglądu. Wszyscy czekali, jak hrabia powie swoim zwyczajem:

— Ja jestem wierny, pocziwy Alimpo.

Lecz zanim hrabia miał czas powiedzieć cokolwiek, jakaś druga postać starca wyszła z tłumu biesiadników i wyciągając ręce do powitania zawołała:

— Emanuel! Bracie! O Boże, co bym za to dał, aby ci wrócić zdrowie!

Przybysz spojrział na mówiącego długo i badawczo, a w końcu powiedział:

— Ferdynand! Bracie! Ty żyjesz? Przed paru dniami doniesiono mi przecież, że umarłeś, że cię pogrzebano?

— On mówi, mówi, rozumie! Doszedł do siebie! Boże wszechmogący, jakże gorąco ci za to dziękujemy.

Ferdynand porwał brata w ramiona, lecz Karol podszedł do nich i wyprowadził do osobnego pokoju. Umysł hrabiego Emanuela był jeszcze zbyt słaby, by pojąć te wszystkie, dziwaczne i awanturnicze zdarzenia, jakie miały miejsce przez ostatnie lata.

Pomału powracał do zdrowia i kropla po kropli dowiadywał się o tym co zaszło w przeszłości. Ferdynand nie wrócił do Meksyku. Sprzedał swoje posiadłości i na stałe osiedlił się wraz z Emanuelem w okolicach Kreuznach, w zamku Rodrigandy.

Mariano, młody hrabia objął w posiadanie pałac Rodriganda w Hiszpanii. Wprowadził tam, po wspaniałych weselnych uroczystościach, swoją ukochaną żonę; Amy. Naturalnie mimo swego szczęścia nie zapomniał o krewnych. Często wraz z żoną odwiedzał ich w Moguncji.

Karol, niegdyś lekarz przeniósł się ze swą zawsze piękną Różą do Hiszpanii, do pałacu ojca, gdzie godnie wypełnia swoją rolę i swym przodkom nie przynosi wstydu.

Otto i Flora Rodensteinowie często przebywają u nich w gościecie.

Alimpo i Elwira na stare lata żyją w spokoju przy boku swego ukochanego pana, hrabiego Emanuela.

Rodenstein ciągle jeszcze się kłóci i beszta Kurta, a także swój reumatyzm.

Mały André mieszka z małżonką, piękną Emilią wraz z Antonim Helmerem i jego żoną Emmą w hacjendzie del Erina. Stary Pedro Arbellez żyje ich szczęściem. Czarny Gerard osiadł z Resedillą i swym wspaniale nadającym się do polityki teściem w stolicy, w Meksyku.

Bawole Czoło ciągle jeszcze poluje na bizona i niedźwiedzie, od czasu do czasu odpoczywając w hacjendzie u Piorunowego Grota. Niedźwiedzie Serce zabrał Karię, swoją *squaw*, do wigwamów Apaczów, gdzie dzieli dowództwo ze swoim młodszym bratem, Niedźwiedzim Okiem.

Tak więc bohaterowie naszej powieści za swe szlachetne czyny otrzymali zasłużoną nagrodę. Żyli w szczęściu i spokoju, podczas, gdy wszystkie czarne charaktery dosięgła sprawiedliwa kara, śmierć lub więzienie. Tak działa sprawiedliwość.

Leśna Różyczka to najszczęśliwsza na świecie mężatka. Robert został awansowany na pułkownika i przeniesiony do pobliskiego garnizonu, którego nazwy nie wolno nam jednak wymieniać. Oboje kołyszą kolejno na kolonach, mały pulchniutki pączek, śliczne dziewczątko, które już teraz widać, że będzie bardzo podobne do swej prześlicznej mamy.